Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 26 (1370) ROK XXVII 30 CZERWCA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Nieznajomość prawa nie jest okolicznością łagodzącą
- Emigrant
- Książka dla tych, którym natura dała serce, rozum i niesprawne ciało

Kibic na wyjeździe

ROMAN KUBIAK

Jeżeli wyruszasz w podróż koleją, a jest właśnie środa, sobota względnie niedziela, nie poprzestawaj na studiowaniu rozkładu jazdy PKP. Zerknij na mapę i zaznacz na niej wszystkie polskie miasta mające piłkarskie drużyny w ekstraklasie, a dla zupełnej pewności i te, których bożyszcza póki co kopią piłkę w drugiej lidze. Potem koniecznie wejdź w posiadanie „skarbu kibica" — czyli niezbędnika obywatela PRL. On to uświadomi ci nieprzydatność kieszonkowego kalendarzyka, przeglądając który naiwnie sądzisz, że szturm na dalekobieżne pociągi związany jest li tylko z kanikułą albo kościelnym świętem.

Nic bardziej mylnego. Trzeba bowiem wiedzieć, że w kraju naszym bieg czasu mierzy się na dwa sposoby: *według Matki Boskiej Pieniężnej — jak mawiają zgrywusy, a co sprowadza się zwykle do odstępu od pierwszego do pierwszego albo według rozkładu jazdy futbolowej ligi — u siebie, na wyjeździe, u siebie...*

Tenże „skarb kibica" wskaże bezbłędnie kilka par miast, które za sprawą najbliższej ligowej kolejki wkroczą na wojenną ścieżkę, a wojna ta będzie miała wymiar totalny. *Połącz na mapie linią ciągłą owe miasta, a uzyskasz komplet dróg żelaznych, po których pod żadnym pozorem nie wolno ci się poruszać.* No chyba że łakniesz silnych wrażeń, jesteś wybitnym masochistą kolejowym, chcesz dostać po twarzy, wylecieć z pędzącego pociągu lub wysłuchać krótkiej historii swoich przodków aż do siódmego pokolenia wstecz. Wtedy owszem, pożegnaj się z żoną i dziećmi, wsiądź najlepiej do pospiesznego z Warszawy, Poznania, a szczególnie z Białegostoku, po czym za sprawą fanów ukochanych klubów los twój będzie w najlepszym razie nie znany. I broń Boże nie wnoś pretensji do kogokolwiek poza sobą, albowiem czyniłeś świadomie i byłeś ostrzegany!

Kto zaś chce bezpiecznie podróżować po piłkarskiej Polsce, musi jeszcze posiąść wiedzę o teorii barw — a ściślej barw klubowych. I tak, w Poznaniu wskazany jest ubiór we wszystkich odcieniach koloru niebieskiego, natomiast nie tolerują tam gości odzianych w czerwień i zieleń. Z kolei w Warszawie i we Wrocławiu tępią „czerwonych" i „niebieskich", podczas gdy szacunkiem darzą zieleń. W Łodzi bezpiecznie jest paradować w strojach czerwono-białych, ryzykownie zaś przesadzać z niebieskim i zielonym.

Jednoznacznie neutralnym kolorem — od czasu gdy nastały chude lata dla warszawskiej Polonii — pozostaje czerń. Człowieka w czerni zagorzały kibic potraktuje

7

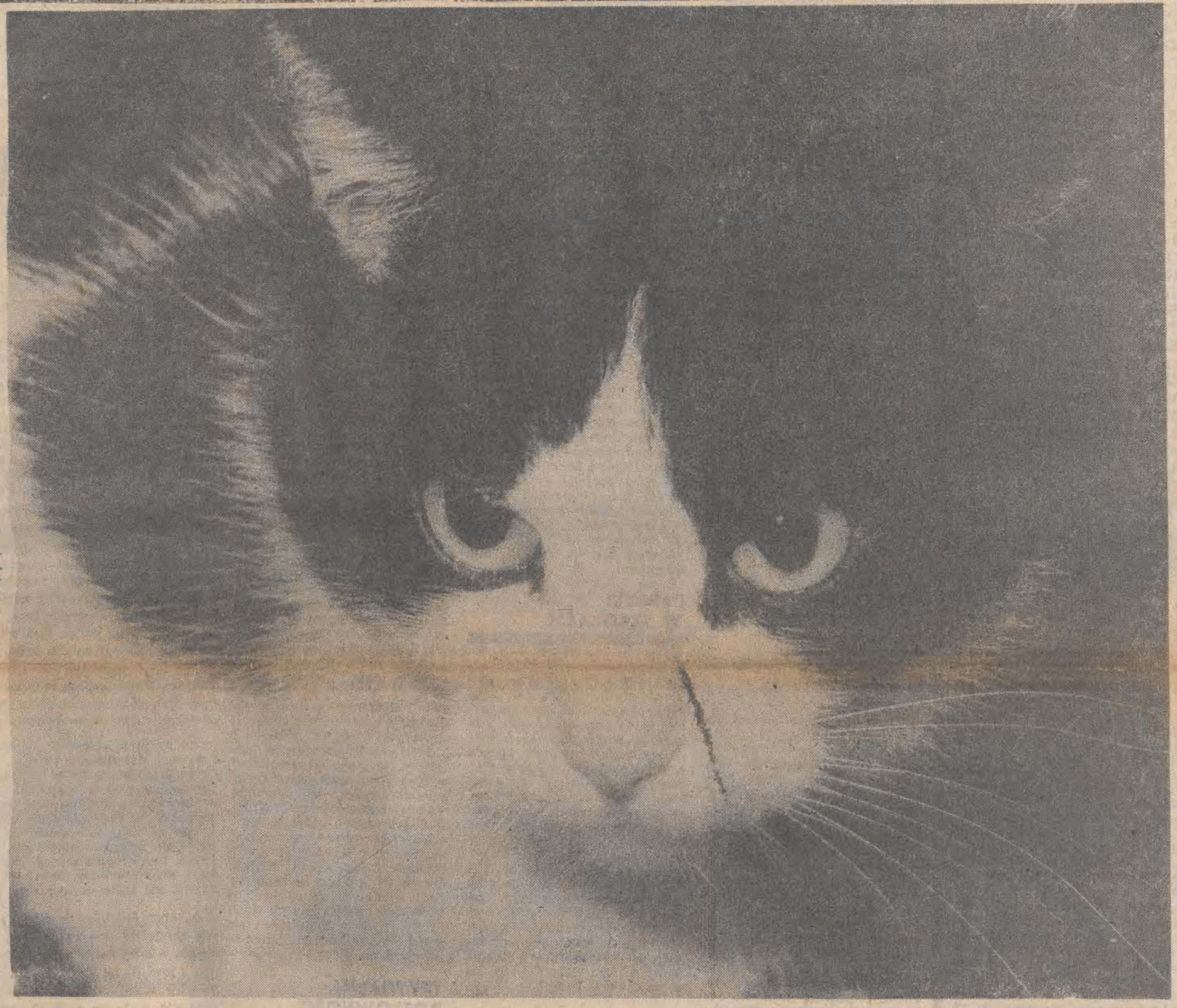

Foto: G. Gałasiński

Koci horror

EDWARD BRYL

Wyjąca, ognista kula odbija się od ziemi, skacze na wysokość pierwszego piętra. W oknach rozradowane ludzkie twarze. Nie lada rozrywki w wolne, sobotnie popołudnie dostarczyło mieszkańcom jednego z domów przy ulicy Wojska Polskiego kilku czternastolatków — polali kota benzyną spuszczoną z motoroweru i podpalili...

Lokatorzy wieżowca przy Hipotecznej też mieli swoistą zabawę, również z kotem, tyle że małym. Chłopcy kilkakrotnie wjeżdżali windą na dziesiąte piętro i zrzucali go w dół.

Rozpaćka się tym razem, czy nie — zakładali się dorośli. Ale po każdym upadku oszołomione zwierzę próbowało wstać, nawet łazło chwiejnie.

— *Takie drobniuchne gnaty, a jakie mocne* — dziwili się niektórzy.

Kot w końcu musiał dokonać żywota. Zniecierpliwieni dwaj uczniowie siódmej klasy przywiązali go do poręczy schodów i pocięli żyletkami. Z ociekającego krwią, pokaleczonego ciała wysuwały się wnętrzności... Rodzice, sąsiedzi ze spokojem przyglądali się wyczynom pomysłowych pociech.

Przykładów bestialskiego znęcania się nad zwierzętami jest znacznie więcej. Jednak rzadko które docierają do wiadomości inspektorów Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Nie ma kto o nich meldować! Wielu przygodnych obserwatorów w podobnym postępowaniu nie widzi nic zdrożnego. Zwierzęta domowe, psy, zwłaszcza koty nie cieszą się sympatią. Najczęściej traktuje się je jako zabawkę dla dziecka, potem wyrzuca, los ich jest właścicielom najzupełniej obojętny. Dba się tylko o te, co drogo kosztują. Trzymają je ludzie nie tylko z zamiłowania, ale dla splendoru: ma willę, samochód — musi także mieć najdroższego psa. Bywają i takie, co są jedynymi żywicielami rodzin, hodowla ich jest bardzo intratnym zajęciem.

Większość właścicieli pozbywa się zwierząt nagminnie przed urlopami, wakacjami. Watahy półdzikich, wygłodniałych psów włóczą się po śmietnikach. Koty rozmnażają się w komórkach. Stają się roznosicielami najrozmaitszych chorób. Często słyszy się komunikaty o pokąsaniu dzieci. Zrozpaczeni rodzice bezskutecznie poszukują kogoś, kto wiedziałby czy pies jest szczepiony. Maluchowi grozi seria bolesnych zastrzyków... Można by uniknąć potencjalnego zagrożenia, gdyby ludzie zwyczajnie myśleli. Ale zamiast pozbyć się zwierzaka w humanitarny sposób, wolą go wypuścić, to nic nie kosztuje! Miejscem, gdzie łodzianie najczęściej wywożą czworonogi jest las łagiewnicki.

Kodeks karny przewiduje kary za bestialskie znęcanie się nad zwierzętami. Należałoby karać wysokimi mandatami także tych, którzy pozbywają się ich, porzucają beztrosko, stwarzają zagrożenie dla innych. Przepisy istnieją, trzeba tylko wdrożyć je w życie, przestrzegać! Ale cóż? Nie interesuje się na serio tym nikt! Także sadystycznymi praktykami milusińskich. Największym złem jest fakt, iż nie są im przeciwni nawet ci, którzy z racji wykonywanej pracy, stanowiska powołani są do wychowawczego oddziaływania na młodzież.

KRZYSZTOF MARCZAK — dyrektor Łódzkiego Biura Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Polsce:

— *Od trzech lat bezskutecznie próbuję zainteresować problemem Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi. Niestety, wicekurator Roch Kopacki kategorycznie odmawia jakiejkolwiek współpracy. Kiedy na zebraniu dyrektorów szkół naświetliłem sprawę, zaproponowałem, aby nasi inspektorzy — oczywiście społecznie — mogli wygłaszać pogadanki, wypełniać nimi od czasu do czasu lekcje wychowawcze, rozmawiać na wywiadówkach z rodzicami — zostałem zlekceważony. Wszyscy byli wręcz oburzeni, któryś z obecnych dyrektorów powiedział, że poniżam jego nauczycielską godność, mają inne doniosłe zadania, nie wypada im się zajmować sprawą jakichś tam czworonogów! Byłem także w Ministerstwie Oświaty i Wychowania. Główny specjalista od spraw wychowawczych stwierdził, że problem należy do zbyt błahych, nie można dzieciom mącić w głowach.*

Czyżby? Właśnie w ostatnim okresie narastają przypadki okrucieństwa młodzieży wobec zwierząt. Szczególnie na terenie województwa łódzkiego. W Zgierzu od wiosny 1983 roku na Osiedlu 650-lecia działa zorganizowana grupa nieletnich, która wychodzi na ulice o zmroku uzbrojona w noże, brzytwy, kije nabijane gwoździami, żyletki, obcęgi. Łapią bezdomne zwierzęta kradną spod mieszkań właścicielom, wyrywają małym dzieciom z rąk. Potem znęcają się nad nimi w najbardziej perfidny sposób. Wyrywają oczy, języki, kroją żywcem...

Poszkodowani ludzie piszą skargi, wskazują imiennie sprawców i nic się nie zmienia! Banda grasuje nadal. Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Zgierzu prowadzi śledztwo leniwie, ospale. Widocznie sprawa uważana jest za nieistotną, chociaż ppłk E. Szmaciński ustosunkowując się do prośby Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami napisał:

„Funkcjonariusze tutejszego Urzędu mają na uwadze fakt ochrony zwierząt i podobne przypadki nie będą tolerowane"

Czyżby obojętność władz szkolnych, funkcjonariuszy MO oznaczała aprobatę?

Już dzisiaj narzeka się na upadek moralności wśród młodzieży konsumpcyjny stosunek do rzeczywistości. Opi-

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch", 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1812 E-12

Odgłosy

Przegląd prasy

U zawodowca, żyjącego z pisania do gazet i jednocześnie zyjącego tych gazet czytaniem, w przypadku odseparowania od przedmiotu owej egzystencji przez parę pierwszych dni dominuje uczucie euforii, stuprocentowego relaksu, wyzwolenia z męczarni. Ale już pod koniec pierwszego tygodnia rozwodu z prasą pojawiają się inne emocje: głód gazetowy przede wszystkim — i drugie uczucie, trudniejsze do zdefiniowania. To rodzaj idealizacji, wywołanej brakiem codziennego kontaktu, a jednocześnie niepokój, a może nawet zazdrość...

Doświadczyłem tego wszystkiego podczas kilkutygodniowego zagranicznego urlopu, gdy miałem do czytania tylko mocno wymięty, zaplamiony olażowo-kulinarnymi ingrediencjami i solidnie przeterminowany egzemplarz „Dziennika Ludowego" — i to bardzo nieregularnie.

Wszelako po powrocie i gorączkowej lekturze odłożonego w redakcji stosu pism (1 kg i 850 gramów) okazało się, że

NIEPOTRZEBNIE ULEGŁEM EMOCJOM

i tej swoistej chorobie izolacyjnej... Oczywiście luki informacyjne należało uzupełnić: natomiast publicystyczny dorobek krajowego życia umysłowego był taki jak zazwyczaj — najwyżej jeden ważny tekst tygodniowo. A o Skiroławkach jeszcze pisać nie przestali...

Na szczęście w redakcyjnej poczcie znalazłem przesyłkę, którą — uważnie przestudiowawszy — uznałem za swego rodzaju wydarzenie. To dwa numery

MIESIĘCZNIKA SPOŁECZNO-EKONOMICZNEGO „WEKTORY"

nadesłane wraz z uprzejmym listem polecającym od ich redaktora naczelnego Artura Śliwińskiego. Z analizy zawartości dwóch pierwszych numerów wznowionego miesięcznika wynika jasno, że stać się on może nowym ośrodkiem myśli politycznej doby obecnej — ważnym i na pewno wzbudzającym rozmaite kontrowersje. Już choćby z tej racji, że prezentuje on opinie, poglądy i dorobek tradycyjnie w naszym życiu publicznym lekceważonego środowiska ekonomistów.

Dwa teksty zwróciły mą szczególną uwagę — w numerze 2.83 „Psychologia jałowego biegu" Artura Śliwińskiego i Czesława Dejnarowicza „Ile kosztuje pudełko zapałek?" w numerze 3.83.

„*Można uznać za paradoks* — pisze Artur Śliwiński — *za gorzki paradoks, że powszechne poczucie zagrożenia perspektyw rozwoju gospodarczego kraju (a nawet — zagrożenie bytu narodowego) nie doprowadziło do radykalnego przewartościowania postaw, nie stało się impulsem dla wzmożonej aktywności szerokich kręgów społeczeństwa. Pozbyliśmy się tym samym miłej iluzji, że w obliczu wielkich zagrożeń jesteśmy zdolni do mobilizacji sił i zorganizowanego wysiłku*". Szef „Wektorów" uważa, że nawet reforma gospodarcza, obliczona przecież na wyzwalanie aktywności i przedsiębiorczości, roztopiła się we wszechogarniającym bagnie bierności.

NIEZBĘDNY JEST PRZYMUS AKTYWNOŚCI

— sądzi Artur Śliwiński — albowiem sama reforma gospodarcza, nazbyt idealistycznie zaprojektowana i wprowadzona jako mechanizm usuwający rozmaite bariery formalne (a więc przepisy i rozwiązania systemowe), nie wystarcza do przezwyciężania bierności, zwłaszcza w sytuacji, gdy liczne podmioty gospodarujące doskonale mogą prosperować w sposób niesprzeczny z literą prawa reformy, wykonując tylko działania pozorne, np. rozpasane cenotwórstwo. W tej sytuacji konieczne jest wymuszanie aktywności poprzez stałe i realne zagrożenie dla egzystencji przedsiębiorstw, poprzez bezwzględną „eksterminację" biernych. A więc — reformie potrzebny jest surowy egzekutor.

POTRZEBNY JEST „MŁOT NA CZAROWNICE"

a nie jakieś *subtelne instrumenty ekonomiczne*. Czyżby pozostał nam w arsenale środków już tylko taki sposób obrony reformy? Boję się, że Śliwiński ma rację...

Drugi ze wspomnianych tekstów „Wektorów" — „Ile kosztuje pudełko zapałek?" — to postulat niekonwencjonalnego rozwiązania kwestii ekonomicznej edukacji społeczeństwa — już na etapie nauki szkolnej. Czesław Dejnarowicz proponuje, aby skończyć z teoretyzowaniem.

„*...należy upowszechnić we wszystkich szkołach ogólnokształcących pracę zarobkową. Wychowanie przez pracę — ciągle jeszcze lekceważone — posiada wiele walorów kształcących i wychowawczych: pokazuje sens pracy ludzkiej, uczy myślenia ekonomicznego, racjonalizuje pojęcie gospodarności, uczy organizacji pracy, wyzwala postawy racjonalizatorskie, dyscyplinuje itp.*"

Dejnarowicz wyraźnie odcina się od postulatów akcyjnego działania szkoły — typu zbiórki makulatury czy pomocy przy wykopkach, a nawet uczniowskich spółdzielni. „*Praca dzieci obejmujące różne doraźne akcje, pomoc przy zbiorach itp. nie pozwalają mówić o rachunku ekonomicznym, o wydajności pracy, dystrybucji i reklamie. Młodzi muszą być sami organizatorami, planistami, wytwórcami i handlowcami rezultatów podjętej przez siebie pracy. Inaczej mówiąc dzieci i młodzież muszą być organizatorami produkcji towarowej lub usługowej od A do Z.*"

Innymi słowy: Dejnarowicz proponuje

FABRYKI W SZKOŁACH

notabene czynne w wolne soboty. Jeżeli ta koncepcja, ogłoszona w niskonakładowych niestety „Wektorach" upowszechni się (do czego niniejszym staram się przyczynić), to zapewne spowoduje niemały huczek w środowiskach oświatowych, przynajmniej jakąś dyskusję (oby nie jałową) o pryncypiach edukacyjnych w społeczeństwie socjalistycznym. Jak na taki księżycowy pomysł — to byłoby sporo...

Nieco edukacji, tyle że historycznej, acz nie bez związku z politycznymi aktualiami, zaoferowały swym czytelnikom wrocławskie „Sprawy i Ludzie" (nr 24 — 14.06.84), przypominając — w artykule Witolda Szkotnickiego „Spojrzenie za przedwojenne kraty" —

SYTUACJE WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH

w zakładach karnych II Rzeczypospolitej.

„*Począwszy od wejścia w życie regulaminu więziennego z roku 1931 występuje szczególnie wzmożona represja w stosunku do działaczy różnych ugrupowań politycznych, a zwłaszcza wobec działaczy ruchu komunistycznego. Np. we wszystkich więzieniach w roku 1931 przebywało 10 993 więźniów politycznych, którzy zostali skazani za działalność w KPP, a w roku 1932 było ich już aż 15 639 (...) Znacznie pogorszyła się w tym okresie sytuacja wszystkich więźniów politycznych. Wpływały na to następujące czynniki: kontynuacja (...) postanowienia o całkowitym zrównaniu więźniów politycznych z kryminalnymi, (...) zakaz tworzenia wspólnych kas oraz dzielenia się z kolegami żywnością otrzymaną z zewnątrz, (...) zakaz posiadania w celach własnego księgozbioru, (...) wprowadzenie (...) przymusu meldowania, stawaniu na baczność, strzyżenia głowy, noszenia ubrań więziennych, stawania twarzą do ściany, obowiązkowy udział w modlitwach, przymusowa praca i inne*".

No cóż, przy pomocy wiedzy historycznej i dokumentów należy podejmować objaśnianie rozmaitych mitów i fałszywych stereotypów, wprowadzanych do obiegu publicznego i traktowanych przez opozycję jako oręż walki politycznej. Ale przeciw mitom i mitomanom współczesnym rzeczowe argumenty nie wystarczają. Dlatego publicyści szukają nowych, skutecznych formuł.

Spore zasługi ma w tej mierze Jan Rem — mistrz groteski politycznej. W kolejnym „Samosądzie" pt. „Konfitury" („Tu i Teraz" nr 25 — 20.06.84) felietonista zastanawia się, co byłoby,

GDYBY BRATKOWSKI ZOSTAŁ ARESZTOWANY

Naciskają oto na Rema (i to w prokuraturze), iżby udzielił poręczenia za nienaganne zachowanie się Bratkowskiego w areszcie tymczasowym. Rem się wzbrania, słusznie przewidując możliwy scenariusz więziennej martyrologii eks-prezesa dziennikarzy — smaczny, ale zbyt długi, by go cytować, poza jednym może fragmentem: „*W powstałej sytuacji Simone Signoret ogłosi gotowość poślubienia Bratkowskiego. (...) Czesław Miłosz napisze „Odę do Bratkowskiego", którą Hanna Skarżanka w czasie tournée po kraju wykonywać będzie basem przy akompaniamencie organów. Sam Bratkowski ogłosi, że w imię pojednania narodowego i światowego skłonny byłby pozwolić na wypuszczenie go z aresztu pod tym jednakże warunkiem, że uprany we włosienницę i bosy wicepremier Rakowski przybędzie do jego celi prosić go o to na kolanach, a scenę tę pokaże telewizja polska i zachodnia*"

Zdruzgotany tą wizją Rem nie udzieli rekomendacji człowiekowi, który od dwóch lat koniecznie chce być aresztowany. I słusznie — to, co śmieszne winno stawać się coraz śmieszniejsze, zgodnie z prawami dialektyki. A przecież tak mało mamy radości.

(Przy okazji — Jan Rem, rekonstruując życiorys niedoszłego męczennika Stefana, mógłby ustrzec się błędów chronologicznych — poręczenie Bratkowskiego w aferze niejakiego Narożniaka i jego kumpla Sapety, znanych z wykradzenia poufnych dokumentów prokuratury, miało miejsce nie w roku 1981, a wcześniej — w listopadzie 1980 roku).

Nieco innych radości dostarczył swym wiernym czytelnikom płomienny krytyk naszej rzeczywistości kulturalnej i społecznej Marek Kasz z „Przeglądu Tygodniowego" (pamiętny ze swej arcykomicznej wyprawy do egzotycznej Łodzi zrelacjonowanej w zabawnej reporterskiej wprawce „Żółta łódź fabryczna"). Marek Kasz mianowicie raczył zastanowić się, dlaczego w polskiej prasie tak pełno jest seksu. Wyszło mu, że to reforma gospodarcza czyli walka o czytelnika, co udowadnia przy pomocy licznych cytatów sumitując się przed swymi wrażliwymi odbiorcami za

TRYWIALNĄ DOSŁOWNOŚĆ OWYCH WSZYSTKICH KUTASÓW I DUP

cytowałujących po kolumnach polskich gazet (nb. „Odgłosy" również zostały zaszczycone cytowaniem, ale nie z „Raz w roku w Skiroławkach", lecz z Sawaszkiewicza i to zupełnie aseksualnego fragmentu; Kaszowi chyba pomieszały się fiszki...)

Ta gigantyczna, jak na krytyczny esej, ilość cytatów, dobranych na ogół ze smakiem i finezją, skłania do przypuszczenia, że Kaszowi nie o treści krytyczne swego dzieła chodziło, lecz o te cytaty właśnie. Z czego wynikałoby, że redakcja „Przeglądu Tygodniowego" również bierze udział w reformie i pogoni za czytelnikiem, wszelako nie mając materiału oryginalnego, posługuje się nożyczkami i kompilatorskimi zdolnościami Kasza. Ten ostatni zaś świętoszkowato powołuje się na wiosnę. Tak tedy my mu też cytatem: „*Cieso ja sie cieso, ze mi cycki rosno, dupa mi się piurcy, bede dawać wiosno*". To z „Polityki" (nr 25 — 23.06.84) gdzie Urszula Biełous odkrywa pornośpiewnik ludowy z „Nowej Wsi".

TOMASZ SAS

PO WYBORACH

Tylko realizm

Prasa codzienna opublikowała komunikaty i obwieszczenia wojewódzkich i Państwowej Komisji Wyborczej, z których wynika, że frekwencja w lokalach wyborczych była bardzo zróżnicowana. Ogółem głosowało nieco mniej niż 75 proc. upoważnionych do dokonania aktu wyborczego. Podano bardzo drobiazgowo wyliczone dane dotyczące wyborów pszczególnych radnych, jak też dane dotyczące frekwencji wyborczej w poszczególnych przypadkach. I tak na przykład w wyborach do miejskich rad narodowych w województwie łódzkim miejskim wzięło udział 62,6 proc. uprawnionych do głosowania, w województwie piotrkowskim — 74.2 proc., w sieradzkim — 81,14 proc., a w skierniewickim — 75,5 proc. Natomiast w województwie piotrkowskim w trzech okręgach wyborczych nie wybrano radnych do GRN Dłutów. W całym kraju takich okręgów jest 85.

Wybory z czerwca 1984 roku w Polsce stały się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Interesowała się ich przebiegiem prasa zagraniczna, szczegółowo informując i nieraz fantastycznie spekulując o tym, co się przed i w trakcie wyborów działo w PRL. Jeden z zagranicznych korespondentów, słysząc jak minister Jerzy Urban porównuje przewidywaną frekwencję w Polsce w frekwencją w wyborach odbywających się na Zachodzie, zarzucił, iż porównywać należy z frekwencją jaka ma miejsce w krajach socjalistycznych.

A Lech Wałęsa — jak zacytowała francuską agencję AFP „Trybuna Ludu" — oświadczył zagranicznym dziennikarzom, iż jeśli nie uda się bojkot wyborów, to on „nie mógłby zrobić nic innego, jak jedynie porzucić swą rolę przywódcy opozycji". Nic więc dziwnego, że Jerzy Urban poradził zachodnim korespondentom, aby teraz pojechali do Gdańska i zapytali obywatela Lecha Wałęsę, co zamierza dalej zrobić? Słowo się bowiem rzekło...

Siedemdziesięciopięcioprocentową frekwencję można interpretować w różny sposób. Nie można tylko zmienić faktu, że prawie 75 procent uprawnionych do głosu udało się do urn wyborczych, dokumentując swą postawą, że oczekują porozumienia się obywateli tego kraju w sprawach tak dużych, jak i małych. Czynem sami opowiedzieli się za dalszą stabilizacją, umacnianiem odnowy socjalistycznej. A trzeba pamiętać, iż na Krajowej Konferencji Delegatów I sekretarz KC PZPR, premier — gen. Wojciech Jaruzelski opowiedział się za odnową jako procesem dialektycznym, nieustającym, postępującym może nie tak gwałtownie, jakby się można było tego spodziewać, ale stale, systematycznie.

Wybory 17 czerwca 1984 roku dokonały się w złożonej sytuacji politycznej. Nikt w kraju nie ukrywa, że społeczeństwo nasze pod względem zapatrywań, postaw i poglądów politycznych jest zróżnicowane. Taka jest po prostu prawda. Chodzi tylko o to, aby tak postępować, iżby te różnice nie przekształciły się w trwałe podziały, iżby przyczyny napięć społecznych i politycznych były i mogły być systematycznie usuwane i przezwyciężane. Taki cel stawią sobie partia, taki cel stawia sobie rząd. Partia kieruje się linią porozumienia i walki. Warto o tym ciągle przypominać. Partia chce porozumiewać się z wszystkimi, którym droga jest Polska i którzy gotowi są działać dla jej dobra w granicach zarysowanych Konstytucją PRL. Walczy natomiast z przeciwnikami socjalizmu spod różnych znaków i różnych maści.

Czy wszyscy, którzy 17 czerwca 1984 roku nie głosowali, to zdecydowani przeciwnicy ustroju, socjalizmu, Polski i jej sojuszy? Oczywiście, że nie. W tych wyborach nie było zamkniętych okręgów wyborczych w szpitalach, sanatoriach, na statkach polskich, w placówkach konsularnych. Szacuje się, że około 5 procent uprawnionych do głosowania nie mogło spełnić swego obowiązku tylko z tego powodu, że znalazło się 17 czerwca 1984 roku poza stałym miejscem swego zamieszkania. A „Ordynacja wyborcza" wyraźnie mówi, że głosować można tylko w miejscu stałego zamieszkania, bądź w miejscu tymczasowego zamieszkania, pod warunkiem że uzyska się takie uprawnienia z miejsca stałego zamieszkania.

A inni? Działały tu różne czynniki. Na przykład wielu ludzi nie poszło do głosowania, bo... obraziło się na władzę. Ktoś inny czegoś nie załatwił, a że dzisiaj zbyt łatwo się uogólnia, więc ten i ów doszli do wniosku, że władza temu jest winna, bo... toleruje biurokratów. Powiadają niektórzy, że w Dłutowie dlatego nie wybrano radnych, bo oni, dłutowianie chcą należeć do Łodzi, a nie do Piotrkowa Trybunalskiego. Może jakby kandydaci na radnych obiecali, że przyłączą Dłutów do Łodzi, to i frekwencja byłaby wysoka. Ale kandydatom na radnych nie wolno było obiecywać wyborcom gruszek na wierzbie oraz bułki z masłem i szynką na każde śniadanie, bo obowiązywał ich realizm, poważne traktowanie i siebie, i wyborców.

Jeśli patrzymy na wybory z 17 czerwca 1984 roku, to patrzymy na nie z realizmem. Spodziewałem się na przykład, że w Łodzi, która zazwyczaj jest spokojna i opanowana, do wyborów pójdzie blisko krajowej średniej, a wynik był inny, zaskakujący poniekąd. Warto się zastanowić, dlaczego tak się stało? Warto wyciągnąć z tego wnioski. Ktoś mi powiedział, że to wszystko przez kobiety. Przed wyborami nie było najlepiej z mięsem, więc się na handel — a przez to i na władzę — obraziły i do urn nie poszły. Może to i prawda. Ale władza — ta od handlu — na ogół mówi, że nie będzie obiecywała, iż w sklepach mięsnych będzie wszystkiego pełno, bo być nie może. Może obiecywać tylko to, co może dać. I daje. Bez zbędnych obietnic. Czy to jest powód do obrazy?

Nad wyborami należy zastanawiać się, ale tylko realnie, w oparciu o fakty, a nie o marzenia, oczekiwania i wyobrażenia. Tylko realizm jest tu potrzebny. Niezależnie od tego powinniśmy teraz skierować naszą uwagę na to, co radni będą robili. Jak przystąpią do opracowania programów działania w oparciu o programy wyborcze, jakie będą realizowane w praktyce sojusze międzypartyjne, sojusze partii i stronnictw w ramach PRON z bezpartyjnymi, jak będą realizowali linię porozumienia. Czy będą potrafili wyciągnąć twórcze korzyści z politycznego i światopoglądowego zróżnicowania? Czy spowodują, aby te różnice okazały się pożyteczne we wspólnym działaniu i nie zadzieniły się w trwałe podziały? To trudne zadanie i obowiązek. Do jego spełnienia potrzeba dobrej woli i politycznego realizmu.

A wyborcy? Wyborcy mają teraz obowiązek kontrolowania pracy rad narodowych. Z tego obowiązku nikt nas nie zwalniał i nie zwolni. Od wyborców też będzie zależało, jak będą pracowały rady.

JAN KONSTANTY WÓJCIK

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nieznajomość prawa nie jest okolicznością łagodzącą

1 lipca 1984 roku wchodzi w życie „Prawo prasowe". Tego dnia **„tracą moc wszelkie przepisy dotyczące przedmiotów w niej unormowanych, a w szczególności traci moc dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 21 listopada 1938 r.".**

„Prawo prasowe"

WYROSŁO Z DUCHA IX NADZWYCZAJNEGO ZJAZDU PZPR

To właśnie w uchwale IX Zjazdu PZPR stwierdzono, iż **„istotnym elementem kryzysu politycznego w naszym kraju była utrata wiarygodności prasy radia i telewizji, spowodowana ograniczeniami w systemie przepływu informacji, w tym administracyjnymi metodami w kierowaniu środkami masowego komunikowania".** Uchwała ta stwierdzała, iż dla przezwyciężenia kryzysu niezbędne są głębokie przeobrażenia w systemie społecznego komunikowania się. **„Jednym z ważniejszych sposobów zapobieżenia w przyszłości kolejnemu kryzysowi zaufania** — stwierdzono w uchwale — **jest przywrócenie właściwego znaczenia i roli opinii publicznej".** Zadaniem prasy, radia i telewizji — czyli systemu społecznego komunikowania się — jest rzetelne informowanie społeczeństwa o tym wszystkim, co dzieje się na szeroko rozumianym świecie, komentowanie tych wydarzeń, a także wyrażanie opinii społecznych na ważne dla wszystkich tematy. Niektórzy określają to również, jako swobodny przepływ informacji z „góry" do „dołu" i z „dołu" do „góry".

Uchwała IX Zjazdu stwierdzała też, że **„aby umożliwić rzetelne informowanie opinii publicznej, należy zapewnić dziennikarzom prawnie zagwarantowany dostęp do niezbędnych im informacji, a także pełnię praw i warunki do prezentowania materiałów krytycznych i polemicznych — bez względu na stanowisko osób, które są obiektem krytyki lub starcia poglądów. Wiąże się to ze wzrostem odpowiedzialności dziennikarzy i redakcji za słowo. Muszą zostać stworzone gwarancje właściwego i szybkiego reagowania na krytykę w prasie, radiu i telewizji."** Na zakończenie uchwała stawiała zadania przed partyjnymi posłami na Sejm, aby spowodowali możliwie szybkie opracowanie ustaw o kontroli publikacji i widowisk, i ta została przyjęta w 1981 roku oraz prawo prasowe i ono wchodzi w życie 1 lipca 1984 roku.

CO SIĘ ZMIENI PO 1 LIPCA 1984 ROKU!

W zasadzie nic. Po prostu szereg spraw z działalności prasy, radia i telewizji zostaje prawnie unormowane. Będzie to wprawdzie wymagało jeszcze szczegółowych przepisów wykonawczych oraz praktyki, w wyniku której powstanie konkretna interpretacja szczegółowych czy ogólnie sformułowanych przepisów. Dobry obyczaj wszakże wymaga, aby Czytelników poinformować o prawnych zasadach, na jakich teraz opierać się będzie działalność prasy, radia i telewizji. Dziennikarze wykonują przecież swoją pracę dla czytelników i odbiorców. Ci powinni wiedzieć, na jakiej się to będzie działo prawnej podstawie, czego mogą oczekiwać i jakie w tym układzie mają uprawnienia.

„Prawo prasowe" w Rozdziale I, Artykule 1 precyzuje trzy cele działalności prasowej:

1. rozpowszechnianie informacji oraz wyrażanie opinii, które mają służyć **„rozwojowi socjalistycznych stosunków społecznych, gospodarki narodowej, nauki i kultury, współpracy międzynarodowej w duchu pokoju",**

2. urzeczywistniania zasady jawności życia publicznego i kontroli społecznej, ujawniania i krytykowania ujemnych zjawisk w życiu społecznym i gospodarczym, prowadzenia działalności interwencyjnej i organizatorskiej,

3 umożliwiania odbiorcom udziału w konsultacjach, a przez to uczestniczenia w podejmowaniu ważnych dla życia społecznego i gospodarczego decyzji.

„Prawo prasowe" zobowiązuje organa państwowe do stworzenia prasie warunków realizacji jej celów, zastrzegając jednocześnie, że mają one umożliwiać **„działalność redakcjom dzienników i czasopism zróżnicowanych pod względem programu, zakresu tematycznego i prezentowanych postaw".** Jest to niezwykle ważne stwierdzenie, gdyż obecnie dość często ujawniają się tendencje do zbytniego ujednolicania między innymi działalności prasowej.

Jest tu niezbędne pewne wyjaśnienie. Ustawa z 26 stycznia 1984 roku nosi nazwę „Prawo prasowe", ale dotyczy również radia, telewizji, Kroniki Filmowej i innych publikacji. Artykuł 7 wyjaśnia tę kwestię następująco:

„... prasa oznacza publikacje periodyczne, które nie tworzą zamkniętej jednorodnej całości, ukazujące się nie rzadziej niż raz do roku, opatrzone stałym tytułem albo nazwą, numerem bieżącym i datą, a w szczególności: dzienniki i czasopisma, serwisy agencyjne, stałe przekazy teleksowe, biuletyny, programy radiowe i telewizyjne oraz kroniki filmowe; prasą są także wszelkie istniejące i powstające w wyniku postępu technicznego środki masowego przekazywania, w tym także rozgłośnie oraz telewizyjne i radiowęzły zakładowe, upowszechniające publikacje periodyczne za pomocą druku, wizji, fonii lub innej techniki rozpowszechniania; prasa obejmuje również zespoły ludzi i poszczególne osoby zajmujące się działalnością dziennikarską."

Tak więc ustawa posługując się pojęciem „prasa" traktuje o wszystkich tych wyżej wymienionych sposobach społecznego komunikowania się. I w tym sensie będę dalej tego terminu używał.

„Prawo prasowe" zabrania pracownikom poligrafii i kolportażu, a zatem i pracownikom innych sposobów rozpowszechniania publikacji, utrudniać w jakikolwiek sposób drukowanie czy rozpowszechnianie publikacji prasowych **„z powodu ich linii programowej albo treści".**

WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ OD INFORMACJI

Ona jest podstawą wszelkiej działalności prasowej, ona ma zasadnicze znaczenie dla sprawnie funkcjonujących społeczeństw, dla prawidłowego rozwoju demokracji. Nie przypadkiem więc „Prawo prasowe" wiele uwagi poświęca informacji. Stwierdza ono, że wszystkie państwowe instytucje, spółdzielnie, związki zawodowe, organizacje samorządowe jak i **„osoby prowadzące działalność gospodarczą na własny rachunek"** są **„obowiązane do udzielania prasie informacji o swojej działalności".** Oczywiście istnieje granica tego obowiązku. Stanowią ją tajemnica państwowa, służbowa lub inna chroniona ustawą. Tak więc kierownictwo wszystkich tych instytucji, które są prawem zobowiązane do udzielania informacji mają prawo jej odmówić. Mogą się w tej odmowie zasłonić tajemnicą służbową lub inną. Nie oznacza to jednak, że redakcja musi taką argumentację przyjąć.

Redakcja może zażądać od danej instytucji pisemnego uzasadnienia swojej odmowy, a gdy to uzasadnienie będzie niewystarczające może je zaskarżyć do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Ma na to miesiąc czasu. Sąd też ma określony czas na rozpatrzenie tej skargi. Pomyślano to pięknie, rzecz tylko w tym, że po tym czasie informacja może już być absolutnie zdezaktualizowana i przydać się jedynie psu na budę. Takie postępowanie może być im wygodne, instytucji, na przykład w przypadku, gdy w przedsiębiorstwie bałagan, straty i inne nieprawidłowości, a jego kierownictwo chce za wszelką cenę ustrzec się krytyki. Chociaż w sprawie krytyki przepisy są dość rygorystyczne. Tylko, że myśmy się już nauczyli obchodzić najdoskonalsze i najsurowsze przepisy oraz wykorzystywać je dla własnej lub instytucji korzyści.

Jeszcze w sprawie informacji. Dotyczy to Artykułu 5, który pozwolę sobie przytoczyć w całości:

„1. Każdy obywatel, zgodnie z zasadą wolności słowa i prawem do krytyki, może udzielać informacji prasie.

2. Nikt nie może być narażony na uszczerbek lub zarzut z powodu udzielania informacji prasie, jeżeli działał w granicach prawem dozwolonych."

„Prawo prasowe" w Artykule 11 stanowi, że do udzielania informacji prasie zobowiązani są kierownicy instytucji i organizacji, a jednocześnie, zobowiązani oni są do umożliwiania dziennikarzom swobodnego zbierania informacji wśród pracowników. Jeśli dziennikarz zanotuje dosłowne brzmienie wypowiedzi swego informatora, a wypowiedź ta nie była do tej pory nigdzie publikowana, to nie może on odmówić na wyraźne żądanie informatora autoryzacji tej wypowiedzi. Informator nie może natomiast sugerować się przy autoryzacji komentarzem lub kontekstem, w jakim wypowiedź ta została umieszczona, to nie może być warunkiem [illegible] zgody na opublikowanie wypowiedzi. Stanowią o tym pkt. 3 i 4 Artykułu 14.

Wymagania te wzbudziły wiele dyskusji. Próbowano nawet sugerować, że ograniczy to możliwość uprawiania reportażu. Reportaż przeżywa obecnie kryzys z innego powodu. Natomiast żądanie autoryzacji wypowiedzi nie jest niczym nowym. Zdarzało się i do tej pory. Nie jest to — jak to niektórzy probowali interpretować — obowiązek autoryzowania każdej wypowiedzi, ale obowiązek autoryzowania tylko tych, których autorzy wyraźnie sobie tego zażyczą. Informator może też zastrzec, iż udzielane informacje podaje tylko do wiadomości dziennikarza, dla zorientowania się w całokształcie sprawy, a informacje te nie mogą być publikowane.

W tym miejscu przechodzimy do tego,

JAKIE OBOWIĄZKI MA DZIENNIKARZ!

Dziennikarzem — stwierdza Artykuł 7, pkt. 5 — jest **„osoba zajmująca się redagowaniem, tworzeniem lub przygotowywaniem materiałów prasowych, pozostająca w stosunku pracy z redakcją albo zajmująca się taką działalnością na rzecz i z upoważnienia redakcji".** Dziennikarzami są więc współpracownicy danego pisma i ich działalność musi również odbywać się w ramach przepisów i postanowień zakreślonych przez „Prawo prasowe". Tu trzeba wyjaśnić, co w świetle tego prawa jest **„materiałem prasowym".** Jest nim **„każdy opublikowany lub przekazany do opublikowania w prasie tekst albo obraz o charakterze informacyjnym, publicystycznym, dokumentalnym lub innym niezależnie od środków przekazu, rodzaju, formy, przeznaczenia czy autorstwa".**

Rozdział 2 „Prawa prasowego" mówi o prawach i obowiązkach dziennikarzy. **„Zadaniem dziennikarza** — głosi Artykuł 10, pkt 1 — **jest służba społeczeństwu i państwu".** Jego obowiązkiem jest postępować zgodnie z etyką zawodową i zasadami współżycia społecznego oraz obowiązującymi przepisami prawnymi. Ma on prawo zbierać informacje, ale musi przy tym **„zachować szczególną staranność i rzetelność", musi „sprawdzać zgodność z prawdą uzyskanych informacji"** oraz podawać ich źródło. Jest zobowiązany do ochrony dóbr osobistych i interesów osób przekazujących mu informację. Nie wolno mu prowadzić działalności reklamowej, ani jawnej, ani ukrytej, jak też uzyskiwać z tego jakichkolwiek korzyści materialnych. Jest on też zobowiązany do przestrzegania tajemnicy zawodowej.

Utarł się u nas

ZWYCZAJ PISANIA ANONIMÓW DO REDAKCJI

Brzydki to zwyczaj, ale jest faktem. Jest on odbiciem stosunków panujących w różnych grupach społecznych, instytucjach, przedsiębiorstwach. Ludzie boją się ewentualnych represji ze strony krytykowanych, klik, przełożonych, więc wolą nie podawać swego nazwiska. Często jednak — chyba już z nawyku — nie podpisują swoich listów, gdy polemizują z autorem takiej czy innej publikacji. W tym wypadku nie mają żadnych powodów do obawy. A jednak!

Otóż „Prawo prasowe" sprawę tę załatwia w interesie tych wszystkich, którzy chcieliby napisać list do redakcji albo nawet opublikować artykuł, ale mają takie czy inne obawy. Prawo powiada więc, że **„autorowi materiału prasowego przysługuje prawo zachowania w tajemnicy swego nazwiska".** Ale to nazwisko musi znać redakcja. Nie oznacza to bowiem, że autor przysyła tekst do redakcji i pisze, że korzysta z prawa zachowania swego nazwiska w tajemnicy. Tego tak interpretować nie można, bowiem to samo prawo powiada, że jeśli do redakcji wpłynął tekst, który nie jest podpisany **„w sposób umożliwiający redakcji identyfikację autora",** to redakcja nie musi z tego tekstu korzystać. Dotyczy to przede wszystkim sprostowań, wyjaśnień, odpowiedzi, polemik, a więc wszelakiego rodzaju listów do redakcji. Ich autorzy są zobowiązani do podania niezbędnych informacji o sobie (imię, nazwisko, adres oraz życzenie, jak korespondencja ma być podpisana w druku), a redakcja jest zobowiązana prawnie do utrzymania tych wiadomości w tajemnicy. Dotyczy to również pracowników technicznych redakcji oraz pracowników wydawnictw.

Dziennikarz może być zwolniony od zachowania tajemnicy zawodowej tylko w przypadku, gdy dotyczy to przestępstw rozpatrywanych przez sąd, bądź kiedy jego informator wycofa uprzednie zastrzeżenia. Dotyczy to również autorów listów do redakcji. A co więcej dotyczy to również osób będących w stanie oskarżenia, a których sąd jeszcze nie skazał prawomocnym wyrokiem.

Jest w „Prawie prasowym"

ARTYKUŁ 13, KTÓRY BUDZI WIELE WĄTPLIWOŚCI

W punkcie 1 powiada on, że nie wolno wypowiadać opinii co do rozstrzygnięć **„w postępowaniu sądowym przed wydaniem orzeczenia w 1. instancji".** To jest w porządku. Sąd powinien być niezależny. W punkcie 2 natomiast artykuł ten głosi: **„Nie wolno publikować w prasie danych osobowych i wizerunku osób, przeciwko którym toczy się postępowanie przygotowawcze lub sądowe, jak również danych osobowych i wizerunku świadków, pokrzywdzonych i poszkodowanych, chyba że osoby te wyrażą na to zgodę."**

Co prawda prokurator bądź sąd może zezwolić **„ze względu na ważny interes społeczny"** na ujawnienie tych dawnych, ale nikt dziś jeszcze nie wie, czy stanie się to regułą, czy też będzie tylko wyjątkiem. Wątpliwości mają przede wszystkim sprawozdawcy sądowi oraz sądowi reporterzy. Niezbędna tu jest praktyka, która być może rozwieje te wątpliwości, a być może będzie wymagała szczegółowych przepisów, które sprawę właściwie uregulują.

Ma ona jednak szerszy charakter. Otóż na różnych zebraniach, spotkaniach, w różnych dyskusjach padają często zarzuty pod adresem prasy, radia i telewizji, że pisząc i mówiąc o różnych przestępcach używa się tylko imienia i inicjału nazwiska. — Jakże to tak — powiadają ludzie — zamiast napiętnować zło z imienia i nazwiska chroni się przestępców i złoczyńców. Włodzimierz Krzemiński w felietonie „Janusz P. o Januszu P. do Janusza P." drukowanym w „Odgłosach" również wyrażał podobne oburzenie.

Trzeba przede wszystkim pamiętać, że zanim nie zapadnie prawomocny wyrok człowiek tak długo jest tylko podejrzany. Wina musi zostać udowodniona. Sąd orzeka o winie i karze. Wówczas można podać pełne imię i nazwisko skazanego. A jeżeli sąd oczyści człowieka z winy? Nie tak dawno wielu różnych ludzi było oskarżonych o różne rzeczy, ale mało z nich zostało skazanych. Okazało się, że oskarżenia były wydumane. Ale na nazwiskach tych ludzi pozostała jakaś plama. O oczyszczeniu ich z winy pisano raczej mało. Lepiej więc przed prawomocnym wyrokiem być ostrożnym. A że ta ochrona dotyczy też notorycznych bandytów, to już inna sprawa.

I wreszcie

PRAWO DO KRYTYKI

Daje je prasie Artykuł 6 — i nie tylko — którego pkt. 4 głosi, iż **„nie wolno utrudniać prasie zbierania materiałów krytycznych ani w inny sposób tłumić krytyki".** Natomiast Artykuł 43 powiada wręcz:

„Kto używa przemocy lub groźby bezprawnej w celu zmuszenia dziennikarza do opublikowania lub zaniechania opublikowania materiału prasowego albo do podjęcia lub zaniechania interwencji prasowej — podlega karze pozbawienia wolności do lat 3."

I Artykuł 44:

„1. Kto utrudnia lub tłumi krytykę prasową — podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny.

2. Tej samej karze podlega, kto nadużywając swego stanowiska lub funkcji działa na szkodę innej osoby z powodu krytyki prasowej, opublikowanej w społecznie uzasadnionym interesie."

Krytyka jest czymś nieprzyjemnym, nikt nie lubi być krytykowanym, ale krytyka jest niezbędna dla prawidłowo rozwijającego się i funkcjonującego społeczeństwa. Krytykowanemu, a dotyczy to również instytucji, przedsiębiorstw, organizacji, związków zawodowych i samorządów, przysługuje prawo **odpowiedzi na krytykę** „Prawo prasowe" powiada, że wszyscy są obowiązani **„do udzielenia odpowiedzi na przekazaną im krytykę bez zbędnej zwłoki, nie później jednak niż w ciągu miesiąca".** Natomiast redakcje są zobowiązane do opublikowania tej odpowiedzi w dziennikach w ciągu 7 dni, a w czasopismach **„w najbliższym lub jednym z dwóch następujących po nim przygotowywanych do druku numerów".** Jeżeli natomiast „strony" umówią się na piśmie co do innego sposobu opublikowania odpowiedzi wyjaśnienia czy sprostowania to obowiązuje ta umowa.

Redakcja nie może dokonywać żadnych zmian w nadesłanym tekście bez zgody jego autorów. Chodzi o takie zmiany, które by **„osłabiały jego znaczenie lub zniekształcały intencje autora sprostowania".** I dalej:

„... tekst sprostowania nie może być komentowany w tym samym numerze...; nie odnosi się to do odpowiedzi; nie wyklucza to jednak prostej zapowiedzi polemiki lub wyjaśnień".

Oznacza to, że redakcja nie musi w sposób bezkrytyczny przyjmować wszelkich wyjaśnień i sprostowań. Może z ich treścią polemizować, ale w następnym numerze. Nie znaczy to też wcale, że piszący wyjaśnienia mogą prezentować tasiemcowe teksty. „Prawo prasowe" stanowi bowiem:

„Tekst sprostowania lub odpowiedzi nie może być dłuższy od dwukrotnej objętości fragmentu materiału prasowego, którego dotyczy, redaktor naczelny nie może wymagać, aby sprostowanie lub odpowiedź były krótsze niż pół strony znormalizowanego maszynopisu."

Sprostowania i odpowiedzi muszą być **„rzeczowe i odnoszące się do faktów",** a także nie mogą zagrażać niczyim dobrom osobistym. Gdyby tak było redakcja może odmówić opublikowania takich tekstów. Może ona też odmówić opublikowania tekstów, które **„zawierają treść karalną",** występują przeciwko konstytucyjnemu ustrojowi PRL, zasadom polityki zagranicznej, sojuszom, naruszają tajemnicę państwową lub **„noszą znamiona zniesławienia lub obrazy".**

Można również nie opublikować sprostowania lub odpowiedzi jeśli **„nie dotyczy treści zawartych w materiale prasowym",** pochodzi od osoby, **„której nie dotyczą fakty przytoczone w prostowanym materiale",** chyba, że występuje ona w obronie interesów osoby zmarłej oraz jeżeli jest to sprostowanie dotyczące wiadomości już wyjaśnionej. A także, jeśli **„sprostowanie lub odpowiedź zostały nadesłane po upływie miesiąca od dnia opublikowania materiału prasowego"** Nie dotyczy to wypadków, kiedy osoba pisząca sprostowanie nie była w stanie zapoznać się wcześniej z materiałem prasowym, na przykład ze względu na nieobecność w kraju czy pobyt w szpitalu. I wreszcie można nie opublikować sprostowania czy odpowiedzi, jeśli **„nie została podpisana w sposób umożliwiający redakcji identyfikację autora",** o czym już wspominałem.

Redakcja ze względu na dobro sprawy może zaproponować autorowi czy autorom sprostowania czy odpowiedzi wprowadzenie niezbędnych poprawek i po ich wprowadzeniu sprostowanie czy odpowiedź opublikować. Można też — za zgodą zainteresowanych — jeśli sprostowanie czy odpowiedź nie nadaje się do druku, opublikować odredakcyjne jej omówienie.

Dość szeroko rozpisałem się o tych sprawach, gdyż mają one w pracy każdej redakcji ważne znaczenie. Szanujemy listy od Czytelników, pragniemy je publikować, w tym również polemiki, sprostowania i wyjaśnienia, a także odpowiedzi, ale muszą one odpowiadać wymaganym prawem przepisom i dobrze, aby o tym nasi Czytelnicy wiedzieli. „Prawo prasowe" ma bowiem służyć nie tylko dziennikarzom, ale i Czytelnikom, jak też instytucjom i organizacjom, ma normować nasze wzajemne stosunki i dlatego powinno być powszechnie znane. W ten sposób można uniknąć poważnych nieporozumień, a często i niepotrzebnych konfliktów. Warto też wiedzieć, że nieznajomość prawa nie jest i nie może być okolicznością łagodzącą.

Myśl polityczna Bolesława Limanowskiego

Książę niezłomny polskiej demokracji

3

ZENON JANUSZ MICHALSKI

„Jestem za prawdziwą Rzecząpospolitą, w której panuje prawo i wolność, równość w prawie obywateli, aby Polska była naprawdę wolna..."

Zawarte w tytule określenie jest może zbyt pompatyczne jak na dzisiejsze czasy, ale użyto go ponad siedemdziesiąt lat temu, kiedy to w lwowskim „Życiu" z 10 grudnia 1910 roku relacjonowano przebieg uroczystości z okazji 50-lecia działalności Bolesława Limanowskiego. Trafne to zresztą określenie, bo takim był, gdy z żelazną konsekwencją walczył o Niepodległą i Demokratyczną i takim pozostał w Polsce Odrodzonej, gdzie rzeczywistość okazała się jakże odległa od marzeń i dążeń.

Całe swoje życie podporządkował sprawie niepodległości i socjalizmu. Odzyskana niepodległość stwarzała nową sytuację, którą w pełni sobie uświadamiał. Rozumiał, że całą energię poświęcić teraz będzie trzeba budowie demokratycznego państwa, obronie i rozwijaniu tej demokracji jako początku drogi do socjalistycznych przeobrażeń.

Już w pierwszych dniach niepodległości rysuje się możliwość podjęcia przez Limanowskiego politycznej działalności w służbie państwowej. 24 listopada 1918 roku ówczesny kierownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Tytus Filipowicz, wystosował list następującej treści:

„W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej zwracam się do Pana z prośbą wzięcia udziału w delegacji rządu, która uda się w najbliższej przyszłości do państw zachodnich europejskich i do Ameryki celem nostryfikacji powstania Państwa Polskiego. Licząc na zgodny współudział Pana w delegacji proszę o przyjazd do Warszawy, co do dalszego porozumienia się..."

Do wyjazdu jednak nie doszło, ponieważ — trudno powiedzieć z jakich przyczyn — minister Leon Wasilewski zmienił w ostatniej chwili skład delegacji.

Coraz więcej wątpliwości miał co do rzeczywistych dążeń Józefa Piłsudskiego. Kiedy 20 grudnia 1918 roku Piłsudski przyjechał do Krakowa, w imieniu deputacji ludu krakowskiego powitał go Bolesław Limanowski. Zapisał to w swych pamiętnikach następująco:

„Wielkie dzieło, które przedsięwziął Kościuszko w pamiętnym roku 1794 nie zostało wskutek klęski pod Maciejowicami poniesionej dokończone. Teraz Tobie Naczelniku przypada być godnym następcą Kościuszki i dokończyć rozpoczęte przez niego dzieło przebudowy ustroju społecznego. Piłsudski zbliżył się do mnie i prawie szeptem powiedział. „Ja teraz nie należę do partii, zależę od narodu". Słowa te jego zmroziły mnie. Już poprzednio zaczęło mnie razić jego antysocjalistyczne rozmiłowanie się w militaryzmie. Zdaniem moim, porzucenie partii, do której się należało, oznacza wyrzeczenie się swoich przekonań".

Z początkiem 1919 roku przeniósł się Limanowski z Krakowa do Warszawy, ale już w kwietniu przyjechał do Krakowa, aby wziąć udział w zjednoczeniowym kongresie socjalistów.

„Zebraliście się — **powiedział w swym przemówieniu —** *żeby się porozumieć co do działania, które nas czeka, do pracy nad utworzeniem Rzeczypospolitej Socjalistycznej..."*

Występował przeciw wojnie Polski z Rosją Radziecką.

„Robotnicy i chłopi — **pisał** *domagają się, by już skończyć z wojną. Wyczerpuje ona wszystkie siły narodu..."*

Gdy jednak losy wojny odmieniły się i Rosjanie zbliżyli się do Warszawy, wygłosił 8 sierpnia płomienne przemówienie na wiecu koło mostu Poniatowskiego.

Wiele uwagi poświęcał problemom zachodniej granicy Polski. Aktywnie włączył się w sprawę powstań śląskich, z jego to między innymi inicjatywy organizowano w Warszawie Komitet Obrony Śląska. Napisał w tym okresie broszurę „Polityka wynaradawiająca rządu pruskiego w stosunku do ludności polskiej". 13 listopada 1922 roku Bolesław Limanowski został wybrany senatorem. Jako najstarszy wiekiem — miał już wtedy 87 lat — wygłaszając przemówienie inauguracyjne stwierdził:

„...jest to ważny znak czasu, że pierwsze posiedzenie rozpoczynające czynność Senatu otwiera socjalista..." **I kontynuując, tak określił swoją partię:** *„...dwa najbardziej despotyczne rządy carsko-rosyjskie i cesarsko-niemiecko-pruskie, gwałtownie, przemocą niszczyły naszą narodowość usiłując przerobić nas z jednej strony na Moskali, a z drugiej na Niemców. Wówczas to w 1892 roku powstało stronnictwo Polskiej Partii Socjalistycznej, do której i ja należę... PPS prowadziło zawziętą walkę przeciwko despotyzmowi, przeciwko wszelkiemu gnębieniu i wyzyskowi zarówno w sprawie narodowej jak i społecznej. Przyczyniła się ona niemało, że runęły na ziemiach naszych wszystkie despotyzmy".*

Nawoływanie Limanowskiego w Senacie do tego, by pracować zgodnie *„z całym oddaniem się dla naszej Rzeczypospolitej"* **nie znalazły potwierdzenia w postawach ugrupowań politycznych. Uwidoczniło się to w sposób szczególny w czasie wyborów prezydenckich, kiedy to niezadowolona z wyniku prawica próbowała nie dopuścić do zaprzysiężenia prezydenta blokując dojścia do gmachu Sejmu. Sędziwego Bolesława Limanowskiego i innych posłów socjalistycznych rozwydrzony tłum uwięził w bramie domu na placu Trzech Krzyży 10, skąd uwolniła ich dopiero odsiecz robotnicza. Limanowski ten dramatyczny epizod swego życia skwitował w pamiętnikach krótko:**

„... 11-go przysięga Narutowicza. Zamieszki uliczne, moje przygody..."

Dnia następnego po śmierci Narutowicza, przemawiając na akademii z okazji 30-lecia Polskiej Partii Socjalistycznej i 60-lecia swej działalności, oświadczył Limanowski, że *„mord ten był wynikiem długotrwałego spisku czarnosecińców, którzy terrorem i gwałtem chcą obejmować władzę, do tego jednak nie dopuści klasa robotnicza..."*

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza i położenie klasy robotniczej, polityka rządu Chjeno-Piasta — wszystko to nastawiało Limanowskiego coraz bardziej krytycznie do istniejącej rzeczywistości. 9 czerwca 1923 r. odmówił honorowego prezesowania na wiecu na cześć Józefa Piłsudskiego i wyjechał do Włocławka, aby dokonać otwarcia Uniwersytetu Robotniczego. 23 czerwca uchylił się od udziału w raucie na Zamku z okazji wizyty króla rumuńskiego, a 29 października na wiecu poselskim w Warszawie stwierdził:

„...idzie ku nam sromotna niewola ekonomiczna, do której doprowadza rząd obecny, który swoją polityką we wszystkich gałęziach prowadzi kraj do przepaści — do ruiny umysłowej i gospodarczej — do bankructwa moralnego i finansowego... ci, którzy usunąć grożącego niebezpieczeństwa nie potrafią, powinni ustąpić! Iść precz!..."

W pierwszych dniach grudnia 1924 roku przebywał Limanowski w Łodzi, na zaproszenie łódzkich włókniarzy. Przemawiając do nich powiedział, że Polska socjalistyczna jest *„wielką rzeczywistością ku której coraz bardziej się zbliżamy".*

Wypadki majowe zwiastujące kryzys burżuazyjnej demokracji parlamentarnej w Polsce zapoczątkowały kolejny etap w politycznym myśleniu Bolesława Limanowskiego. Wraz z partią poparł Piłsudskiego, ale krytycyzmu wobec niego się nie wyzbył. Szczególnie nie podobało się Limanowskiemu *„deklarowanie Piłsudskiego, że nigdy nie chciał należeć do żadnego stronnictwa. Gdyby Piłsudski nie należał do stronnictwa, które dało mu możność wykazania się w czynach, nie doszedłby z pewnością do dzisiejszej swej popularności..."*

Jesień 1926 roku to całkowite zmiany stosunku Limanowskiego do Piłsudskiego. W pamiętnikach pod datą 9 listopada zanotował:

„Co się dzieje z Piłsudskim? Coraz bardziej zaprzecza swej przeszłości..."

17 stycznia 1927 roku:

„Masowe aresztowania komunistów i Białorusinów budzą podejrzenia o ich prowokacyjnym charakterze. Czy nie toruje sobie rząd drogi do zmiany ordynacji wyborczej ..."

25 stycznia:

„obecny rząd okazuje się gorszy od Witosa i Kiernika. Zhańbił Polskę samowolnym aresztowaniem posłów białoruskich..."

Położenie mniejszości narodowych w Rzeczypospolitej Polskiej niepokoiło Bolesława Limanowskiego już znacznie wcześniej. 16 maja 1924 roku ukazał się w „Robotniku" jego artykuł „W sprawie polityki narodowościowej". Pisał w nim:

„Taka polityka narodowościowa jaką niestety uprawiały i uprawiają dotychczas rządy polskie jest wręcz przeciwna temu nastrojowi samorządowemu Europy. Stąd pochodzi jej nieżyczliwe usposobienie do naszego narodu. Widzi ona w nim krzywdziciela i niewdzięcznika za pomoc udzieloną do wyzwolenia się jego własnego. Dziwić się też nie możemy, że tak uprzedzona, rozsądza nieprzyjaźnie dla nas nawet te sprawy, w których mamy zupełną słuszność po swojej stronie.

I taką krzywdzicielską politykę uprawia się przeważnie w stosunku do narodów, z którymi przeszłość nasza dziejowa łączyła (nas) i bratała. Wbrew odzewom naszym powstańczym, powołującym te narody do samodzielnego życia, wbrew dekretom 1863 roku zapewniającym im równoprawne ich uczestnictwo we wskrzeszonej Rzeczypospolitej, polityka dzisiejsza poszła śladami Bismarcka i Stołypina. I osiągnęła ten skutek, że w najbardziej bratnio do nas usposobionych Białorusinach wzniecila nienawiść..."

W pamiętnikach — opatrzonych datą 31 maja 1927 roku znajduje się następujący zapis:

„Rada Naczelna PPS, która obradowała dwa dni poprzednie, ogłosiła w dzisiejszym „Robotniku" swą rezolucję: „opozycja przeciwko całemu rządowi..."

W lipcu tegoż roku ukazał się w „Gazecie Warszawskiej Porannej" artykuł Adolfa Nowaczyńskiego, w którym autor uznał, że to Bolesław Limanowski zapoczątkował atak na legendę Józefa Piłsudskiego zwracając uwagę na sensacyjną *„febrę do arystokratyzmu, wyciągania „kniaziowskich protoplastów".*

Zamieszczony 21 sierpnia 1927 roku w „Robotniku" artykuł Borskiego pt. „Wódz" zawierał stwierdzenie, że *„...Piłsudski nie był fetyczem, jakim się stał dopiero po wojnie z lekkiej ręki piłsudczyków mumifikujących jego zasługi."* **Bolesław Limanowski określił w pamiętnikach ten artykuł jako znakomity.**

Także komentując dekret prezydenta o sądownictwie Limanowski uznał go za nowe pogwałcenie konstytucji, jawny zamach na niezależność sądów.

„Prezydent staje się lalką w rękach reakcji..." — **pisał.**

W wyborach do Senatu w 1928 roku Bolesław Limanowski został senatorem. W pamiętnikach 21 marca 1928 roku, zanotował:

„...jestem już wybrany do senatu. Przygotowuję przemówienie".

Nie dane mu było jednak wygłosić tego przemówienia. Piłsudski, sprawujący wówczas urząd premiera, wbrew obyczajom europejskim, zakomunikował, że posiedzenie Senatu otworzy nie najstarszy wiekiem senator, lecz prof. Maksymilian Thullie — polityk chadecki.

Nie wygłoszoną mowę Limanowskiego zamieścił „Robotnik". Nawoływał w niej sędziwy senator, aby nie traktować narodu *„...jako niewolnika, któremu się narzuca z góry to co wydaje się pewnym osobom za najdoskonalsze i najlepsze podług ich widzenia...".*

W roku 1928 narastał w Polskiej Partii Socjalistycznej kryzys na tle stosunku do polityki Józefa Piłsudskiego. Uchwała Rady Naczelnej PPS głosiła:

„Stanowisko opozycyjne, obrona demokracji i parlamentaryzmu, żadnego rozłamu, zgodność w sprawach zasadniczych..."

20 października Limanowski zanotował w pamiętnikach:

„Liczne protesty przeciwko warcholskiej robocie Moraczewskiego i Jaworowskiego. Napisałem list do „Robotnika" przeciwko rozbijaczom PPS..."

W liście tym piętnował *„grupę byłych towarzyszy", która podniosła rękę na całość Polskiej Partii Socjalistycznej. Wiemy wszyscy, że ta robota „rozłamowa" wszczęta została z rozkazu obozu rządowego..."*

Wyrazem pełnej dezaprobaty i protestu przeciw narastającemu kryzysowi gospodarczemu moralnemu i politycznemu był list otwarty Bolesława Limanowskiego do Ignacego Mościckiego, prezydenta Rzeczypospolitej, wysłany w październiku 1929 roku.

„Przed Pański sąd i przed sumienie Pańskie stawiam tę skargę, w której odzywa się gorzki żal i słuszny gniew olbrzymiej większości narodu... Czy nie widzi Pan, Panie Prezydencie, tego co się tu u nas dzieje?... Od dawna odbywa się u nas codzienne łamanie prawa, dochodzi do szczytu rozpasanie, samowola władz centralnych i ta rozpościera się jak zaraza na całe państwo, rodząc samowolę we wszystkich szczeblach władz, aż do ostatniego egzekutora podatkowego i fałszerza opinii publicznej — cenzora... Pozbawiony podstaw prawnych organizm państwowy znajduje się w rozkładzie... Niszczy się moralność publiczną. Pieniądze rozdawane są hojnie i bez miary, stanowiska naczelne rozdawane nie według uzdolnień, a wedle gotowego na wszystko lokajstwa kandydatów, to, co oznaczamy mianem korupcji, otoczyło sfery rządzące — grupę ludzi niepowołanych, małych, sprzedajnych, nieraz wprost nikczemnych. Poniża się parlament, zohydza się posłów niezależnych, wprowadza najbezwzględniejszą demagogię, ku obaleniu jedynej ostoi ładu państwowego i demokracji, którą jest konstytucyjnie zawarowane przedstawicielstwo narodowe... Masy robotnicze i chłopskie domagają się jednolitego dla wszystkich prawa i obrony swego bytu, a gdy przemocą odbiera się im prawo, głos wolny i możność walki o swoje dobro, wówczas nadchodzi moment buntu i fala gniewu mas wstrząsa posadami państwa.

Ten moment nadchodzi, zbliża się z każdym dniem. Kto odpowie za to co może nastąpić i prędzej czy później nastąpić musi? Wielu odpowie za cały system rządzenia, ale przede wszystkim Pan pierwszy odpowie, Panie Prezydencie, jako że jest Pan pierwszym w narodzie obywatelem...".

Wkrótce potem, w warunkach dalszego pogarszania się stosunków między rządem a parlamentem, doszło do utworzenia Centrolewu — porozumienia stronnictw lewicowych i centrowych dla obrony demokracji parlamentarnej.

Na dzień 29 czerwca 1930 roku zwołano do Krakowa Kongres obrony praw i wolności ludu. Stan zdrowia nie pozwolił Limanowskiemu przybyć na Kongres — miał już wówczas 95 lat — nadesłał jednak list, w którym stwierdził:

„...odmówić uległości tej dyktaturze, której nie chodzi o dobro i sprawiedliwość wszystkich obywateli kraju, lecz o pochwycenie tłustych posadek... Życzę więc Kongresowi z całego serca, aby dopiął swojego celu i nie dopuścił, ażeby spadła na naród hańba, jaką była sprowadziła przemoc przeklętej Targowicy..."

Przybył natomiast Limanowski na wiec protestacyjny w Warszawie po aresztowaniu przywódców opozycji i przewiezieniu ich do Brześcia. Do uczestników wiecu powiedział:

„Jestem za prawdziwą Rzecząpospolitą, w której panuje prawo i wolność, równość w prawie obywateli, aby Polska była naprawdę wolna, błogosławiona przez ludy, a nie pogardzana, Polska, w której kochano by i szanowano wszystkich obywateli. To zgroza, by zasłużonych obywateli łapano jak zbrodniarzy i wywożono ich do najgorszych więzień... Niechaj endecki prokurator Michałowski i carski policjant polski każą aresztować mnie — Bolesława Limanowskiego. Przybyłem, aby protestować z wami przeciwko dyktaturze..."

Miał coraz mniej sił, ale jeszcze w czerwcu 1933 roku uczestniczył w inicjowaniu „Funduszu walki z konfiskatami".

5 grudnia 1934 roku senat Uniwersytetu Warszawskiego nadał 99-letniemu Bolesławowi Limanowskiemu tytuł doktora filozofii honoris causa.

Nie mógł już dłużej czynnie uczestniczyć w życiu parlamentu, 20 grudnia zwrócił się do Senatu z prośbą o trzymiesięczny urlop. 2 lutego 1935 roku, na stronie pierwszej „Robotnika" zamieszczono nekrolog następującej treści:

„Bolesław Limanowski wódz Socjalizmu polskiego, chorąży Niepodległości, uczony, myśliciel, pisarz, strażnik honoru Polski Pracującej, najwierniejszy towarzysz, senator Rzeczypospolitej zmarł w dniu 1 lutego w setnym roku życia".

5 lutego 1935 roku pięćdziesiąt tysięcy robotników towarzyszyło Bolesławowi Limanowskiemu w Jego ostatniej drodze na powązkowski cmentarz.

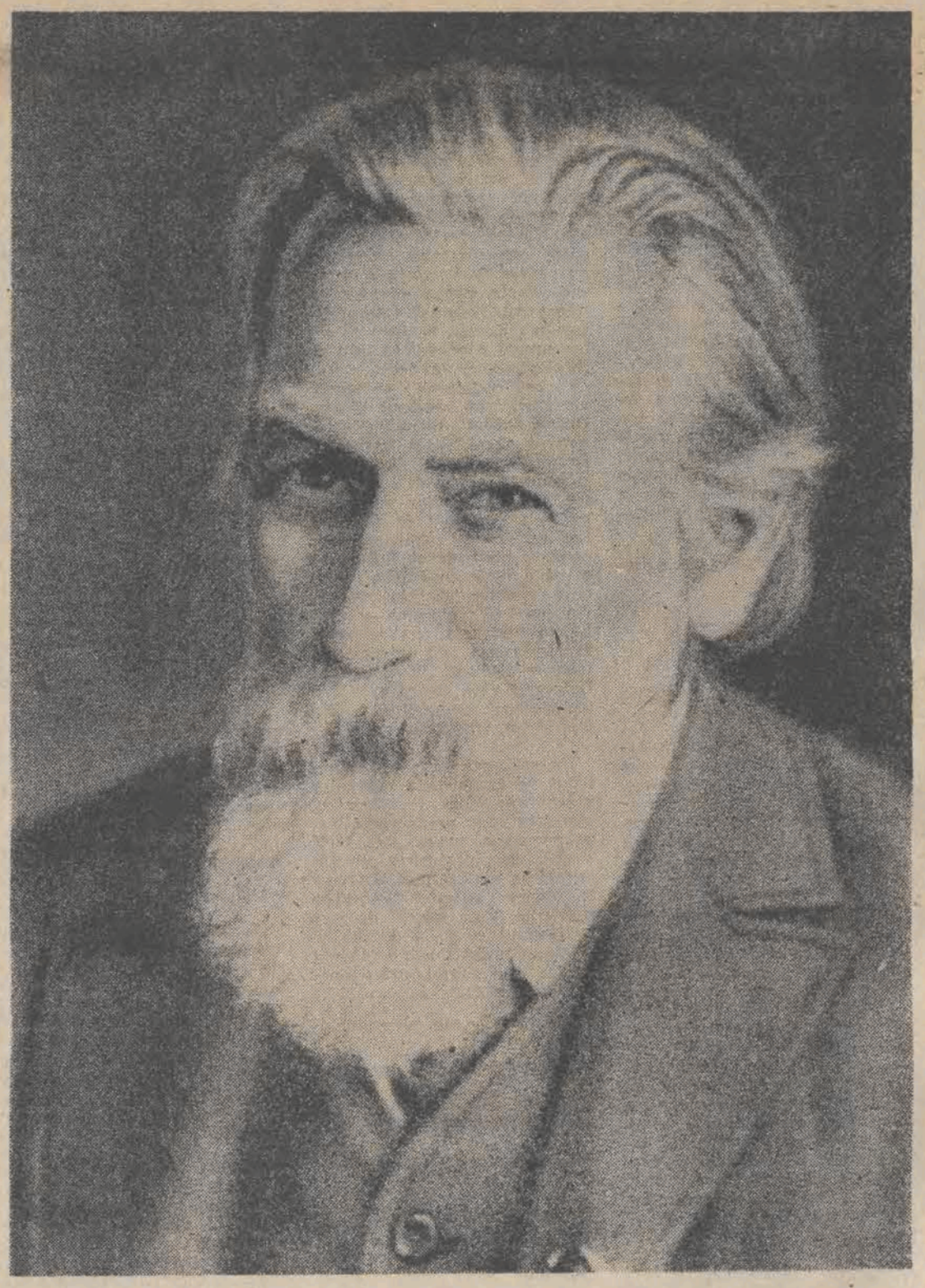

Foto: Georgij Sufronow

„Kwiat na bagnisku”

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Reginę Nowak-Gojawiczyńską, zwaną w czasie okupacji, w obozie łódzkim przy ulicy Łąkowej, „Kwiatem na bagnisku”, cechowały rzadko kiedy skupiające się w jednej osobie takie kobiece cechy, jak odporność na wszelkiego rodzaju stresy, wytrzymałość na przeciwności losu, konsekwentne nieraz z narażaniem życia postępowanie wobec wroga. Niejednokrotnie dawała tego dowody w swoim trudnym, pełnym dramatycznych napięć, życiu, zwłaszcza w okresie masowej zagłady istnień ludzkich w hitlerowskich obozach w czasie drugiej wojny światowej. Dzięki tej postawie potrafiła przetrwać najokrutniejszy w jej życiu okres upodlenia godności ludzkiej, odarcia człowieka z moralnych cech człowieczeństwa, uczynić los wielu cierpiących w obozach znośniejszym, wyrwać z rąk oprawców i uratować życie znanej pisarce Marii Rodziewiczównej.

I

Urodziła się w Ozorkowie 1907 r. Była najmłodszą — z siedmiorga dzieci — córką majstra tkackiego w Łodzi i w Ozorkowie Wojciecha Czerniaka. W 1919 r. umarł jej ojciec. Miała wtedy 12 lat. Od tej chwili zaczął się dla niej okres ciężkich zmagań z życiem. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Ozorkowie ciężkie warunki materialne uniemożliwiały jej dalszą naukę w szkołach. Uczyła się więc prywatnie pod kierunkiem starszych sióstr i na zorganizowanych przez działaczy harcerstwa polskiego kursach w zakresie 4 klas gimnazjalnych. Przez pewien czas uczęszczała do szkoły handlowej w Łodzi. Jako laborantka pracowała w zakładzie rentgenowskim łódzkiej Kasy Chorych przy alei Kościuszki 19. W latach 1931—1932 odbyła kurs dla higienistek społecznych, po ukończeniu którego poruczono jej prowadzenie trzech punktów lekarskich na osiedlu Montwiłła Mireckiego.

II

W tym czasie Regina Czerniak wyszła za mąż za znanego w środowisku łódzkim działacza robotniczego, budowniczego Edwarda Nowaka. Należał on od wielu lat do Komunistycznej Partii Polski i był jednym z działaczy utworzonej w 1919 r. Rady Robotniczej w Łodzi. Idąc za przykładem męża, Regina podjęła pracę społeczną w klasowych związkach zawodowych pracowników służby zdrowia. Działalność tę okupiła utratą pracy w 1935 r.

III

Był wieczór 10 stycznia 1940 r. Około godziny 20 kilka batalionów żandarmerii hitlerowskiej otoczyło osiedle Montwiłła Mireckiego i rozpoczęło akcję wysiedlania jego mieszkańców. Zwożono ich do obozu, mieszczącego się w byłej fabryce Gliksmana przy ulicy Łąkowej 3/5 (obecnie Zakładów Doskonalenia Zawodowego). Na trzech piętrach hali fabrycznej stłoczono około 5 tysięcy osób.

Opiekę medyczną nad wysiedlonymi, w zorganizowanej naprędce prowizorycznej Izbie Chorych, spełniało dwoje ludzi: lekarz dr Stanisław Kałczak i pielęgniarka siostra Regina Nowak.

— *Dr Kałczak* — wspomina siostra Regina — *był opiekuńczym duchem całego obozu. Wprawdzie miał do pomocy lekarza Mikinkę i kilku studentów medycyny, ale jako naczelny lekarz obozowy występował przed władzami niemieckimi i walczył wszelkimi możliwymi sposobami i środkami o polepszenie ciężkich warunków bytowania wysiedlonych Polaków. Niemcy odnosili się do niego z pewnym respektem. Zgodzili się na utworzenie w obozie Izby Chorych.*

W początku marca 1940 r. podrzucono siostrze Reginie w czasie przyjęć w Izbie Chorych kartkę ze skreślonymi kilku słowami: „*Proszę poszukać Rodziewiczówny na terenie obozu*”.

Kartka ta zaintrygowała siostrę Nowak. — Kto był jej autorem? — zapytywała siebie.

W kilka dni po podrzuceniu grypsu, zgłosił się do Izby Chorych osobnik w kombinezonie pracownika Zakładu Czyszczenia Miasta. Miał około 30 lat.

— *Proszę pani: przed kilku dniami podrzuciłem kartkę...*

— *Nie znam pana!* — przerwała siostra Regina.

— *Jestem jednym z przyjaciół Marii Rodziewiczówny. Proszę mi zaufać! Na zlecenie Warszawy, od kilku miesięcy poszukujemy pisarkę Rodziewiczównę.*

— *Tu jej nie ma!*

— *Na pewno tu jest! Ostatnio byłem w Konstantynowie, gdzie dowiedziałem się, że pisarka została przywieziona do obozu przesiedleńczego w Łodzi przy ulicy Łąkowej.*

Po odejściu gościa, siostra Regina zeszła na parter i przystąpiła do poszukiwań. Na cementowej posadzce, pokrytej słomą, siedziały obok swych tłumoczków grupki Niemców wołyńskich. Wśród nich na uboczu siedziała staruszka w baraninim kożuszku.

Charakterystyczne rysy twarzy, kołnierzyk męski i wszystkie pozostałe szczegóły, pokrywały się całkowicie ze zdjęciami pisarki. Ze swoim odkryciem pielęgniarka podzieliła się natychmiast z doktorem Kałczakiem:

— *Panie doktorze! Wśród Niemców wołyńskich odkryłam Marię Rodziewiczównę!*

— *Najpierw niech pani* — powiedział lekarz po chwili milczenia — *sprowadzi pisarkę do Izby Chorych. Przez pewien czas będziemy ją tam trzymali i ewentualnie leczyli, jeżeli zajdzie tego potrzeba.*

Siostra Regina zeszła z powrotem na parter, zbliżyła się do Rodziewiczówny i zapytała przyciszonym głosem:

— *Czy pani nazywa się Rodziewiczówna?*

Staruszka przeraziła się.

— *Nazywam się Anna Wirkiel!* — oświadczyła po chwili.

— *Proszę się nie bać!*

— *Nie jestem Rodziewiczówna! To pomyłka! Proszę mi dać spokój!*

Obok pisarki siedziała drobna starsza pani, która — jak się później okazało — była serdeczną przyjaciółką Rodziewiczówny. Nazywała się Jadwiga Skirmunttówna. Przebywała razem z pisarką w Warszawie. Po tragicznych wojennych przeżyciach towarzyszyła jej w obozowych exodusach. Słysząc przebieg rozmowy podeszła do przerażonej staruszki i uspokoiła ją.

— *Chcemy ją umieścić w Izbie Chorych, gdzie będzie miała znośniejsze warunki, niż na parterze* — powiedziała siostra Regina.

IV

Tego samego dnia, wieczorem, Maria Rodziewiczówna znalazła się w małej salce, za szafą, gdzie było przygotowane już dla pisarki łóżko.

Jeszcze tej nocy, jeszcze w kącie sali za szafą chroniącą przed złym okiem komendanta obozu obergruppenfuhrera Sauera, odbyło się istne misterium oczyszczenia ze wszy, a potem mycia Rodziewiczówny.

Od tego czasu, Maria Rodziewiczówna pod pozorem leczenia przebywała w Izbie Chorych, otoczona staranną opieką i troską.

— *Dlaczego pani* — zapytała pewnego dnia siostra Regina pisarkę — *zgłosiła się na przesiedlenie jako Niemka?*

— *Nie chciałam, moje dziecko, w moim wieku, dostać się do obozu koncentracyjnego i tam zginąć. Pragnęłam, by moje strudzone kości znalazły się w ziemi naszych przodków, pośród swoich. Dlatego przystałam do Niemców wołyńskich udających się do Polski. Kiedy, siostro, powrócę do swoich w Warszawie?*

— *Już wkrótce!*

Następnego dnia dr Kałczak udał się do komendanta obozu. Na wstępie okazał mu zaświadczenie lekarskie, stwierdzające ciężki stan chorej Anny Wirkiel.

— *Jest to staruszka licząca 81 lat. W warunkach obozowych będzie ją trudno wyleczyć. Grozi jej śmierć!*

— *W takim razie co mamy z nią zrobić, herr doctor?* — zapytał Sauer.

— *Widzę jedyne rozwiązanie: wypisanie jej z obozu i oddanie pod opiekę rodzinie niemieckiej.*

— *Czy zna pan taką rodzinę?*

— *Siostra Regina znalazła takich ludzi, którzy się nią zaopiekują.*

— *Gut. Zgadzam się. Cto przepustka.*

V

W Warszawie Maria Rodziewiczówna znalazła się w gronie znajomych i przyjaciół, którzy się nią zaopiekowali. W okresie powstania warszawskiego pisarka mieszkała przy ulicy Królewskiej, w samym centrum walk. Gdy zaczęły płonąć sąsiednie zabudowania, przeniosła się wraz z przyjaciółką do budynku Czartoryskich przy ulicy Kredytowej 12 a. W ten sposób zaczęła się ich powstańcza tułaczka z jednego zagrożonego miejsca do drugiego.

Gdy powstanie upadło i nadszedł rozkaz ewakuacji Warszawy, Rodziewiczówna i Skirmunitówna, po 10-dniowym pobycie w Szpitalu Wolskim zdecydowały się wyruszyć do Milanówka. W niebywałym tłoku, wskutek padającego deszczu zupełnie przemarznięte, wśród kompletnej ciemności, dobrnęły wreszcie do Milanówka. Gdy jednak i tam z powodu braku miejsca dłużej zabawić nie mogły, zdecydowały się osiąść w leśniczówce folwarku Leonów pod Skierniewicami.

Mimo opieki medycznej, chłody jesienne coraz bardziej dawały się we znaki ciężko chorej pisarce. Wkrótce zapadła na jeszcze jedną chorobę: zapalenie płuc. Tym razem nie pomogły zabiegi lekarskie. W dniu 6 listopada 1944 r. Rodziewiczówna zmarła w wieku 81 lat.

Po wojnie zwłoki pisarki zostały przewiezione do Warszawy i pochowane w Alei Zasłużonych na cmentarzu powązkowskim.

VI

A jakie były dalsze losy siostry Reginy, po opuszczeniu obozu przez Rodziewiczównę? W dalszym ciągu zajmowała się losem przesiedlonych, starając się ulżyć im w ich ciężkim położeniu.

W czerwcu 1943 r. siostra Regina, w obawie przed aresztowaniem, opuściła Łódź i udała się do Warszawy. Tu początkowo znalazła schronienie u znanego działacza robotniczego, członka SDKPiL i KPP, wuja dra Edmunda Gebartowskiego. W jego mieszkaniu na Żoliborzu przy ul. Mickiewicza 45 odbywały się zebrania towarzyszy partyjnych. Nie mogła długo u niego przebywać ze względu na częstą inwigilację ze strony policji hitlerowskiej. Przez pewien czas mieszkała u koleżanki i u znajomego wuja, późniejszego działacza PZPR i wicemarszałka Stanisława Szwalbego. Zagrożona aresztowaniem w 1944 r., opuściła Warszawę i udała się do Zamościa i Hrubieszowa. Jako pielęgniarka pracowała w hrubieszowskim ośrodku zdrowia. Udzielała pomocy nie tylko ludności miejscowej, ale także zaopatrywała oddziały partyzanckie w konspiracyjnie przewożone przez siebie z Zamościa środki opatrunkowe.

Po zakończeniu wojny Regina Nowak wstąpiła do PPR, a po połączeniu obu partii — do PZPR. Pracowała jako kierownik kancelarii głównej Centrali Tekstylnej. Udzielała się społecznie w wielu organizacjach. Brała aktywny udział w łączności miasta ze wsią, organizując i wyjeżdżając niemal każdej niedzieli przez szereg lat do okolicznych wsi z aktywistami zakładów pracy i instytucji łódzkich. Wiele trudu i pracy włożyła w utworzone po wojnie Polskie Towarzystwo Pielęgniarskie w Łodzi w dzielnicy Polesie. W uznaniu zasług odznaczona została między innymi Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Po śmierci męża Edmunda Nowaka w obozie przesiedleńczym w Łodzi w 1942 r., powtórnie wyszła za mąż w 1947 r., za Edwarda Gojawiczyńskiego, odbywającego podówczas służbę wojskową w stacjonującym w Hrubieszowie 4 pułku kawalerii I Armii Odrodzonego Ludowego Wojska Polskiego.

Prezydent i szkoła

EWA LACHOWSKA

„14 grudnia byliśmy na filmie pt. „Gdziekolwiek jesteś Panie Prezydencie”. Film wyświetlano w kinie „Roma”. Główną rolę grał znany aktor Tadeusz Łomnicki. Bohaterem filmu jest bohaterski prezydent Warszawy Stefan Starzyński, zamordowany przez Niemców. Moim zdaniem Stefan Starzyński zasługuje na ludzką pamięć”.

Jestem na lekcji języka polskiego w czwartej klasie Szkoły Podstawowej nr 80 w Łodzi. Chłopcy i dziewczęta trochę z przestrachem, trochę z przejęciem czytają swoje wypracowania. A potem zaczyna się rozmowa nauczycielki z dziećmi. Padają pytania i zupełnie trafne odpowiedzi. Wychodzę z lekcji mile zaskoczona. Skąd wśród łódzkich czwartoklasistów taka znajomość postaci Prezydenta?

Leżą przede mną tekturowe czarne i zielone okładki. Ze wzruszeniem i lękiem biorę je do ręki. Boję się, żeby nie okazały się zbyt kruche. Są to małe albumiki zdjęć z 1936 i 1937 roku. Niestety, nie zachowała się kronika z początków lat 20-tych, kiedy to powstała Publiczna Szkoła Podstawowa nr 80 w Łodzi. Obok leżą już powojenne kroniki. Powoli zagłębiam się w treść poszarzałych i zupełnie białych kart. Przewijają się nazwiska pedagogów i uczniów, obchodzą stare rocznicy młodzieży, przychodzą nowe. Szkoła tętni życiem. Pilnie uczestniczy w życiu miasta i całego kraju. I nagle trafiam na fakt, który jak przysłość okaże zaważy na historii szkoły.

„*Rada Pedagogiczna na uroczystym posiedzeniu w styczniu 1959 roku podjęła uchwałę o nadaniu Szkole imienia Prezydenta Stefana Starzyńskiego, bohaterskiego obrońcy Warszawy w tragicznych dniach września 1939 r.*”

To krótkie zdanie zawiera w sobie potężny ładunek emocjonalny, obrazuje całe wielkie przywiązanie uczniów i personelu naszej Szkoły do Stolicy i Jej bohaterskiego opiekuna budowniczego i obrońcy honoru Warszawy i Ojczyzny w dniach najcięższych. W uzasadnieniu decyzji o nadaniu Szkole imienia Prezydenta Stefana Starzyńskiego podkreślano, że szkoła znajduje się w czołowce młodych budowniczych Warszawy, uzyskując ośmiokrotnie nagrody i wyróżnienia za ofiarną pracę Szkolnego Koła Odbudowy Stolicy z jego opiekunką, niestrudzoną w zapale B. Forembską na czele. W 1958 r. Koło zajęło I miejsce w Polsce i otrzymało nawet nagrodę pieniężną. Tak więc sentyment do Warszawy i Jej wielkich ludzi przejawia się nie tylko słowem, ale i pięknym czynem.

Nieco dalej natrafiam na ślady konkursu na życzenia z okazji wyzwolenia Łodzi i Warszawy. Zwyciężyli uczniowie klasy czwartej. Uderza mnie niezwykłe przywiązanie do Warszawy i jej mieszkańców w „*Najmilszemu naszemu miastu Warszawie*

Rośnij nam urocza Warszawo w radości i pięknie. Niech w Twych drogich murach gości zawsze beztroski uśmiech i ciepły powiew wiślanego wiatru niech Twoje bruki już nigdy nie nasiąkną śmiercią, osamotnieniem i rozpaczą. Żyj nam wiecznie droga Stolico.

Droga nasza Szkoło

Uczniowie klasy IVa składają Ci gorące życzenia, abyś niedługo otrzymała zaszczytne imię bohaterskiego budowniczego i obrońcy Warszawy — Prezydenta Stefana Starzyńskiego, aby Twoi wychowankowie godnie Ciebie reprezentowali, wcielając w swej pracy i czynach ideały przyświecające życiu tego Wielkiego Polaka”.

Przerzucam szybko następne stronice. Niestety, nie ma śladu na temat uroczystości nadania imienia Prezydenta. Nie ma najmniejszej wzmianki o tej pięknej idei. Trafiam tylko na notatkę z 1962 r. o uroczystości z okazji XV-lecia działalności Szkolnego Koła Funduszu Odbudowy Stolicy. W czasie tych 15 lat młodzież szkoły zebrała na odbudowę Stolicy ponad 60 tys. złotych, zajmując pierwsze miejsce w skali miasta i całego kraju. Wynika z tego, że przywiązanie do Warszawy nie malało. Ale mijały lata, a szkoła nadal nie miała patrona. Co się stało? Co stanęło na przeszkodzie w tej sprawie?

Okazuje się, że wówczas szkoła nie uzyskała oficjalnej zgody władz oświatowych na nadanie imienia Stefana Starzyńskiego. A dlaczego, trudno dziś dociec. Tym bardziej, że do dzisiejszego dnia żadna szkoła, instytucja, ulica czy aleja w Łodzi nie nosi imienia tego Wielkiego Polaka. Czyżby argumenty „za” okazały się za słabe? A może uznano, że Starzyński nie miał nic wspólnego z Łodzią, co zresztą jest nieprawdą. Być może były jeszcze inne kontrargumenty. Fakt jest, że Stefan Starzyński nie uzyskał honorowego obywatelstwa miasta Łodzi jako patron Szkoły Podstawowej nr 80. Zaprzepaszczono, a przynajmniej chciano beztrosko zaprzepaścić, piękny efekt wychowawczy pedagogów, którzy potrafili wpoić młodzieży miłość do kraju i jego historii, pamięć i cześć dla córek i synów narodu polskiego, których idały przyświecające ich życiu pragnęła uznać za swoje.

I tak minęło 25 lat. Rozmawiam z dyrektorem Szkoły Podstawowej nr 80 — Mieczysławem Markowskim i nauczycielami. Dowiaduję się, że we wrześniu 1983 roku Samorząd Szkolny zorganizował wycieczkę do Warszawy. Jako delegacja młodzieży całej szkoły dociera do Ministerstwa Oświaty i Wychowania z prośbą o wyrażenie zgody na nadanie imienia Stefana Starzyńskiego i uzyskuje ją. Będą 8 szkołą w Polsce z tym patronem. Może uda się w przyszłości w tym gronie nawiązać kontakt. Samorząd odwiedza oczywiście symboliczny grób Prezydenta na Powązkach.

Szkoła od tego momentu żyje tylko perspektywą nadania imienia. Na lekcjach języka polskiego i wychowania obywatelskiego nauczyciele rozmawiają z młodzieżą o Warszawie i jej tragicznych dziejach. Opiekunka Samorządu Szkolnego Wanda Kolus opowiada mi o wzruszającej uroczystości nadania Bronisławie Foremboskiej, wieloletniej nauczycielce Szkoły, tytułu Honorowego Członka Rady Pedagogicznej. Po chwili mam kronikę z wpisem pani Bronisławy.

„*Jestem zaszczycona i szczęśliwa, że mogę dziś spotkać się tu z Wami. Wdzięczna jestem Szanownej Radzie Pedagogicznej za to cenne zaproszenie. Dziękuję Wam serdecznie! Czuję się dumna, że mogę należeć do Waszej Społeczności. Jest to dla mnie wielkim zaszczytem, że mogę się tu czuć jedną z Was. To koleżeńskie wyróżnienie wrusza mnie bardziej nawet niż odznaczenie państwowe. Tak jest! Tak to czuję! Dziękuję Wam całym sercem! Dziękuję! Szczególnie dziękuję Koledze Dyrektorowi! Cieszę się, że po 25 latach uchwała „tamtej” Rady Pedagogicznej, głosująca za Patronem Stefanem Starzyńskim została zaakceptowana przez obecną Radę Pedagogiczną i zatwierdzona przez Władze Szkolne. Pragnę przeżywać z naszą Szkołą tę piękną uroczystość oficjalnego nadania Szkole Podstawowej nr 80 w Łodzi imienia Stefana Starzyńskiego — Bohaterskiego Prezydenta m. st. Warszawy. Dla naszej młodzieży będzie to jednocześnie wspaniała lekcja historii Polski 1939 roku. A nasze Miasto też może chlubić się tym, że właśnie tu w Łodzi rodzina Starzyńskich szukała pracy — i tu na ul. Smugowej Pani Jadwiga Starzyńska pracowała w szkole jako nauczycielka — patriotka — a młody Stefan (uczeń gimnazjalny) często Matce pomagał. Gdy spoglądam na front tego budynku szkolnego i widzę u góry znajome i bliskie, wyraźne „80” cieszę się że „moja Szkoła” znalazła się w godnych warunkach. Ta dawna Osiemdziesiątka była biedniutką i ciasniutką... ale pracowała również ambitnie. Miała swój styl i tradycje. Ten styl i tradycje trwają tu nadal — dzięki Wam — dzięki dyrekcji. Potwierdzi moje słowa miła koleżanka Maria Kucharska-Gębalska, która jako młoda nauczycielka trafiła do tej szkoły jeszcze wtedy, gdy Kierownikiem był ś.p. Mąż mój Bolesław. Miło mi, że jest wierna tej szkole — już jako „jedynaczka” — że ją tu jeszcze zastałam. W tamtych latach przecież razem budowałyśmy z młodzieżą zrujnowaną Warszawę. Dziękuję Radzie Pedagogicznej za tak zaszczytne uznanie dla mojej pracy z młodzieżą w tej szkole. Życzę Wam Koleżanki i Koledzy wielu osiągnięć w pracy dla Dobra Polskiej Szkoły. Dyrekcji zaś życzę harmonijnej współpracy z gronem i z młodzieżą: żeby to była szkoła radosna i żeby dobrze upamiętniła się w sercach Waszych wychowanków, żeby społeczeństwo i władze z uznaniem oceniały Waszą pracę z młodzieżą — na chwałę Ojczyźnie!*

b. nauczycielka Szk. Podst. w Łodzi Bronisława Foremska”.

Na zakończenie mojej wizyty w Szkole Podstawowej nr 80 jakiś złośliwy chochlik posiał w moim sercu ziarnko niewiary. Postanowiłam upewnić się, czy rzeczywiście uczniowie są tak przejęci sprawą? Czy, gdy spytam znienacka, będą w stanie powiedzieć cokolwiek o Stefanie Starzyńskim? Dzięki uprzejmości nauczycieli robię krótką pisemną sondę wśród uczniów klas szóstych. Temat jest prosty: „Kim był Stefan Starzyński?” I muszę spiec raka ze wstydu za swoje niedowierzanie w opowiadania pedagogów Szkoły Podstawowej nr 80 w Łodzi. Otóż dzieciarnia w pierwszej chwili przestraszona, że to jakaś kartkówka z przedmiotu, szybko się otrząsnęła i zaczęła pisać. A potem siedziałam w domowym fotelu i pijąc herbatę czytałam, może niezbyt piękne stylistycznie, ale prawdziwe zdania o tym jak Stefan Starzyński był ekonomistą, publicystą i politykiem, jak we wrześniu 1939 roku został w Warszawie, troszcząc się o wodę, światło i żywność, jak gorąco przemawiał, aż ochrypł, jak chciał, żeby Warszawa była wielka; czytałam o tym, że Prezydent jest godny naśladowania, że młodzież cieszy się, że będzie patronem ich szkoły.

Skapitulowałam.

Prezydent Warszawy Stefan Starzyński (w środku) w otoczeniu swoich współpracowników

Emigrant

RYSZARD BINKOWSKI

W „Przemysłowej" produkcja szła pełną parą. Trup kładł się gęstym pokotem w dezynfekcyjnych obłokach. Szkło grało podzwonne niczym epileptyk kajdanami w inkubatorze.

W „Przemysłowej" umierała cała „Petrobudowa".

A pan Julian Targosz obchodził imieniny.

Cybernetyk Jan Smolik pilnował swego dobytku: plecaka, torby podróżnej i damskiej parasolki ze szpicem w barwnym pokrowcu. Pił umiarkowanie, na czas — seta co kwadrans. W przerwach czytał na głos swoje książeczki, szczególnie chorobową.

— Czy to rekolekcje, czy imieniny? — zdenerwował się Julek.

— To są twoje roraty, kolego. A ja piję za mój powrót chorobowy na wolność — rzekł ze wzruszeniem Smolik.

— Mnie to przypomina apelową prasówkę w pierdlu z wyszynkiem — stwierdził kolega G.

— On mnie robi stypę z imienin! — wrzasnął Targosz.

Smolik otworzył z dumą książeczkę zwolenienia ze służby.

— Kto służył półtora tygodnia?

— Tylko trup!

— A ja żyję! I za co mnie zwolnili? — zaszlochał cybernetyk.

Usiana trupem knajpa przemieniła się w prosektorium, gdzie fachowcy ustalają kontrowersyjne wyniki sekcji.

— Wywalili za ślepotę polityczną!

— A skąd! Kurza ślepota...

— No nie, oko ma dobre...

— Ale mózg wybrakowany!

— Emigrant wewnętrzny!

— Przez to zwolnienie chce jechać z dobytkiem w plener. Idioła!

— A tu piszą — ryknął Smolik — że cierpię na rozdwojenie jaźni!...

Targosz zakrztusił się wódką ze śmiechu.

— Jakiej jaźni? — wychrypiał przez łzy — Masz porażenie prącia, kaleko!

— Jakie zarażenie? — jęknął G. — Kto sieje syfy?

— Krycha czysta jak ekstrem po amnestii!

— Człowieku! A kto się podłączył golarką do wysokiego napięcia na odcinku trzecim?

— Jasiu! Ale go rąbnęło po jajach!...

Smolik oderwał się od krzesła z siłą „Pershinga" na uwięzi. Zatoczywszy kilka łuków drgających, oświadczył wielkodusznie:

— Pies was jebał, Julek, i waszą wódkę!

— Płać, rezerwisto!

— Mniej niż zero! Cześć!

Zwinąwszy manele, ruszył krokiem bywalca sztormowych pokładów żeglugi wielkiej w mroczne ulice Łodzi. Wyglądu turysty przydawał mu wielki plecak na grzbiecie.

Ten cholerny plecak rzucał nim po kanionach ulic niemiłosiernie. W blasku neonówek Smolik sprawiał wrażenie satelity szpiegowskiego wśród gwiazd, którym manewruje z ziemi pijany agent w przebraniu dyżurnego lotu.

Czuł się tak nieprzydatny i rozgoryczony do budowy porozumienia z wrednym inżynierem Targoszem, że postanowił udać się niezwłocznie na emigrację wewnętrzną. Uznał, że najlepiej będzie osiąść na prowincji, w jakimś mieście średniej wielkości.

Po godzinnych cierpieniach dotarł do Placu Niepodległości. Umysł miał lżejszy, jakby przefiltrowany, lecz pęcherz zawisł mu kamieniem nad przyrodzeniem niczym rym nad wierszem cybernetycznym. Aby ulżyć sobie duchowo tudzież fizycznie, zszedł na chwilę do podziemia, gdzie czuwała w okienku baba z kluczem. Wertowała gorączkowo płachtę najlepszej łódzkiej gazety. Dzieliła na sposobne paseczki artykuł o braku papieru służącego czasem do wyrobu parówek. Jak kryzys, to i Salomon z pustego nie naleje. Z tym, że obywatel ma silne palce...

Ale jak mu tam jego chuch zdyfuzjował się z wyziewem pisuarów, sedesów, ponownie doznał zaćmienia umysłu. Poza tym był tłok, bez przerwy go szturchali i nie mógł się skoncentrować. Co zrównał muszkę ze szczerbinką na muszli z sitkiem, to go dziabnięto w łokieć.

— Te, zamachowiec, gdzie ciebie szkolili?

— W zlobku na nocniku, wiadomo!

— Ludzie — jęknął — wczoraj mnie zwolnili...

— To widać!

— Teraz szuka mamy kaprala!

— Pewnie do podtrzymania...

— Pedał!

— Ludzie — jęknął ponownie — ja nie znam roweru...

— Ładuj w nogawkę!

Zacisnąwszy zęby, naprowadził muszkę na gościa w berecie, który tak się trzymał w pionie, jak groch zwany Pięknym Jasiem na połamanej tyczce. Spiął się w sobie i dał upust cierpieniom.

Bereciarz odwinął się z tyczki i warknął głosem przeziębionego buldoga:

— Snajperek, ty szczasz mnie w oko?

— To się nie schylaj! Mordę masz jak sedes — odparł taktownie Smolik wsuwając broń do kabury.

Natenczas postrzelony zszedł chwiejnie z linii i strzelił sierpem sygnalizowanym. Smolik zrobił w tył zwrot i pięść walnęła w plecak. Bokser zawył dziko, albowiem trafił w blachę usztywniacza. Rzucił się niczym różowa pantera na emigranckie tyły. Potarmosił go trochę i nagle spadł ze schodków w mocz, z powrotem do podziemia.

A. Jan Smolik wsiadł do podmiejskiego tramwaju. Wagon zadygotał w spaźmie lęku przed wywózką na złom i potoczył się chwiejnie przez noc. Przy każdym drgnieniu kół i zgrzycie na mijankach, plecak i parasolka maltretowały twarze pasażerów. Ale społeczeństwo jest tolerancyjne. Przecierpi wszelkie błędy, ogłoszenia drobne oraz inwazję świętych krów.

— Kolego, potrzymać ci to wszystko? — zaofiarował się uprzejmy.

— Bóg zapłać, chwyt mam jeszcze pewny.

— A może jednak?

— Od ..suń się, dobroczyńco.

A urażony ów pasażer na to:

— No, no, cipek! Mogę cię więcej nie ratować...

— Nie znam cię, filantropie.

— Strącam do kibla osikanego zbója, a ty do mnie z kosą?

Jan Smolik jakby oprzytomniał. Przyjrzał się mglistym wzrokiem człowiekowi, któremu winien okazać wdzięczność. Człowiek sprawiał wrażenie skromnego działacza społecznego, na którego piersi nie zawisł żaden medal z winy zawistnej kliki PKPS. Miał twarz anioła stróża w sile wieku, oczy wystraszonego wyżła i ręce buchaltera, który przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

— Znam tego, co bił w twój plecak — rzekł tonem konspiratora.

— Jakiś cherlawy żul...

— Ho, ho! Ma w kartotece całą dekadę Gierka.

— Za licencje?

— Tak. Jedną specjalną, na rozbój pozorowany. Gdzie jedziesz, człowieku? — zapytał nagle anioł ze stażem buchaltera.

— Do końca.

— Cholera! On tam mieszka, lepiej zamów obstawę.

— A więc bądź moim gorylem! — zawołał pod wpływem uczucia Smolik.

— Dobra. A gdzie zawijasz?

— Na Żałosną. Spokojna melina.

— Ale trochę straszy. Mieszkam tam, przyjacielu.

Wysiedli z tramwaju i Smolik ruszył ciemną ulicą na punkt zborny emigracji wewnętrznej. Anioł stróż nie odstępował go na krok, wystawiając mężnie swą pierś na czyhające upiory.

Wstąpili na tory kolejowe. Oślepił ich snop światła. Anioł pchnął cybernetyka i za ich plecami przemknął z łoskotem elektrowóz. Z wagonu wyfrunęło coś ze świstem i spadło na głowę emigranta.

— Ratuj alkohol! — zdążył krzyknąć i stracił na chwilę przytomność, albowiem duch był ciężkiego kalibru.

Smolik zjechał z nasypu sztywny niczym pręt kiełbasy szprycowanej H_2O w geesowskiej masarni. Ale duchy zaraz go wyprostowały, zdeptały, skopały i osmaliły ogniem piekielnym. Zanim uleciały, przygotowały go na ostatnią drogę. Stopy mu nagle zeżarły i ścierpły. Matka ziemia przytuliła go do swego chłodnego łona, a noc położyła czarną łapę na oczach...

Eugeniusz J., drukarz z wykończalni, wracał ze spóźnionej popołudniowej zmiany. Szedł trzeźwy, ale po ośmiogodzinnym wąchaniu oparów z kuchni farb miał uczucie, jakby łyknął michę kompotu. Ujrzawszy błędne ogniki w odległych krzewach pomyślał, że to pewnie te małe zielone z UFO grasują na peryferiach.

Ale były to zgoła inne obiekty. One szukały szczęścia wokół sztywnego Smolika. Przyświecały sobie zapalniczką gazową. Oparzony denat zbudził się z wrzaskiem:

— Aniele stróżu, ratuj mnie! Łapaj ducha i szkło!

Drukarz stanął jak wryty. Najpierw ujrzał druha z plecakiem. Maszerował na azymut, klął jak brygadzista z awansu i rzucał butami.

Następnie przeciągnął w mroku wysoki blondyn w czerwonej kurtce, z torbą podróżną na ramieniu. Gnał jak trener sprinterów ścigany przez alimenty.

Za nim przemknął niski brunet w czarnym ortalionie, z parasolką pod pachą.

— Ciota goni niewiernego! — szepnął nabożnie Eugeniusz J.

Splunąwszy trzy razy przez ramię, ruszył śpiesznie do domu.

Po pięćdziesięciu metrach drogę zastąpiła mu zjawa. Twarz miała jak marchewka, która przeleciała przez tarkę. A chuch taki, jakby ta marchewka weszła w drugie stadium fermentacji. Zjawa stąpała niczym linoskoczek po jeżach. Była bez butów, ale w skarpetkach.

— Okradli meee! — zawyła zjawa.

— Gdzie?

— Na emigracji!

— Ani chybi z rozumu — szepnął Eugeniusz. — Czego żądasz, duchu przeklęty?

— Auta i milicjanta!

Drukarz począł machać ręką, ale auta nie stawały, bo nie miały ani pasów, ani kaftana bezpieczeństwa. Ale jeden przyhamował, ponieważ był to wóz specjalny do zbierania różnych pijanych zjaw. Na dachu migotała żarówka.

Milicjanci spenetrowali miejsce akcji. Rozpisawszy topografię, ustalili wstępnie ślady trzech mężczyzn. Następnie wsadzili ofiarę do radiowozu i zawieźli do RUSW.

Tam, obmyty i napojony herbatą, cybernetyk. Smolik dokonał rachunku sumienia oraz bilansu strat materialnych. Odzieży, łącznie z butami, było sztuk dziesięć. Zapas paliwa — trzy półlitrówki z żółtymi kapslami. Pół kilo suchej kiełbasy, ręczniki, klucze, kartki na cukier, kartki do restauracji dietetycznej i trzy tysiące złotych w gotówce. Najważniejsze książeczki: oszczędnościowa z wkładem 21 tys. zł i mieszkaniowa na kwotę 60 tys. zł. Straty łącznie — 110 tys. zł.

Jeździ toto na sakę z transparentem gołodupców wygnanych, a Smolik nie. To był solidnie zabezpieczony emigrant. Nie chciał żebrać na prowincji o kawałek chłopskiej rąbanki.

Zawiadomiono WUSW i PKO w kraju, że na szlaku znalazł się facet z cudzym dowodem osobistym i książeczkami oszczędnościowymi.

Jan Smolik nie mógł sobie przypomnieć twarzy anioła stróża. Nie sądził, aby ten był w zmowie z duchami, które spadły nań jak sępy na nasypie kolejowym. Czekał cierpliwie na zmiłowanie. Teraz w każdym milicjancie upatrywał zbawcy oraz anioła stróża.

Pierwsza odezwała się PKO. W łódzkich placówkach pobrano cztery razy po pięć tysięcy złotych. Osobnik posługiwał się dowodem osobistym Jana Smolika. W książeczce oszczędnościowej dokonał nieudolnie zmiany adresu. Nie wiadomo, w jakim celu.

Później nadszedł telex z RUSW w Kutnie. Patrol zdjął z trawnika turystę, który spał z głową na wychudłym plecaku. Miał przy sobie małą biblioteczkę. Osobnik nazywał się Marian Wojna. Był wieloletnim włamywaczem. Miał na koncie osiem kradzieży mieszkaniowych. Kradł rowery, kury i mopedy. Był poszukiwany przez prokuraturę w Płocku i przez sąd w Kaliszu.

Dwa dni trwały pertraktacje, ile ma kosztować konwój Wojny do Łodzi. Bo teraz każdy urząd jest samodzielny i samofinansujący się.

Wreszcie podejrzany zaczął wyjaśniać:

— Ten facet przyplątał się do mnie w kiblu. I nic, tylko żebym go zawiózł na emigrację. No to pojechałem, bo kurs opłacalny...

— A jak było z tym rozbojem?

— Nieszczęśliwy wypadek...

— Noga wam się powinęła?

— Wpadł na nas pociąg. Popchnąłem faceta, żeby go nie zgniotło z dobytkiem. Spadł mu plecak, więc wziąłem. Wtedy podeszło dwóch, co robią za hieny. Mówią, że widzieli mój numer na nasypie. To ja mówię, że nie ogryzłem całkiem padliny...

— I pozbierali resztę na wasze konto?

— Poświecili zapalniczką i znaleźli ochłapy. A buty wyrzuciłem, bo nie pasowały na moją nogę. Pojechałem autobusem na postój, a stamtąd taxi do Łodzi. Jedną butelkę wypiłem z obcym chachmętem w bramie. Potem piłem sam. Pijany byłem, to pewnie na poczcie porobili mi jakieś zmiany w książeczce...

Następnie Wojna balował, gdzie popadło. Za ostatni grosz kupił dwie butelki wódki. Wypił je w pociągu do Kutna, częstując podróżnych, i padł na trawniku nie ujrzawszy swej narzeczonej.

Nie udało się ustalić nazwisk dwóch pozostałych uczestników rozboju.

Jan Smolik oprócz strat finansowych doznał licznych otarć naskórka na twarzy i prawym nadgarstku oraz stłuczenia okolicy lędźwiowej lewej i nosa. Niewiele, jak na jedną desperacką wyprawę w plener.

Źle się dzieje, gdy na emigrację jedzie facet pijany, porażony prądem, szukający w drodze anioła stróża.

Dokończenie ze strony 1

nią publiczną raz po raz wstrząsają niechlubne wydarzenia; nastolatek morduje obydwoje rodziców aby zabawić się za ich pieniądze, pojeździć samochodem ojca. Młodociani mordują taksówkarza. Wychowanek poprawczaka gwałci i zabija. Biegli psychiatrzy nie stwierdzają żadnych odchyleń od normy.. Przestępczość wśród nieletnich gwałtownie wzrasta, grabieże, narkomania są na porządku dziennym.

Oczywiście szkoła nie ma sobie nic do wyrzucenia. Plany dydaktyczno-wychowawcze, dzienniki zajęć aż puchną od tematów społeczno-moralnych. I co? Dzieciak nie ustąpi miejsca w tramwaju, autobusie, zresztą dorosły też. Jest złośliwy, arogancki. Wszędzie upatruje korzyści materialnych, zupełnie jak jego rodzina. Kult pieniądza, wszelakich dóbr przerósł nieproporcjonalnie inne wartości. Stare porzekadło „nie szata zdobi człowieka" nie ma w naszej rzeczywistości

Koci horror

żadnego pokrycia. Na każdym kroku słyszymy braki, braki — mieszkań, samochodów, lodówek, pieniędzy... Niedosyt uskrzydla najbardziej prozaiczne potrzeby, zasmakowanie w dostatku, ba, nawet w luksusie nikogo dziś nie nakłoni do „powrotu do natury". Wszystko, do czego dążymy ma posmak wygody, pieniądza za wszelką, za każdą cenę.

— *Ucz się* — mówi siedmiolatkowi matka — *bo będziesz machał łopatą; nigdy nie zostaniesz lekarzem, inżynierem!* — W duchu dodaje — dobrze byłoby do tego dyplomu dołożyć jakiś biznesik-interesik, z państwowej posadki przecież nie wyżyje. — Nigdy nie powie — będziesz służył ludziom, najlepiej jak potrafisz.

Na zajęciach z preorientacji zawodowej uczniak nie zwraca już uwagi na to, czy będzie lubił przyszłe zajęcie, tylko przedszkolak kieruje się jeszcze emocjami, większy szkrab kalkuluje — opłaca się czy nie, jak zrobić, aby wybrać najkorzystniej, tam gdzie płacą najwięcej? Przymierza się do rzeczywistości patrząc bardzo krytycznie, konkretnie. W wypracowaniu pisze: Chcę być lekarzem, bo lubię pomagać ludziom cierpiącym. Potem poda przykład z jakim to poświęceniem na wczasach lekarz ratował życie chorego. Oczywiście ubarwi, przesadzi, sam wszystko wymyśli. A przed oczyma będzie miał samochód ojca Marka, znanego ginekologa, który często podrzuca jedynaka do szkoły, „simpsonkę" kolegi, jego gruby plik setek na drobne wydatki, ale o tym już nie napisze, tylko skonstatuje, ile to czasu musiał molestować rodziców, żeby kupili mu sztruksy, rower, ile naoszczędzać kieszonkowego, sprzedać butelek, makulatury...

Nie może być tak źle — zakrzykną władze szkolne — uczymy szacunku do pracy, do człowieka. Z okazji Dnia Dziecka prowadzimy do zoo. Młodzież nie jest zła, deprawują ją rodzice, otoczenie, warunki etc. Czy faktycznie sprawa dręczenia, sadyzmu wobec zwierząt nie należy też do problemów wychowawczych — jeśli tak, to z jakiego powodu łódzkie Kuratorium Oświaty i Wychowania nie chce nawiązać współpracy z TOZ, tym bardziej, że wypadki bestialstwa nieletnich wobec czworonogów stają się już nagminne? Zresztą nie tylko najmłodszych, dorośli nie są lepsi.

Zastępca kierownika działu administracyjno-gospodarczego w Prasowych Zakładach Graficznych przy ul. Armii Czerwonej utopił trzy małe koty w wiadrze wody. Ponoć stanowiły ogromne niebezpieczeństwo. Żeby oddać jego grozę, przestrzec — nadgorliwiec wstawił wiaderko z martwymi zwierzakami do pokoju pracownic, o których wiedział, że je dokarmiały. Rano, gdy weszły widok miały zaiste pouczający...

W schronisku dla zwierząt przy ul. Marmurowej w Łodzi usypia się psy podając lek dopłucnie nie dożylnie. Agonia zwierząt trwa w nieskończoność, duszą się godzinami. A wydawałoby się, że instytucja, która z powołania i nawet z nazwy obowiązana jest do ochrony, nie do zadawania dodatkowych cierpień, nie będzie prowadziła tak niecnego procederu.

Przed kilku laty poznałem na Mazurach leśniczego, który trzymał aż trzy psy. Karmił tylko jednego. Z dwóch pozostałych pierwszy chodził wolno — sam się więc wyżywił. Szary wilczur, chudy jak szkielet, ze zmierzwioną sierścią, wściekłymi z głodu ślepiami, stał na łańcuchu — „na jesień miał być zastrzelony" — nie dostawał nic. W skwarne lipcowe popołudnie wypił dziesięć saganów wody...

Widziałem też wiejskiego kota, jak żarcie przednimi łapami do pyska upychał. Głód u zwierząt też może być matką wynalazku. Nigdy jednak nie dorównają pomysłowości ludzi. Właściciel rożna sprzedawał „miaucżące kiełbaski". Prowadził na wielką skalę handel kocimi skórkami. Trzy, pięć tysięcy jedna. Zwierzęta skupowano na tony...

Oddział Wojewódzki Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Łodzi swoim zasięgiem obejmuje województwo miejskie łódzkie, skierniewickie, sieradzkie, piotrkowskie, płockie. Inspektorzy TOZ nie cieszą się popularnością w społeczeństwie, jest ich przede wszystkim za mało. Nie wspiera ich żadna inna instytucja... Nikt nie traktuje ich pracy serio. Gospodarz, który na targu trzyma barany związane drutem kolczastym mówi — *„odczep się pan, mój interes, zwierzaki też moje"*. I w najlepszym wypadku zrobi kółko palcem na czole. Przechodzący milicjant w ogóle nie zwraca uwagi na takie sprawy. Bydło rzeźne głodzone, bite, transportowane w nieodpowiednich warunkach traci na wadze, łamie nogi, rozrywa skórę. Krwawe wybroczyny do tkanki tłuszczowej, mięsnej powodują dyskwalifikację trzydziestu procent tłuszczu, mięsa! Ubywa cennych kilogramów.

Zwierzęta w zakładach doświadczalnych, instytutach naukowo-badawczych są przechowywane nieodpowiednio, ciasno ubite w klatkach. Głodzone! Ostre zabiegi, otwarcia ciała wykonuje się w antysanitarnych warunkach. W Zakładzie Fizjologii Zwierząt przy ulicy Rewolucji 1905 roku w Łodzi, gdzie pracuje się na czworonogach z wyższym stopniem rozwoju psychicznego, w czasie kontroli w 1983 roku okazało się, iż nikt nie posiadał uprawnień pozwalających na doświadczenia, praktycznie robili je nawet studenci... A mogą wyłącznie samodzielni pracownicy z imiennym zezwoleniem.

Problem ochrony zwierząt obecnie stanowi sprawę niebagatelną. Wrogi stosunek do nich wśród znacznej części społeczeństwa jest bardzo rozpowszechniony, nie pozostaje bez wpływu na wychowanie dzieci i młodzieży. Jego wagę, jak do tej pory, dostrzegło jedynie Biuro Prewencji Komendy Głównej MO. Wysłano instrukcje do Wojewódzkich Urzędów Spraw Wewnętrznych które niestety w większości przypadków tam utknęły. Praktycznie nie robi się nic.

W Łodzi sprawa trafiła akurat w ręce wielkiego przyjaciela czworonogów kpt. ANDRZEJA ANDRYSZCZAKA z Wydziału Prewencji WUSW. Opracowano szczegółowe wytyczne i rozesłano do Rejonowych Urzędów Spraw Wewnętrznych. Niestety, tutaj też funkcjonariusze MO ani myślą swoją działalnością wspierać TOZ! A wystarczyłoby, aby na podległych sobie terenach po prostu zwrócili uwagę na te sprawy. Zaglądają do punktów skupu żywca, na targowiska, doskonale znają prywatnych gospodarzy, dobrze wiedzą, co dzieje się w terenie, w dzielnicy...

Dzieci też nie powinny „bawić się" jak chcą. Istnieją przecież granice, których przekraczać nie wolno... Wstydliwy problem koci, psi? W końcu to tylko zwierzęta! Nie łudźmy się.. że na nich się skończy. I pamiętajmy że już byli tacy młodzi, którzy zanim podnieśli rękę na człowieka zaczynali także od psa. Skąd to znamy?

EDWARD BRYL

Kibic na wyjeździe

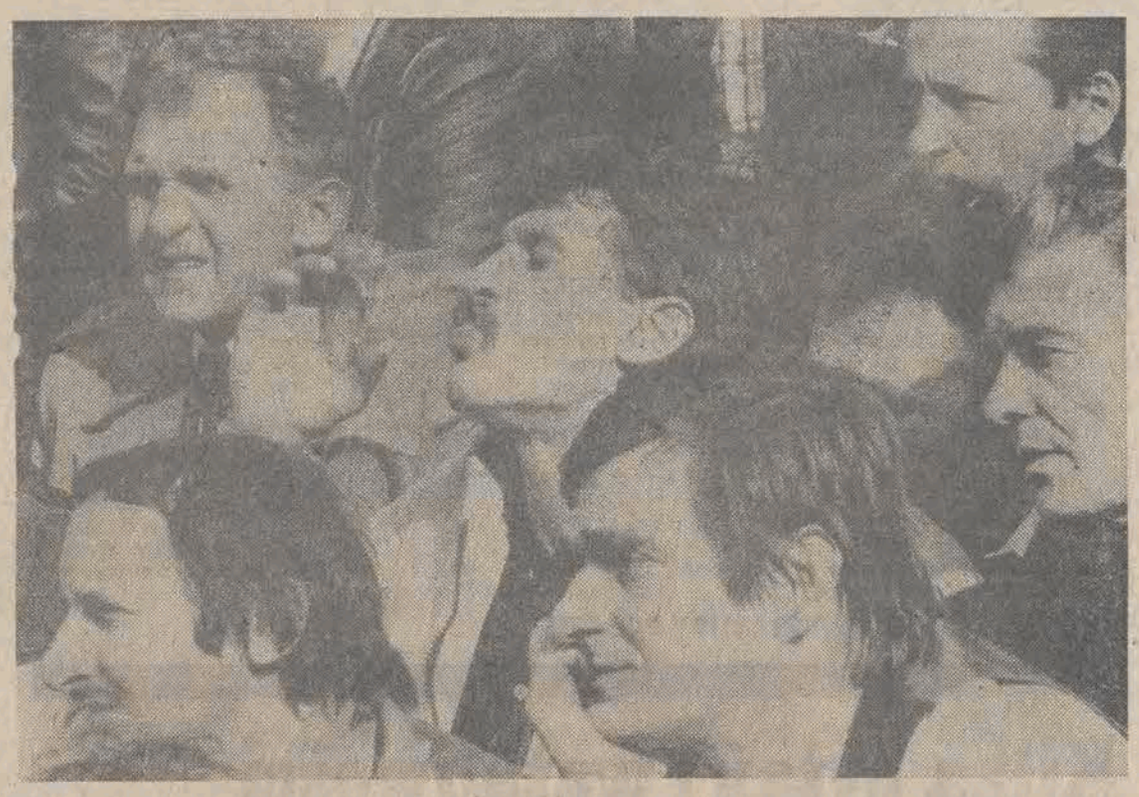

Foto.: M. Zajdler

Dokończenie ze strony 1

co najwyżej jak marnego wymoczka, którego nie stać na męską decyzję oddania serca, duszy i ostatnich zaskórniaków temu jednemu, jedynemu klubowi.

— *Po co taka sirota łazi po świecie? Przecie toto nie wie ile bramek sypnął Ciołek i jakie kopyto ma Okoński.*

Pełny zestaw dopuszczalnych barw dla mieszkańców i przyjezdnych, dla miast i miasteczek zawiera rzeczony „skarb kibica", który raz jeszcze polecam, pomny własnych, acz mało przyjemnych doświadczeń z gościnnej stolicy, gdzie zostałem wdeptany w beton za nosicielstwo biało-niebieskiego szalika. Nie mam żalu do moich nieletnich pogromców, bo przecież zawiniłem ciężko, dopuściłem się jawnej prowokacji i niechybnie zamanifestowałem sympatię dla poznańskiego Lecha albo innego Ruchu, a takiego chamstwa rzecz jasna tolerować nie wolno — moja wina!

POCIĄGI POD SPECJALNYM NADZOREM

— *KKS mistrzem Polski jest!* — gromko skandowali kibice Lecha, a staruszek Kaliski niebezpiecznie pomrukiwał od posady i ostrzegawczo grzmotnął kawałem tynku w rozpalone głowy.

Przyjechał pociąg z Poznania. Przyjechali kibice na ligowy mecz.

— *Panowie, trzymajcie się w kupie, bo będzie gorąco!* — przestrzega rezolutny weteran eskapad na tereny wroga. — *Do kupy, do kupy, bo wywloką i napiorą...*

Zmykają na boki grupki przerażonych podróżnych, a niebieski taran wpada w gardziel peronowego zejścia. Ale oto niemiła niespodzianka; potrójny milicyjny kordon przegradza tunel w poprzek i blokuje wyjście do miasta.

— *Kibice na prawo, reszta na lewo!* — komenderuje szarża porządkowych. — *Przepuścić tych z walizkami! Gdzie się pchasz z tym drzewcem — stadion jest na prawo.*

Poznaniacy przechodzą wzdłuż szpaleru mundurowych, po czym milkną z lekka widząc gotowość bojową milicyjnych posiłków rozlokowanych wokół stadionu ŁKS-u.

— *Ładny gips. Ani chybi w... nam przy pierwszej okazji, że d... blada* — mamrocze podchmielony facet i żeby przynajmniej było za co oberwać, gryzmoli pisakiem na białym pasie radiowozu magiczne słowo „Kolejorz".

Szeregowy kibic podróżuje pociągiem — najtańszym i najweselszym środkiem lokomocji. W pociągu wszystko może się wydarzyć. Można na przykład nielicho zahandlować, ubić dobry interes, nawiązać obiecującą znajomość, nie mówiąc już o spotkaniu paru oryginałów z niebanalnym życiorysem, ochoczo opowiadających pikantne historyjki. Można też nie spodobać się pekapowskiej drużynie, co praktycznie oznacza *w najlepszym razie bezpowrotną utratę czci i mienia. Można wreszcie uczestniczyć* w wykładzie z teorii futbolu, popartym prezentacja co ciekawszych zagrań bez piłki — zastępczo wykonywanych na skromnej osobie słuchacza. Tak czy inaczej, w pociągu nudzić się nie sposób.

— *Ma pan bilet do Szczecina, a my jedziemy do Krakowa* — uprzejmie zwróci uwagę konduktor.

— *Coś podobnego! Czy waszemu maszyniście często zdarzają się takie pomyłki?*

Kibic na wyjeździe nie zawraca sobie głowy rzeczą tak mało istotną jak bilet. Rzadko kiedy rewizor ryzykuje wejście do wagonu zawładniętego przez futbolowych fanów.

— *A co ja jestem kaskader albo jaki samobójca, żeby nadstawiać łeb pod koła. Za te marne grosze to nie opłaca się nawet wychodzić z przedziału* — objaśniał kolejarz na stacji Skierniewice, gdy omijając wagony z kibicami szedł na koniec składu.

Kibic na wyjeździe to jest pan — od czubka głowy, aż po zdarte podeszwy kapci. Raz na dwa tygodnie, za to pełną gębą i do oporu. Przychodzi sobota, więc żegnaj wyskata kobito, żegnajcie krzykliwe dziatki, pieluchy, gary wiecznie zepsuty kran. W Polskę jedziemy!

Kibic—junior wychodzi z rodzinnego domu w białej koszulce, szetlandzie i spodenkach w kancik — ot, przykładny synek ufnych rodziców. Ale już na dworcu znika w toalecie, zrzuca ten śmieszny strój, a po kwadransie na peronie zjawia się wamp i dołącza do swych kolegów — też wampów. — Jak szaleć to szaleć — oranżadę proszę!

Jutro, w poniedziałek, trzeba będzie wyczyścić buty i grzecznie iść do szkoły. Na razie jednak będzie wyjazd na mecz. Już podstawiają wagony. Trzy ostatnie zajmują kibice — o czym wszem i wobec świadczą rozwieszone w oknach klubowe flagi. W tej części pociągu w odróżnieniu od reszty składu, tłoku nie będzie. Znalazła się gitara, brzęczy szkło, w ruch idzie zatłuszczona talia kart i... dziewczynki. Dwie karłowate panienki w uniformach punk, o twarzyczkach bardzo dalekich krewnych aniołków, jadą tu w charakterze maskotek i mają niesłabnące wzięcie u kolegów. Wszak brzydkich panienek nie ma — jest co najwyżej za mało wódki...

Kto nie wytrzymuje ostrego tempa tankowania, ten pada na siedzenie i śpi aż do kresu podróży. W środku wagonu ktoś przedwcześnie podpalił sztandar przeciwnika. Ktoś inny ręcznie przekonuje dyskutanta, że będzie 4:0, a nie 2:1.

Na małej stacyjce nieświadomy mężczyzna usiłuje wejść do ostatniego wagonu.

— *Skikaj stąd bratku! Nie widzisz, że zarezerwowane!*

— *Pójdę po konduktora* — odgraża się mężczyzna.

— *Wolna droga. I nie zapomnić przyprowadzić sołtysa...*

Po dwóch godzinach towarzystwo z nadmiaru wrażeń przysnęło na krótko. Drzemka wyzwoliła nową energię. Pociąg wjeżdża na kolejne dworce z łopocącymi flagami w oknach, ze śpiewem i okrzykami: — *Złodziejski, przemytniczy klub — to Legia Warszawa...* Albo: — *CWKS, CWKS — Legia k..., j.. ją pies...*

Czterdziestu milicjantów wsiada do tego pociągu na ostatnim przed celem podróży postoju. Mundurowi zajmują korytarze wszystkich trzech wagonów. Milknie śpiew. Kibice wchodzą do przedziałów i usuwają za okna nadmiar szklanych opakowań. Już niedaleko...

TURNIEJ

Dla kibica nie ma martwego sezonu. Kończy się piłka kopana, to kibic przechodzi pod dach i wspomaga dopingiem ukochany klub w bojach o, dajmy na to, koszykarskie trofeum. Wszelkie insygnia — flagi, szaliki etc., pasują jak ulał do nowych warunków i z pożytkiem służą przez okrągły rok. Jeszcze tylko drobne zmiany w tekstach przyśpiewek; zamiast „gola strzel" będzie „kosza rzuć" i na mecz.

Najlepiej i co by nie mówić najprzyjemniej wspierać drużyny żeńskie, bo dziewczyny bywają całkiem do rzeczy, a i czasem można załapać się na rundę damskiego boksu z elementami wolnej amerykanki.

Jedziemy na turniej. Klub nasz pilnie potrzebuje pomocy kibiców. Wczoraj, po drugiej porażce w turnieju, dziewczyny się załamały — są o krok od degradacji z ligi. Wieczorem prezes podejmuje ratunkowe decyzje: zwołać najgłośniejszych fanów, zabrać sprzęt dopingowy, podstawić autokar klubowy i jechać z odsieczą! Nie minęła godzina, a już za pomocą pantoflowej poczty zwerbowano najemników, czyli kiakierów, albo jak kto woli — delegowanych sympatyków klubu. Rankiem następnego dnia pan prezes osobiście żegna odjeżdżającą ekipę.

— *Kochani, pamiętajcie, że jesteście ostatnią szansą. Od was wszystko zależy. Jak zostaniemy w lidze to klub o was nie zapomni. A na razie macie tutaj coś do jedzenia i skrzynkę coli.*

Ruszamy i żeby hojnego prezesa podnieść na duchu wyjemy ile sił w płucach klubowy hymn. Pan prezes jest wzruszony. Mijamy okryte śniegiem pola i trzęsiemy się z zimna, bo akurat nawaliło ogrzewanie. Kierowca wspaniałomyślnie pozwala palić, więc skwapliwie korzystamy z ciepłoty tytoniowego dymu, ale zaraz wnętrze wozu wypełnia się gęstą mgłą i trzeba uchylać okna. Autobus — stary gruchot — ma jedną niewątpliwą zaletę: wzbudza zainteresowanie mieszkańców wsi, osad i miasteczek, jako że na jego burtach widnieją duże, barwne napisy i emblematy klubu.

— *Puść mnie do okna* — przepycha się „Skalpel". — *Niech kmiotki myślą, że jedzie czołowy napastnik.*

„Skalpela", z należnym mu szacunkiem, uważamy za pierwszego kibica w mieście. Dopinguje on na równi: piłkarzy, koszykarki, szczypiornistów a pewnie mógłby też pasjonować się gimnastyką, żużlem i bobslejami — gdyby takie sekcje w naszym klubie istniały.

Cały nieprzeciętny dar pamięci „Skalpel" oddał we władanie sportu. Przy każdej okazji imponuje znajomością wyników, dat, klasyfikacji, a przede wszystkim danych osobowych zawodników, od numeru kołnierzyka poczynając, na intymnych szczegółach z ich prywatnego życia kończąc.

Prócz kibicowania „Skalpel" jeszcze pracuje. Wiadomo, że zatrudniony jest w prosektorium, ale co tam robi pozostaje jego słodką tajemnicą. Czasem, odwijając poły kurtki, pokazuje nam swoją słynną kolekcję lancetów — w czterech rzędach na płótnie. Teraz „Skalpel" dumnie zasiadł przy oknie i wczuwa się w nową rolę — czołowego napastnika.

Jeszcze przed południem dojeżdżamy do celu. Kierowca, chyba zgodnie z wolą prezesa, podwozi nas pod hotel, w którym zakwaterowano naszą drużynę. Dziewczyny otwierają okna i machają do nas przyjaźnie. Chcemy wejść do środka, ale portier widząc co się święci bohatersko zastawia drzwi własną piersią.

— *Wynocha stąd! Tu jest gwiazdkowy hotel, a nie schronisko dla włóczykijów.*

— *Ty flaku od kaszanki! Zobaczysz sroto z prowincji na kogo pyskujesz* — Rycho dziarsko rusza staranować drzwi.

— *Daj spokój!* — zatrzymujemy go. — *Wrócimy tu po meczu, wtedy zobaczy więcej gwiazdek — w oczach.*

Nie ma rady. Jedziemy do centrum miasta i z rozwiniętymi flagami tudzież śpiewem i okrzykami wchodzimy na staromiejski rynek. Niestety, tubylcy są jacyś niedzisiejsi. Umykają przed nami, schodzą z drogi. Nawet dzieci chowają się do domów.

— *Patrzcie jaka wiocha* — dziwi się „Skalpel". — *Marsjan zobaczyli, frajerzy.*

Zwijamy sprzęt, bo jeszcze gotowi nasłać na nas milicję, a przecież prezes powtarzał, żeby było cacy i żadnych awantur. Będzie cacy!

Do hali sportowej docieramy bez trudu. Miejscowi dziwią się, że chciało nam się jechać z tak daleka na bądź co bądź koszykówkę. Kto z nich zrozumie prawdziwego kibica? To przecież nasz obowiązek!

Po drodze robimy zrzutkę na kwiaty dla kapitanów drużyn i sędziego. Trzeba było zobaczyć rozdziawione gęby tubylców, kiedy nasi weszli na parkiet z bukietami goździków. Tego jeszcze na prowincji nie widzieli. Potem był mecz i gładkie nasze zwycięstwo. Szkoda tylko, że paru kolegów straciło głos od krzyku i śpiewu. Szkoda, bo to dopiero początek turnieju. Po meczu przymusowo kierujemy się w stronę najbliższej knajpy, żeby uzupełnić zapas energii i raz jeszcze przywołać w pamięci najciekawsze akcje z parkietu.

— *Wartałoby naoliwić gardziołko* — proponuje Rycho i przywołuje kelnerkę.

— *Kartę chorobową poproszę* — uprzejmie zaczyna.

— *Nie rozumiem. Co podać?* — peszy się dziewczę.

— *Po waszemu nazywa się toto jadłospis* — rechocze Rycho i zamawia soplicę.

— *A do konsumpcji pańcwie sobie życzą...?* — nieśmiało proponuje kelnerka.

— *Cztery piwa ma się rozumieć!*

Śpimy w autokarze i na dworcu. Na dworcu jest trochę cieplej, za to strasznie niewygodnie na drewnianych ławkach. Byle do rana.

Drugi dzień — najważniejszy dzień turnieju. Jeżeli dziewczyny znowu wygrają, to zostaną w lidze. Jeżeli nie — to mają jeszcze szanse jutro. Wygrały! Ale cośmy się nakrzyczeli i nadenerwowali... Tamta drużyna też miała doping. Przyjechał z nimi tylko jeden facet i narobił takiego rabanu, że mało co, a zagłuszyłby nas wszystkich. Spryciarz przynosował sobie do dłoni dwie deszczułki i walił jedną o drugą z efektem godnym pneumatycznego młota.

A więc zostajemy w lidze. Z tej okazji nie będziemy spać na dworcu, ani też szczękać zębami w zimnym autokarze. Objeżdżamy wszystkie tutejsze hotele, lecz oczywiście nigdzie nie ma wolnych miejsc. Tylko dom wycieczkowy PTTK ma do wynajęcia jedną zbiorową salę na 12 łóżek. Wypada troszkę więcej niż po dwóch na jedno łóżko. Recepcjonistki z niechęcią kręcą głowami — widać nie wzbudzamy zaufania, nie mówiąc już o sympatii. Dopiero plon kolejnej zrzuty, dyskretnie przylepiony do szyby, otwiera nam drzwi pokoju. Jesteśmy tak przemarznięci, że czysty spirytus nie robi na naszych gardłach żadnego wrażenia. Zasypiamy prawie natychmiast.

Ostatni dzień turnieju. Kupujemy bilety zaraz po otwarciu kas, bo słusznie przewidujemy dużą frekwencję. Miejscowa drużyna gra dzisiaj z naszym zespołem i jest to jej być albo nie być w lidze. Przed meczem przychodzą koszykarki z drużyny, która już ukończyła rywalizację, a której los jest w naszych rękach. Tylko nasze zwycięstwo nad gospodyniami turnieju przedłuża ich pobyt w lidze. Proszą o wsparcie ich słusznej sprawy.

— *A co ja będę z tego miał?* — zauważa „Skalpel".

— *Przyniesiemy znaczki klubowe i skrzynkę piwa* — jasno stawiają sprawę koszykarki.

— *Zrobi się!*

Zaczynamy koncert. Tutejsi kibice najpierw nieudolnie usiłują nas naśladować, a potem, nie widząc innej rady, gwiżdżą na palcach — byle głośniej. Nasza drużyna mimo wszystko nie odpuszcza tego meczu i wyraźnie obejmuje prowadzenie. W przerwie nadchodzi transport obiecanego piwa. Największą klubową flagę zamieniamy w parawan i za nim opróżniamy płynne honorarium. W końcówce meczu, gdy widmo spadku z ligi zagląda gospodarzom w oczy, sypią się na nasze głowy przeróżne twarde przedmioty. Obrywam nogą od krzesła, ale i tak mam szczęście, bo ci pod ścianą zarobili koszem na śmieci.

Koniec meczu. Wychodzimy z sali, a właściwie jesteśmy wypychani kopniakami przez rozżalonych tubylców. Za odjeżdżającym autobusem leci grad kamieni...

Wracamy do domu w dobrych nastrojach, a przede wszystkim z przekonaniem, że uratowaliśmy honor klubu.

Pan prezes niestety nie oczekiwał nas u bram stadionu...

DZISIAJ POLSKA GRA...

Narodową reprezentację w akcji zobaczyć trzeba na własne oczy. Pełen stadion, a wszyscy jak jeden mąż zbratani wiarą w zwycięstwo. Nie ma waśni, sporów o wyższości „zielonych" nad „niebieskimi", „pasiaków" nad „białą gwiazdą", etc., etc. Są tylko ONI — „biało-czerwoni".

Do niedawna jeździło się na takie piłkarskie święta z kumplami. Teraz obyczaje mamy zgoła inne. Skoro zakład pracy organizuje autokarową wycieczkę, nie omieszkają skorzystać z okazji zapobiegliwe panie domu.

— *Wy sobie pójdziecie na ten swój mecz, a my zajrzymy do sklepów, może coś rzucą* — słusznie kalkulują niewiasty.

W dniach pamiętnych bojów Widzewa o europejskie puchary ciągnęły do Łodzi koedukacyjne wycieczki, lecz najwyżej połowa ich uczestników była zainteresowana sukcesem naszej eksportowej jedenastki. Druga połowa nie bardzo orientowała się o co właściwie mężom chodzi, natomiast świetnie wiedziała, jak trafić do „Centralu".

Dzisiaj Polska gra... — kusiły plakaty reklamujące wycieczkę na międzypaństwowe spotkanie piłkarskie do Chorzowa. Pojechałem i ja. Muszę przyznać, że nie wiem do dziś jaką trasą jechaliśmy, bo wszystkie okna w autobusie zostały zaklejone planszami z proponowanym wynikiem meczu — rzecz jasna w wersji optymistycznej. Nie to było jednak najciekawsze, lecz tzw. zbiorowa mądrość kibiców. W Chorzowie parking wyznaczono w znacznej odległości od stadionu. Pilot wycieczki, który dobrze o tym wiedział, jeszcze w drodze zaproponował:

— *Panowie, nie będziemy pedałować dwa kilometry do stadionu. Powiem, że mam wycieczkę inwalidów, a wy udawajcie paraliżyków.*

Tak też się stało. Zajechaliśmy pod samą bramę. Przejęci milicjanci na rękach niemal wynoszą nas z autobusu. My kuśtykamy wolniutko, przyjmujemy paragraficzne pozycje z przekrzywioną głową i wysuniętą szczęką. Otacza nas zgodna atmosfera współczucia.

ELITA

— *Nie jestem zwykłym kibicem. Jestem ojcem chrzestnym mojego klubu* — powiedział Papa Mirek.

Papa Mirek jeździ ze swoim zespołem na wszystkie mecze w kraju i za granicą. Różnica jest tylko taka, że piłkarze podróżują autokarem, a Papa Mirek białym polonezem.

— *Taki popularny wóz nie rzuca się w oczy* — kontynuuje „ojciec chrzestny" — *Przy okazji zabieram sztruksy z mojej firmy i podrzucam je do butików. Wracam też z towarem — czyli wychodzę na swoje.*

Papa Mirek może wszystko załatwić. Może na przykład szybko zorganizować M-5 dla nowego stopera albo maturę dla obiecującego napastnika. Po dobrym meczu „ojciec chrzestny" funduje swym chłopcom wystawną kolację, a czasem to nawet wręcza im koperty... Bywa, że mecz po prostu nie wyjdzie, a tu jak raz pilnie potrzebne są punkty. Wtedy prezes przesiada się do białego poloneza i długo konferuje z jego właścicielem. Po takiej rozmowie brakujące punkty znajdą się na pewno.

— *Kto dzisiaj sprzeda ligowego piłkarza za marne 10 milionów* — prorokuje Papa Mirek. — *Drugie tyle trzeba będzie dać z łapy do łapy i bez świadków.*

Papa Mirek wie najlepiej — dlatego on, a nie prezes, trzęsie drużyną. Masz problem? — Idź do Papy — mawiają nawet juniorzy i... idą.

Na swoim stadionie „ojciec chrzestny" ma swoje miejsce w loży i nikt tego miejsca nie śmie zająć. Na wyjeździe Papa Mirek też zasiada w doborowym towarzystwie. Żeby tak jeszcze jego piłkarze mogli nosić napis na koszulkach „SZTRUKSY PAPY MIRKA"...

ROMAN KUBIAK

Foto: M. Zajdler

Kronika kulturalna

OSIEMDZIESIĄTE urodziny obchodził niedawno Kiejstut Bacewicz, wybitny pianista i pedagog, były długoletni rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Do życzeń, jakie napłynęły do jubilata ze wszystkich stron kraju i z zagranicy dołącza się redakcja „Odgłosów".

„MÓJ LIST Z WIDOWNI" — to tytuł konkursu, organizowanego przez Towarzystwo Kultury Teatralnej wspólnie z Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi, adresowanego do najmłodszych widzów — uczniów szkół podstawowych. W tych dniach odbyło się podsumowanie konkursu i wręczenie nagród autorom najlepszych prac pisemnych i plastycznych.

Konkurs cieszył się dużym powodzeniem: nadesłano 321 prac pisemnych i 468 plastycznych, których autorami byli uczniowie ponad 30 szkół. Największym powodzeniem wśród młodej widowni cieszyły się oczywiście bajki — im też poświęcona była większość prac konkursowych — ale także przedstawienia operowe, zwłaszcza rock-balet „Próba". Jury, po niełatwej pracy, związanej z oceną przyznało 12 nagród i 44 wyróżnienia autorom wypowiedzi pisemnych oraz 32 nagrody i 43 wyróżnienia autorom prac plastycznych.

MEKSYKAŃSKIE ludowe instrumenty muzyczne obejrzeć można na wystawie, otwartej niedawno w gmachu Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, Plac Wolności 14. Współorganizatorem wystawy jest Ambasada Stanów Zjednoczonych Meksyku.

WAKACJE mają nie tylko najmłodsi. Rozpoczęli je również seniorzy — słuchacze wykładów i uczestnicy innych zajęć, prowadzonych przez Łódzki Uniwersytet Trzeciego Wieku. Placówka ta obchodziła skromny jubileusz — 5-lecie działalności. Jego obchody połączono z akademią, zamykającą kolejny rok akademicki. W części artystycznej zaprezentowano program pt. „Refleksy czterdziestolecia", w którym, obok zawodowych artystów estradowych, wystąpił również zespół sceniczny słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

DREWNIANE zabytki architektoniczne są tematem szkiców i rysunków, prezentowanych w Salonie Wystawowym PAX przy ul. Piotrkowskiej 49. Ich autorem jest łódzki grafik Jerzy Cichecki. Prezentowane prace — to plon podróży artysty po znanych i zapomnianych zakątkach kraju. Jest tu więc i gotycki Toruń, licznie odwiedzany przez turystów, podhalańskie kościółki i bieszczadzkie cerkwie, a także niemal nikomu nieznane obiekty budownictwa sakralnego i mieszkalnego z okolic Sieradza czy Wielunia. Niezależnie od wysokich walorów artystycznych prezentowanych prac wystawa spełnia jeszcze jedną ważną rolę: pokazuje to, co w wielu przypadkach niszczeje, zamienia się w ruinę, po prostu ocala od zapomnienia zabytki, których już wkrótce nie będziemy mogli oglądać w naturze.

DNI MORZA obchodzono również w Łodzi. M. in. w VI Liceum Ogólnokształcącym odbyła się z tej okazji impreza, w której, obok uczniów, uczestniczyli również harcerze wodniacy oraz delegacje oficerów Marynarki Wojennej i członków Ligi Morskiej. W czasie uroczystości odsłonięta została tablica, umieszczona na frontonie szkoły, poświęcona pamięci łodzianina — admirała Zdzisława Studzińskiego. Uczniowie VI LO poinformowali gości o wpłacie ponad 52 tys. zł, uzyskanych ze zbiórki makulatury na konto Szpitala-Pomnika Matki Polki.

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA FIZYKÓW rozpoczęła się w poniedziałek w Łodzi. Jej tematem są „Wzbudzone stany jąder atomowych". Podstawowym celem spotkania jest dokonanie przeglądu badań doświadczalnych jądra atomowego, a także jego teoretycznych modeli. Zaprezentowany zostanie również dorobek polskich fizyków — w tym naukowców łódzkich. Organizatorem konferencji jest Zakład Fizyki Jądrowej Niskich Energii Instytutu Fizyki UŁ, którym kieruje doc. Marian Przytuła. W sympozjum uczestniczy 70 naukowców, w tym 20 gości z zagranicy, a wśród nich światowej sławy uczeni z ZSRR i USA.

ZADANIA szkolnych kół Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej były tematem kolejnego posiedzenia plenarnego ZŁ TPPR, odbywającego się pod hasłem „Sojusz — Przyjaźń — Współpraca". W naszym województwie istnieje ok. 250 szkolnych kół TPPR, zrzeszających ponad 28 tys. członków. Wiele z nich może poszczycić się sporymi osiągnięciami w zakresie popularyzacji wiedzy o Związku Radzieckim, a także pożytecznego i atrakcyjnego wypełniania czasu wolnego uczniów — członków kół.

PIĘKNE GŁOSY w repertuarze Moniuszki, Nowowiejskiego, Szumana i Karłowicza oraz kompozytorów zagranicznych zaprezentowało 26 osób (w tym siedmiu panów) w ramach konkursu, organizowanego przez Wydział Wokalny Akademii Muzycznej i redakcję „Głosu Robotniczego" pod hasłem „Głos" pomaga pięknym głosom". Konkurs organizowany był już po raz trzeci. Wśród zwycięzców konkursu znaleźli się również łodzianie: Grzegorz Bielecki, laureat II nagrody oraz Ziemowit Wojtczak — zdobywca nagrody III w kategorii głosów męskich oraz Mariola Winkler, która otrzymała wyróżnienie w kategorii głosów kobiecych.

„OCHAPCIO"— zespół kabaretowy, istniejący przy dziewczęcym hufcu pracy nr 23—3 w Łodzi, kierowany przez Andrzeja Rajpolda zdobył wyróżnienie w finałach odbywającego się w Warszawie Ogólnopolskiego Przeglądu Amatorskiej Twórczości Ochotniczych Hufców Pracy. Nagrodzony program w wykonaniu sześciu dziewcząt — junaczek prezentowany będzie także przed łódzką publicznością na akademii z okazji uroczystego ślubowania nowych członków OHP.

■

SPÓR O BIBLIOTEKĘ LITERATURY POLSKIEJ

Kilka pytań i wątpliwości

Słychać niekiedy nieśmiałe głosy, iż w polskim kryzysie „coś drgnęło" — w gospodarce Tym razem „drgnęło" w obszarze publicystyki literackiej, bo oto pojawiła się pierwsza od lat — jeśli nie liczyć wyraźnie nieudanej dyskusji w sprawie Związku Literatów Polskich — polemika wokół plebiscytu na **„Książki czterdziestolecia"**. Zaczęła „Polityka" konkurencyjną listę ogłoszono niebawem w „Tu i Teraz", wkrótce zaś „Argumenty" wystąpiły z propozycją wydawania **„Biblioteki Literatury Polski Ludowej"**, swoje trzy grosze wtrącił także telewizyjny „Pegaz" i oto mamy do czynienia z całą kampanią.

Kiedy się patrzy na owe przejawy życia literackiego z pozycji szeregowego uczestnika natło lista — co tu dużo mówić — żywiołowa (choć trafnie na przykład odzwierciedlająca wielkie społeczne zapotrzebowanie na wysokiej próby literaturę faktu). **„Biblioteka Literatury Polski Ludowej"** zgłoszona przez redakcję „Argumentów" stanowi propozycję ułożoną według kryteriów, które wyczerpująco przedstawił Zenon Skuza, a których podstawę stanowi obecność w dziełach literackich **„centralnych problemów w życiu naszego narodu"**. Sama idea utworzenia takiej „Biblioteki" nie jest nowa — dość przypomnieć międzywydawniczą serię pod nazwą „Kolekcja Literatury XXX-lecia", przemianowaną później w „Kolekcję Literatury Współczesnej". Wyróżniała się ona starannym kształtem edytorskim, nie uniknęła jednak pewnej przypadkowości. W ogóle wydaje się, że całkowite wyeliminowanie przypadku w tego typu przedsięwzięciach nie jest możliwe. Przypadek, a nawet chochlik, bywa wszechobecny (to on nawiasem mówiąc spowodował niemiły błąd w tytule powieści Andrzeja Kuśniewicza zgłoszonej do „Biblioteki").

Reprezentatywna i wyważona — zdawałoby się — lista „Argumentów" też okazuje się wcale nie taka reprezentatywna, skoro redakcja zgłasza od razu niemała ilość tytułów alternatywnych (w ramach tych samych, podkreślam, kryteriów) i namawia czytelników do zgłaszania propozycji dalszych. Świadczy to o istotnych trudnościach w stworzeniu kanonu satysfakcjonującego większość polskiej publiczności czytającej Przypomnienie w tym miejscu niedawnej polemiki wokół lektur szkolnych, nawet jeśli abstrahować będziemy od jej politycznego podłoża, również potwierdzi wspomniane kłopoty.

Jak zatem potraktować publicystyczną kampanię wokół książek czterdziestolecia? Powiadam: cum grano salis Spokojnie i z dystansem. Nie ulega wątpliwości, iż **potrzebne są w stałym czytelniczym obiegu książki dla naszego czasu najważniejsze, najbardziej charakterystyczne.** Można i należy się o nie spierać. Literatura nie jest przecież wartością absolutną. Jej recepcja stanowi wypadkową wielu uwarunkowań. Jeśli myślimy o literaturze w miarę poważnie, to wyzbądźmy się histerycznych tonów w mówieniu o niej. Nic to bowiem dobrego do rzeczy nie przyda. Co najwyżej znów nada walor aktualności kąśliwej uwadze Kazimierza Brodzińskiego:

„W rozmowach dziwnie język
z obcym się kojarzy,
Po francusku spór wiedziem o
polskich pisarzy.'

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Rys. Janusz Szymański-Glanc

ANDRZEJ CEZARY SAWCZENKO

List otwarty do michała bułhakowa z czterdziestotrzyletnim opóźnieniem spisany

dr Jackowi Stachowiakowi

Mistrzu — tej upalnej nocy ja małgorzata
przez bliskich z przewrotności lub dewiacji zapewne zwana
cezarem
syta jadła i wody jeno snu złakniona
niepewna dnia ani godziny list ten spisuję
z potrzeby serca i dla potomności
poncjusza piłata obecnie prokuratora rejonowego w miejscowości
s.
spotkałem z powodu podejrzeń o przestępstwo łotrostwa
tj. o czyn z artykułu jakiegoś tam i paragrafu
ów że prokurator srodze przez los dotknięty kalectwem
o którym niewieście mówić nie uchodzi
ze szczerym uśmiechem i ujmującą rubasznością kastrata
ukrzyżować mnie żądał z powodu płci oraz przekonań
(zresztą w moim imieniu i dla mego dobra)
u czubków gdzie znalazłem się z racji ubezpieczenia społecznego
oraz zmiany nielegalnej osobowości ja cezar małgorzata
pijąc jodynę z erichem frommem podczas ciszy nocnej
z niepokojem stwierdziłem że ów poncjusz piłat
opuścił mnie pozostawiając na pastwę psychiatrii oraz wyrzutów
sumienia
wyrok się uprawomocnił erich fromm okazał się być chrystusem
dlatego też przy pełni księżyca po sznurowej drabinie wiersza
uciekłem z obszarów chronionych do świata za murem
gdzie prokurator rejonowy ów poncjusz piłat czuwa
nad moim bezpieczeństwem i szansą zbawienia
z tego też powodu pojęłam go za męża oraz poślubiłam
złożywszy na czole czuły pocałunek
vale procurator
Mistrzu — tej upojnej nocy po raz czterdziesty trzeci
straciłam dziewictwo ja małgorzata erich fromm cezar chrystus
łotr okrutny piąty prokurator judei eques romanus poncjusz
piłat

■

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

DWIE ANEGDOTY O BURMISTRZACH

Pierwszą z nich odnotował Kazimierz Bartoszewicz w „Perłach humoru polskiego (Kraków 1884), drugą Antoni Orłowski w „Encyklopedii humoru i satyry polskiej" (Warszawa 1914):

W pewnym galicyjskim miasteczku burmistrz miejscowy, wierny tradycji przywiązanej do tego urzędu, rzadko znajdował się w trzeźwym stanie. Pewnego razu, gdy nieco więcej sobie podchmielił i zataczając się powracał wieczorem do swego mieszkania, spotkał jakąś obcą kobietę, która przybliżywszy się do niego zapytała:

— Powiedz mi, mój poczciwy człowieku, gdzie tu apteka?

— Ja nie jestem żaden poczciwy człowiek, ale burmistrz tutejszego miasta, rozumiesz acani? — odpowiedział obrażony naczelnik grodu.

* * *

Na interpelację wniesioną w radzie gminnej miasta Stanisławowa, dlaczego ulice miasta są tak skąpo oświetlone, odpowiedział burmistrz:

— Moi panowie! Porządny obywatel siedzi już w domu, gdy noc zapadnie i nie włóczy się po ulicach, nie potrzebuje więc, żeby mu się jakieś latarnie świeciły, a dla hulaków, którzy noce przepędzają za domem, nie będziemy przecież ponosić wydatków. Byłoby to wreszcie niemoralne pomagać im w ich birbantkach.

Jak z powyższego wynika, ulice miast, podobnie jak dziś, bywały skąpo oświetlane No cóż, historia lubi się powtarzać.

RÓŻNE WCIELENIA SŁOWACKIEGO

Przed rokiem przypomniałem w „Bigosie" (1983, nr 24) osobliwe przypadki wiary w wędrówkę dusz, której poddawali się pod wpływem mistrza Andrzeja Towiańskiego nasi wielcy romantycy. Kronikarz tamtych czasów Michał Budzyński odnotował dosłowną wypowiedź Juliusza Słowackiego (Wspomnienia z mojego życia, t. 1, Poznań 1880). Mówi Słowacki:

(...) przypomniałem sobie jak w III w. po Chr. byłem kaznodzieją na Libanie; potem później, daleko później, palikarem greckim, i w górach wiodłem życie rozbójnicze ucierając się z Turkami, którzy po wzięciu Konstantynopola, zapuścili łupieże swoje po Morei Z palikara Bóg mi kazał wejść w ciało Polaka i cierpieć za Polskę (...) gdym przekładał „Księcia niezłomnego" tarzałem się po ziemi, wystawiłem sobie, że jestem tym księciem Portugalii, który za ojczyznę oddałem mój żywot i dźwigałem kajdany Maurów.

O BIAŁOGŁOWACH

Gdyby ta rzecz nie Pismem była
potwierdzona,
Że niewiasta jest z męskiej kości uczyniona,
Uważając ich szepty i tak żwawe mowy,
Rzekłbyś, iż Bóg z języka stworzył
białogłowy.
Stanisław Serafin Jagodyński (w. XVII)

ROZKAZ GENERAŁA

Między jenerałami, którzy Bonapartemu do Egiptu towarzyszli (w 1798 r.), był także jenerał Friant. Dowodził jedną dywizją wojska w której także grono uczonych się znajdowało. Gdy raz w marszu zagrożony był napadem wielkiej hordy Arabów, wydał następujący rozkaz: „Dywizja ukształci czworogran, osły i uczeni pójdą do środka". Na te słowa wszyscy żołnierze mocno się śmiać poczęli. Arabowie, którzy prawie co nacierać mieli, nie mogli pojąć, co by śmiech tak powszechny miał znaczyć. Bojąc się jakiej zasadzki, cofnęli się czym prędzej, a dywizja ciągnęła dalej spokojnym marszem.

„Pamiętnik Lwowski", 1816, t. 2

MARZENIE REDAKTORA

Czym sznaps jest dla pijaka,
Dla staruszka — tabaka,
Dla panien — konkurenci,
A dla pobożnych — święci,
Czym dla dewotek — plotki,
Dla starych panien — kotki,
Dla goga — modny kołnierz,
A dla kucharki — żołnierz;
Czym dla szulera karty,
Dla głodych — dom otwarty,
Dla gospodarza — zbiory,
A dla lekarza — chory.
Czym jest dla literata
Hojna „za wiersz" zapłata,
Tym abonentów spora
Liczba — dla redaktora!...

Wprawdzie myśl tę opublikował krakowski „Diabeł" w 1901 r., ale przecież i dziś Redaktorowi „Odgłosów" zależy na stałym powiększaniu liczby wiernych czytelników i sympatyków pisma, no i niżej podpisany chętnie odbiera „hojną „za wiersz" zapłatę".

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

■

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Pokojówki" — teatr złej woli

Na zdjęciu: Bogusława Pawelec (Solange) i Żywila Pietrzak Claire)

Foto: Witold Górka

Pisarstwo i osoba pisarza kojarzy się często z amboną i kaznodziejstwem. Jest coś nobilitującego w przemawianiu do ludzi za pośrednictwem dzieła literackiego, wydawałoby się, że i sam autor świecić powinien przykładem szlachetności i dobrych intencji. Kto bowiem poucza innych — a utwór literacki stanowi w pewnym sensie pouczenie, choćby sobie tego nawet nie zakładał — niech sam będzie bez skazy, a przynajmniej ma tych skaz jak najmniej.

Czy można jednak pogodzić z tak pojętą funkcją literatury postać Francois Villona, awanturnika i hulaki urągającego swoim życiem i twórczością wszelkim kanonom moralnym? Tego bywalca zamtuzów, uczestnika rozlicznych bójek, skazywanego w procesach na karę więzienia i odsiadującego ją trudno uznać za wzorzec etyczny. A przecież swą wspaniałą liryką miłosną zapewnił sobie stałe miejsce w literaturze światowej.

Albo Jean Genet. Wychowany w przytułkach i domach poprawczych, złodziej, oszust, pederasta, nielojalny w przyjaźni, kapuś policyjny, donoszący bez skrupułów na swoich kumpli w przestępczym fachu, słowem człowiek wyzuty z wszelkiej moralności i bez charakteru. I taki właśnie wrak ludzki zaczyna pisać, co więcej, twórczość jego — przy walnym udziale Jean Paul Sarte'a — staje się wydarzeniem literackim w skali Francji, a później w skali światowej.

Co stworzyło impuls dla pisarstwa Geneta? Ba, gdyby to ktoś do końca mógł wiedzieć! Twórczość pisarska jak wszelka twórczość artystyczna wytryska — niby źródło górskie — w tym, a nie w innym miejscu. *Spiritus flat ubi vult.* I nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, dlaczego ten czy ów wiedziony mistyczną potrzebą wewnętrzną zaczyna pisać i uprawiać potem literaturę zawodowo.

Jedno wydaje się pewne: Genet nie podjął tego trudu z miłości do ludzi, ani dla ludzi. Nie ma zamiaru krzepić swych widzów i czytelników, czy też nieść im jakiegokolwiek pozytywnego przesłania. Przeciwnie, jest piewcą zła. Mówi o nim w sposób tak naturalny, jak dla innych naturalna jest wyższość dobra nad złem. Takie wartościowanie jest autorowi *Pokojówek*, *Balkonu*, *Murzynów* i *Parawanów* nieznane. Jan Błoński pisał przed laty, że jest to teatr złej woli, skierowany przeciw widzowi, nie proponujący mu ani oczyszczenia, ani pociechy, ani — to ważne! — prawdy.

Można by żachnąć się w tym miejscu i zakrzyknąć: po co nam taki teatr! Czy potrzebujemy apologii zła płynącej ze sceny? Czy sztuka nie powinna raczej stawiać tamy okrutnej i brutalnej współczesności?

Jak widać, mnóstwo pytań rodzi się wokół Geneta, jego pisarstwa, wokół *Pokojówek*. A sztuka, która budzi pytania (innymi słowy zmusza do myślenia), już tym samym uzasadnia rację swego istnienia. Skoro ludzkość musi w interesie własnym przeciwstawiać się wzbierającej fali zła i brudu, to skończyć winna z eufemizmami i ze stosowaniem łatwych środków terapeutycznych. Wobec ostrych przejawów kryzysu moralnego wszelka dydaktyka i pouczenia stają się naiwnie nieskuteczne.

I oto jakby odpowiadając na zapotrzebowanie pojawia się Genet, pisarz reprezentujący tę drugą stronę. Naszemu labilnemu establishmentowi, któremu grozi zagłada, przeciwstawia wrogie, mroczne strony życia. Czyni to tak skutecznie i kompetentnie, gdyż nie jest na rekonesansie, lecz sam stanowi immanentną cząstkę tego zła. Może zatem mimowolnie ujawnia nam jego mechanizmy.

Jak ta rzecz wygląda na przykładzie *Pokojówek*, sztuki której prapremiera odbyła się w paryskim *Théatre de l' Athénée* w 1946 roku. Można w stosunku do niej zastosować fragment wywiadu udzielonego przez francuskiego aktora i reżysera Rogera Blina w 1961 r. londyńskiemu miesięcznikowi teatralnemu *Plays and Players*. Wywiad nie dotyczył wprawdzie *Pokojówek* tylko *Murzynów* i związany był z ich angielską prapremierą przygotowaną przez Blina, ale zacytowane niżej zdanie pasuje jak ulał do omawianej przez nas sztuki Geneta.

Blin stwierdza mianowicie, że autor *myślał bardziej o wypowiedzeniu się przy pomocy środków właściwych — jego zdaniem — PRAWDZIWEMU teatrowi, niż o przekazaniu konkretnej idei społecznej.* To trafne sformułowanie ujmuje lapidarnie zarówno sprawę przesłania sztuki, jak i ściśle teatralnych implikacji.

Okrutne pokojówki, siostry Claire i Solange, nienawidzą swą pracodawczynię, opływającą w zbytki damę z towarzystwa i jak się zdaje kokotę, doprowadzają delatorstwem do aresztowania jej kochanka, a ją samą zamierzają zgładzić. A przecież nie ma w tej wrogości cech świadomych, klasowych. Obie starzejące się kobiety bez perspektyw życiowych utożsamiają ze swą Panią przyczyny wszystkich swych niepowodzeń. To ona zajmuje jakby miejsce, które mogłoby przypaść im, gdyby jej luksusowe bytowanie zakłócić, przerwać jego bieg.

Nie podejmują jednak tego działania wprost. Przez długie samotne wieczory, spędzane przez Panią poza domem, na rautach i bankietach, siostry Lemercier podejmują grę, zabawę w teatr, kreując nową rzeczywistość, w której jedna z nich staje się pracodawczynią i pastwi się nad drugą. Nie jest to teatr realistyczny ani prowadzący do rozładowania kompleksów, dlatego nie można nazwać go psychodramą. Jest to — by raz jeszcze przywołać profesora Błońskiego — teatr złej woli.

Zniekształcając i doprowadzając do granic absurdu rzeczywistość, obie aktorki powołanego przez nie same teatru prowadzą jakby codzienny trening, oswajają się ze swymi morderczymi planami, obcują z nimi tak blisko, by w wybranym momencie przenieść je w autentyczne życie, podmienić grę prawdziwą zbrodnią. Morderstwo odegrane i morderstwo popełnione rzeczywiście sąsiadują przecież ze sobą ściśle, stanowią jakby awers i rewers tego samego medalu...

W wyniku takich machinacji otwiera się przed widzem otchłań, mroczny krajobraz zła krzewiącego się w człowieku. Salonowe gierki Claire i Solange służą otwarciu perspektywy na te bezkresne, ponure rewiry rządzące się własnymi regułami, tworzące odrębny własny porządek, w którym normy moralne służą jedynie do deptania.

W ten sposób sztuka Geneta powstaje jakby na przecięciu się dwóch linii — całkowitej obojętności moralnej i swoistej maskarady urągającej ogólnie przyjętej logice, kreującej zło środkami teatralnymi, by za chwilę użyć go w życiu. Skoro bowiem wszystko jest grą *(Totus mundus histrionem agit* — wypisał Szekspir na swym teatrze *Globe*) to nie istnieją żadne zahamowania w przechodzeniu od umowności do realizmu życiowego, od aktorstwa do zbrodni. Wszechwładne zło wytwarza ciśnienie tak wielkie, że musi znaleźć dla siebie ujście. Jeśli nie udało się zamordować Pani, można wypróbować spreparowaną dla niej truciznę na samej sobie.

Teatr zła wymaga, jak się wydaje, przełamania obiegowych przyzwyczajeń i rutyny. Dla całkowicie odmiennej pozycji wyjściowej autora, dla którego zło nie stanowi elementu przeznaczonego do zwalczania przez dobro, lecz jest bytem samym w sobie, należałoby poszukiwać nowych kształtów teatralnych, odrzucając jako nieprzydatne stosowane powszechnie konwencje gry aktorskiej.

Jakież to smakowite zadanie dla reżysera i aktorów! A jakie przy tym niesłychanie trudne. Z pewnością tworzy Genet szerokie pole do poszukiwań, poszerzając znacznie sferę doznań i doświadczeń teatralnych. Aż trudno odpowiedzieć, kto więcej satysfakcji wynosi z zetknięcia się z tekstami dramatycznymi tego autora — publiczność czy zespół realizujący je na scenie. Chyba ten ostatni.

Mała Scena Teatru im. Stefana Jaracza wykorzystywana jest dość konsekwentnie jako płaszczyzna służąca eksperymentowaniu i wypróbowywaniu nowych środków ekspresji. Tworzy zatem wymarzoną ramę dla prezentacji specyficznego teatru Geneta.

W efekcie międzynarodowej współpracy reżysera Angela Facio i trzech aktorek powstał spektakl interesujący, choć z pewnością nie rewelacyjny. Może w założeniu swym zanadto osadzony w tradycji teatralnej, zbyt nieśmiało próbujący ją przezwyciężać.

Z wykonawczyń, które w sposób rzetelny i pełen skupienia rozwijają przed nami błyskotliwą materię dramatyczną Geneta, najbliższa postawie poszukiwania nowego wyrazu wydaje mi się odtwórczyni roli Solange — Bogusława Pawelec. Aktorce udaje się skutecznie wydobywać mroczność tkwiącą w kreowanej przez siebie postaci i w sposób dyskretny przebywać pasaże od gry do rzeczywistości i na powrót.

W mniejszym stopniu udaje się to Żywili Pietrzak występującej jako Claire. Chyba zbyt wyraźnie akcentuje ona sztuczność tych partii tekstu, które z woli autora są *teatrem w teatrze*.

Stosunkowo mniej wdzięczną rolę ma do spełnienia w spektaklu Barbara Marszałek jako Pani. Nie sądzę, by udało jej się znaleźć klucz do tej postaci, która pomyślana jest przez Geneta, jako pretekst dla sprowokowania sióstr Lemercier do ich nikczemności.

Przedstawienie *Pokojówek* w Teatrze im. Jaracza nie w pełni satysfakcjonuje, ale stanowi niebanalny akcent w tegorocznym łódzkim sezonie teatralnym.

Jean Genet „Pokojówki" (Les Bonnes); przekład — Jan Błoński; reżyseria — Angel Facio; scenografia — Halina Zalewska; Mała Scena Teatru im. Stefana Jaracza; premiera — 12 kwietnia 1984 r.

Komu nagrodę „Odgłosów"?

Dziś publikujemy kolejną wypowiedź na temat komu i za co przyznawać doroczną nagrodę naszego tygodnika. Tym razem głos zabrał dyrektor PP „Dom Książki" w Łodzi STEFAN CZARNECKI.

— Co to jest upowszechnianie kultury? Otóż jest to pojęcie, którego nie da się określić zupełnie precyzyjnie, bowiem jest ono nazbyt szerokie. Bowiem, jest to zarówno działalność wychowawcza rodziców, gdy np. ojciec prowadzi dziecko do muzeum, filharmonii, teatru, ogrodu botanicznego, na kiermasze książki, gdy rozmawia z dziećmi o literaturze, muzyce, malarstwie, ale jest nie także praca operatora kina objazdowego który przyjeżdża do zapadłej wioski wyświetlać film. Tak więc z racji, że zakres działania upowszechniania kultury jest niezwykle rozległy, więc i udział ludzi jest bardzo szeroki. Stąd trudność w zaszufladkowaniu ludzi biorących w tym procesie udział.

Najczęściej powstaje dylemat: kogo należy uważać za działacza upowszechniania kultury? Czy tylko amatora, który uczestniczy w zespole artystycznym lub prowadzi na wsi zespół, czy też zawodowca: bibliotekarza, księgarza, kierownika domu kultury, pisarza, muzyka? Przecież oni, mówię o obu grupach, wykonują swoją pracę z pasją i poświęcają jej więcej wysiłku i czasu niż mają to zawarte w kontrakcie o pracę. Dlatego upowszechnianiem kultury nazwałbym działanie wypływające z chęci przekazania swojemu otoczeniu nagromadzonego ładunku kultury — narodowej, lokalnej, środowiskowej. Rozbudzenie w swoim otoczeniu wrażliwości na piękno, co jest także pojęciem niezwykle szerokim.

Ludzie, którzy to robią, powodowani wewnętrzną potrzebą, nie oglądający się na korzyści majątkowe — i bez względu na to czy są amatorami czy zawodowcami — wymagają traktowania jako działacze upowszechniający kulturę. Jest to w ogóle działanie na rzecz rozwoju edukacji ludności. Bowiem kultura nie zależy od poziomu technicznego. Przykłady tego mamy w dziejach ludzkości. Ot, choćby kultura helleńska i romańska: przy niskim poziomie wiedzy technicznej powstawały wspaniałe dzieła, które zachwycają nas po dziś dzień. Proces przenoszenia tych wartości kultury, dodawanie do nich nowych elementów i tworzenie nowych wartości — to wszystko jest przecież tym, co przyczynia się do rozwoju człowieka.

Społeczeństwo, które nie docenia roli kultury, staje się społeczeństwem robotów, a w konsekwencji zaczyna upadać. Oczywiście proces ciągłości kultury przez wieki powoduje, że człowiek poszukuje ciągle nowej intelektualnej przygody, dokonuje prób znalezienia nowego wyrazu, nowego przetworzenia rzeczywistości. W tych próbach zdarza się też, że ten wysiłek prowadzi na manowce. Selekcją jest czas. Dopiero po latach można stwierdzić, co było wartościowe, a co pomyłką twórczą.

Dlatego też zależy, by w każdym środowisku i w każdym okresie kultura była upowszechniana szerokimi i różnorakimi formami wśród społeczeństwa, by była inspiratorem coraz to nowszych rozwiązań. Nie można więc w niczym ograniczać rozwoju w różnych jej przejawach, gdyż selekcji dokona dopiero czas.

Dla mnie działaczem kultury jest ten, kto bierze aktywny udział w procesie upowszechniania kultury, a więc nie wspomniany na wstępie ojciec i nie operator wożący filmy na wieś, ale człowiek, który wykracza poza przypisany mu obszar działalności. Ten, kto wkłada dodatkowy wysiłek intelektualny, a nieraz i fizyczny. Poświęca swój wolny czas. Może to być bibliotekarka, która pracuje więcej niż wymaga tego jej limit czasowy — organizuje wystawy książek, spotkania z pisarzami, wprowadza różne formy pracy nad książką z dziećmi, organizuje konkursy czytelnicze itp. — dla mnie jest ona działaczem kultury. Działaczem jest także księgarz. Ale taki, który jest doradcą i przewodnikiem dla tych, którzy chcą kupić książkę. Staje się on nawet przyjacielem czytającego. Potrafi doradzić książkę, która jest naprawdę wartościowa, a nie tylko uzyskała chwilowy rozgłos, jako na przykład skandalizująca itp. Księgarz musi poznać zainteresowania kupującego. I nie ten księgarz jest działaczem, który ma wysokie kwalifikacje księgarskie, ale ten, który swoją wiedzę potrafi w sposób użyteczny przekazać społeczeństwu. Bo to jest rolą księgarstwa. I jeszcze musi intensyfikować sprzedaż książki, bowiem każda książka jest niezaprzeczalnym nośnikiem wiedzy i kultury.

Również działaczem jest amator, członek zespołu chóralnego lub tanecznego, gdzieś na wsi, który swoim zapałem, energią ten zespół kształtuje dając środowisku, w którym żyje, pewne wartości kulturalne, a tym samym aktywizuje środowisko do wchłaniania tychże wartości.

I dlatego nie może istnieć podział wśród działaczy upowszechniających kulturę na zawodowców i amatorów. Jest podział jedynie na ludzi aktywnych i biernych.

Na pytanie: komu dałbym nagrodę „Odgłosów", odpowiem tak: ustalenie jednolitych kryteriów jest niemożliwe. A tak naprawdę, to my o działaczach upowszechniających kulturę wiemy bardzo mało. Ich po prostu się nie prezentuje. Pisze się o sportowcach, o przodownikach pracy itp., a o ludziach upowszechniających kulturę jest cicho. Jakbyśmy się ich wstydzili. Dlatego tym większe uznanie budzą ci, którzy bez braw, festynów, oklasków i reklamy prowadzą działalność w swoim środowisku.

Sądzę, że trudno będzie redakcji znaleźć kogoś, kto będzie wzorcem działacza kultury. A może by redakcja, zanim przyzna swoją doroczną nagrodę, zaczęła popularyzować sylwetki działaczy kultury, których w Łodzi nie brakuje?

(el)

Książka dla tych, którym natura dała serce, rozum i niesprawne ciało

Z ELŻBIETĄ CIEPŁUCHĄ, dyrektorem Biblioteki im. L. Waryńskiego w Łodzi — rozmawia PAWEŁ TOMASZEWSKI

Z usług bibliotek publicznych korzystają w zdecydowanej większości ludzie zdrowi i pełnosprawni. Ale przecież oprócz nich są również i tacy, którzy ze względu na stan zdrowia do biblioteki przyjść po prostu nie mogą...

— Tak. Społeczeństwo nasze, podobnie jak w innych krajach, jest społeczeństwem starzejącym się. Liczba osób starszych, niepełnosprawnych systematycznie wzrasta. Dużo jest ludzi kalekich: z urazami kończyn, niewidomych, głuchoniemych. Dużo — przewlekle chorych. Ocenia się, że 15 procent mieszkańców naszego kraju, to ludzie niepełnosprawni, a jeśli dodać jeszcze do tego osoby w wieku podeszłym, w sumie da nam to około jednej trzeciej całego społeczeństwa. I to jest już problem społeczny, obok którego nie można przejść obojętnie.

— Czy można w takim razie powiedzieć, że jedna trzecia społeczeństwa polskiego ma utrudniony dostęp do książki?

— Ja powiedziałabym inaczej: jedna trzecia społeczeństwa potrzebuje specjalnej książki specjalnej literatury (specjalna typografia, konstrukcja zdań i treści, transponowanie słowa pisanego na dźwięk i obrazy) i obsługi w specjalny sposób.

— W specjalny sposób, to znaczy — jak?

— To oczywiście zależy od tego, z jaką grupą ludzi niepełnosprawnych mamy do czynienia. Weźmy chociażby pacjentów w szpitalach i podopiecznych domów dziennego pobytu, którzy stanowią stosunkowo dużą liczebnie grupę. W tym konkretnym przypadku przede wszystkim chodzi o zakładanie bibliotek w placówkach służby zdrowia i opieki społecznej oraz o właściwe ich prowadzenie. Uważam, że bibliotekarze powinni aktywnie w tym uczestniczyć. Dodam też od razu, iż nie może to być tylko przejaw ich dobrej woli, jako że placówki biblioteczne są do tego zobligowane ustawą z 9 kwietnia 1968 roku, która nakłada na nie między innymi obowiązek zakładania bibliotek właśnie w szpitalach czy domach dziennego pobytu. Istnieje ponadto szereg porozumień w tej sprawie, jak choćby porozumienie zawarte w 1974 roku między Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej a Ministerstwem Kultury i Sztuki, na mocy którego podzielone zostały obowiązki w zakresie upowszechniania książki między placówki służby zdrowia i biblioteki.

— Jaka rola przypada tu Bibliotece im. L. Waryńskiego?

— Ponieważ mamy status między innymi biblioteki wojewódzkiej, tak jak inne biblioteki wojewódzkie zobowiązani jesteśmy do sprawowania merytorycznej opieki nad bibliotekami w placówkach służby zdrowia. Naszym zadaniem jest czuwanie nad stanem i sposobami wykorzystania księgozbiorów, organizowanie szkoleń dla pracowników bibliotek szpitalnych itp. Reszta jest już w zasadzie sprawą dobrej woli konkretnych ludzi. I nie chodzi tu już tylko o bibliotekarzy. Istnieje wiele różnych placówek, które powinny zintensyfikować swe działania na rzecz ułatwienia ludziom niepełnosprawnym kontaktu z książką, a przez to pośrednio — na rzecz przywrócenia tych ludzi społeczeństwu. To piękna, głęboko humanistyczna idea. Odnajdujemy ją we wszystkich programach postępowych ruchów społecznych. Zawód bibliotekarza zaś daje, jak sądzę, szczególne możliwości, aby te idee coraz szerzej wprowadzać w czyn.

— To prawda. Ale czy jesteśmy na to odpowiednio przygotowani? Z tymi bibliotekami w szpitalach różnie przecież bywa.

— Istotnie. Szpitale, nie tylko zresztą łódzkie, na ogół nie posiadają odpowiedniej bazy lokalowej dla organizacji biblioteki i czytelni. Bo przecież oprócz wypożyczalni w każdym szpitalu powinna być również czytelnia, gdzie chory, który może się poruszać, mógłby znaleźć jakąś izolację od cierpienia, jakie widzi i przeżywa w sali.

Niestety, na razie nie jest to możliwe, kiedy łóżka stoją nawet w korytarzach. A przecież książka też mogłaby leczyć. Wydaje mi się, iż współczesna medycyna nie leczy chorych, a jedynie choroby.

— Nie człowieka, a tylko jego ciało.

— Tak. I ja rozumiem, że ważniejsza jest może sprawa łóżek, ale jeśli chory w szpitalu nie jest odpowiednio traktowany, nie widzi w lekarzu czy pielęgniarce przede wszystkim drugiego człowieka, to leczenie trwa dłużej i jest mniej skuteczne. Sami lekarze często mówią, że chory ich psychicznie odrzuca, że nie chce się wyleczyć. Chodzi więc o takie oddziaływanie na psychikę pacjenta, aby ją wzmocnić, nie zaś — osłabiać. Wówczas i środki farmakologiczne działają skuteczniej.

Otóż właśnie kontakt chorego z książką, dołam — z odpowiednią książką — mógłby przyczynić się do poprawy w takich przypadkach. Ale tu potrzebne jest współdziałanie ze strony lekarzy. Sami bibliotekarze niewiele mogą zrobić, zwłaszcza, iż bibliotekoterapeutów mamy niewielu, choć staramy się ich szkolić. Podobnie jak w szpitalach przedstawia się sytuacja w domach opieki społecznej, gdzie istnieją zaledwie jakieś szczątkowe księgozbiory, a o wykwalifikowanych bibliotekarzach w ogóle nie ma mowy.

— A inne grupy ludzi niepełnosprawnych? Jakimi metodami można im ułatwić kontakt z książką?

— Trudno w pełni odpowiedzieć na to pytanie. Społeczeństwo polskie zaczyna dopiero dostrzegać problem, a praca bibliotekarzy ma jeszcze na razie bardziej eksperymentalny charakter. Jesteśmy na etapie poszukiwań odpowiednich metod. Wiadomo natomiast na pewno, że poprzez książkę można ludziom niepełnosprawnym ułatwić kontakt ze światem złagodzić ich ból, cierpienie, poczucie osamotnienia...

Jeżeli chodzi na przykład o niewidomych, to mamy w Łodzi przy ulicy Narutowicza oddział Polskiego Związku Niewidomych, a przy nim — bibliotekę. Są w niej książki drukowane alfabetem Braille'a oraz tak zwane książki mówione, czyli nagrane na kasety magnetofonowe. Ale przecież to znowu nie rozwiązuje nam jeszcze całego problemu.

Takich specjalistycznych bibliotek dla niewidomych mamy w kraju zaledwie osiem i to tylko w dużych ośrodkach miejskich. Potrzeby są więc ciągle dużo większe od możliwości. Poza tym o ile niewidomy może słuchać radia czy telewizji, a w nich wiadomości ze świata, to na ogół jest już zupełnie odcięty od wiadomości lokalnych, jakie podaje prasa terenowa. Jest skazany na czyjąś życzliwość, na to, że ktoś zechce mu tę gazetę przeczytać. A przecież mogłoby być tak, że biblioteki miejskie, gminne czy dzielnicowe nagrywałyby codziennie właśnie doniesienia z prasy terenowej, aby odwiedzający je niewidomy mógł w każdej chwili przesłuchać taką kasetę w oddzielnym pokoju. W wielu krajach zachodnich jest to już dosyć powszechnie stosowane. U nas na razie się tego jeszcze nie czyni — nawet w tak dużych ośrodkach, jak Łódź.

Osobny problem stanowią ludzie niedowidzący. I tutaj także mamy olbrzymie zaległości. W Polsce nie zostały do tej pory przeprowadzone badania nad optymalną czcionką dla osób niedowidzących, co gdzie indziej zrobiono już dawno. A istotna jest nie tylko wielkość, ale i grubość czcionki, odstępy między wierszami...

Człowiek niedowidzący powinien mieć możliwość otrzymania w każdej bibliotece specjalnie dla niego drukowanej książki. On przecież sam może czytać, należy mu to tylko ułatwić.

Specjalną grupę wśród niepełnosprawnych stanowią głuchoniemi.

— ...?

— Tak, choć z pozoru może się to wydawać dziwne. Potwierdza to jednak, jak mało w gruncie rzeczy wiemy na ten temat. Głuchoniemi też bowiem wymagają specjalnej książki, czy może szerzej — literatury.

Wiele osób niewidomych kończy studia wyższe, wiele osiąga sukcesy naukowe — na przykład w matematyce. Wśród głuchoniemych są to zupełne wyjątki. Dlaczego tak się dzieje? Otóż ludzie głuchoniemi posługują się językiem migowym, w którym przekazywanie pojęć abstrakcyjnych jest bardzo trudne, stąd też na ogół ich niższy poziom intelektualny. Odnosi się to zwłaszcza do dzieci.

Przeprowadzono kiedyś eksperyment, pokazując dzieciom głuchoniemym książeczkę z ilustracjami przedstawiającą idące, uśmiechnięte jabłuszko. Ich reakcja była okrutna: jedno z dzieci podarło książeczkę, inne podeptało. Po prostu dzieci te uważały, że z nich zakpiono. Przecież mówiono im, że jabłuszko jest do jedzenia, nie może więc chodzić czy śmiać się.

Już na tym przykładzie widać, iż dzieci głuchoniemę należy zupełnie inaczej uczyć. Należy tworzyć dla nich specjalne programy, a zatem i specjalną literaturę (a nawet specjalne ilustracje) dostosowaną do możliwości ich recepcji. Podobnie zresztą rzecz się przedstawia jeśli chodzi o dzieci psychicznie upośledzone.

— Są jeszcze ludzie samotni, którzy ze względu na wiek lub stan zdrowia w ogóle nie mogą opuszczać mieszkania...

— Oczywiście. W niektórych bibliotekach zorganizowane są sekcje księgonoszy. Osoby takie odwiedzają czytelników w domach, przynosząc im książki. To bardzo ważna sprawa.

— Czy mają taki obowiązek?

— Nie, obowiązku nie ma, ale sądzę, że bibliotekarze czują się do tego moralnie zobowiązani. Gdyby zatem ktoś, kto nie może chodzić, zatelefonował do którejś z łódzkich bibliotek, nie przypuszczam, aby odmówiono mu przyniesienia książek do domu. Zawód bibliotekarza jest przecież swoistą służbą społeczną.

W niektórych państwach, na przykład w Szwecji, istnieją tak zwani wolontariusze, którzy nie tylko dostarczają książki do domu, ale również czytają je chorym czy starszym osobom. Są to zazwyczaj także starsi, pełnosprawni ludzie, ewentualnie studenci. Pomagają bibliotekorzom w szpitalach, a potem, gdy chory jest już w domu, opiekują się nim nadal, jeśli zachodzi tego potrzeba. Czasem wystarczy zresztą, że odwiedzą rekonwalescenta, aby wypić z nim herbatę, porozmawiać...

Z kolei w Anglii istnieje zwyczaj (przynajmniej w tych szpitalach, w których byłam), że pierwszy kontakt bibliotekarza z chorym odbywa się w obecności duchownego. Po prostu istnieje naturalna skłonność do większego otwarcia się przed osobą duchowną, a to pomaga potem bibliotekarzowi w lepszym poznaniu chorego, a tym samym — w dobraniu dla niego odpowiedniej lektury.

O tym, że książka może również leczyć, wiadomo nie od dzisiaj. Już w starożytnej Grecji kapłani recytowali chorym w świątyni Apollina na przykład dzieła Homera. Było to pozytywne działanie, na które składały się: atmosfera świątyni, autorytet kapłana i moc słów, jakie wypowiadał. Czytelnik chory jest szczególnie podatny na wszelkiego rodzaju iluzje, na sugestię, ponieważ jej potrzebuje.

W Średniowieczu podobne działanie miało odprawianie egzorcyzmów, wypowiadanie zaklęć czy czytanie Biblii nad ciałem opętanego czy chorego. Mamy tu do czynienia z tym samym zjawiskiem — leczenia słowem.

Oczywiście teraz nikt nie odprawia już egzorcyzmów, nie wypowiada zaklęć. Zmieniły się czasy. Warto jednak uświadomić sobie, jak bardzo pomóc nam może w cierpieniu właśnie słowo, książka. Dla chorego najważniejsze, że jest słowo: chcę. Chcę być zdrowy. Dlatego należy dostarczać mu takiej lektury, która pozwoli uwierzyć, że będzie zdrowy. Pomaga to i choremu, i lekarzowi, gdyż łatwiej wyleczyć kogoś, kto sam chce wyzdrowieć.

— A co konkretnie robi Biblioteka im. L. Waryńskiego, aby tę piękną, humanistyczną ideę niesienia pomocy ludziom niepełnosprawnym wcielać w życie?

— Przede wszystkim chodzi nam o uświadamianie bibliotekarzy i szkolenie ich pod tym kątem. Ja sama we wszystkich bibliotekach dzielnicowych (z wyjątkiem Górnej) przeprowadziłam kilkugodzinne prelekcje na ten temat, zapoznając bibliotekarzy z teorią i historią, pokazując jakie są potrzeby i możliwości. Zagadnienia te wprowadziłam również do programu pomaturalnego studium bibliotekarstwa oraz do kursu trzeciego stopnia, gdzie powstały pisane pod moim kierunkiem nawet pierwsze prace dyplomowe — m.in. o terapeutycznej funkcji książki.

Powoli wprowadzamy książki mówione na kasetach magnetofonowych. Jesteśmy też przygotowani do bliższej współpracy z placówkami służby zdrowia i opieki społecznej. Muszę przyznać, że na razie kontakty z nimi są dość trudne, ale — jak już mówiłam — nie wszystko tu od nas zależy.

Wydaje mi się, iż w ogóle istnieje pilna potrzeba spopularyzowania w całym społeczeństwie tej problematyki, wytworzenia właściwego klimatu. Byłoby nam wówczas na pewno łatwiej działać.

— Jest pani wiceprzewodniczącą Sekcji Czytelnictwa Osób Chorych i Niepełnosprawnych przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich...

— Tak. Bibliotekarze sami, nie czekając na żadne zalecenia czy dyrektywy, postanowili zorganizować się, aby, pojmując swój moralny obowiązek niesienia pomocy chorym i niepełnosprawnym, skuteczniej móc działać w tym kierunku. Sekcja nasza powstała w oparciu o społeczne inicjatywy, jakie już wcześniej zrodziły się w niektórych ośrodkach, takich jak Toruń, Wrocław, Łódź czy Opole. Najogólniej mówiąc, naszą ideą jest integracja działań na rzecz popularyzacji czytelnictwa specjalistycznego i stworzenie we wszystkich większych miastach możliwości pełnego korzystania z książki ludziom starszym i niepełnosprawnym. Chodzi przy tym nie tylko o uświadamianie problemu, ale i — wskazywanie możliwości jego rozwiązania.

— Na czym miałoby to polegać?

— Przede wszystkim muszę powiedzieć, że organizujemy coroczne sesje poświęcone różnym aspektom czytelnictwa niepełnosprawnych. Z członków sekcji rekrutuje się kadra instruktorów, którzy w ośrodku Ministerstwa Kultury i Sztuki w Jarocinie prowadzą kursy dla bibliotekarzy z bibliotek szpitalnych i domów opieki społecznej z całej Polski.

Prawdopodobnie już od września 1984 r. w Toruniu zacznie działać nasz Ogólnopolski Ośrodek Metodyczny, który koordynować ma wszystkie prace na rzecz czytelnictwa niepełnosprawnych. Będzie się on mieścił nad specjalistyczną biblioteką dla osób niewidomych i niepełnosprawnych, która dzięki naszym staraniom udało się uruchomić. I to są już konkrety.

— Dlaczego właśnie w Toruniu?

— Jest to w pewnym stopniu sprawa przypadku. Po pierwsze tam mieszka i pracuje aktualny przewodniczący naszej sekcji, pan Franciszek Czajkowski. Po drugie zaś władze miejskie Torunia lepiej chyba niż innych miast odczuwają rangę problemu, gdyż udostępniły nam lokal na wspomnianą bibliotekę dla niepełnosprawnych. Jest to właśnie wynik stworzenia odpowiedniego klimatu.

A wracając do naszych zamierzeń... Pracujemy nad programami specjalistycznych kursów dla bibliotekarzy. Przygotowujemy materiały szkoleniowe, poradniki — takie choćby jak „Obsługa czytelników chorych w szpitalach" Wandy Kozakiewicz. Organizujemy prelekcje, staramy się, by problematyka ta znalazła swe odbicie w programach nauczania średnich szkół medycznych. Podjęliśmy rozmowy z wydawnictwami, aby doprowadzić do druku książek grubą czcionką dla niedowidzących. Myślę, że ta współpraca będzie się rozwijać, jako że niektóre z wydawnictw z pełnym zrozumieniem odniosły się do sprawy.

Poza tym w dalszym ciągu będziemy kłaść nacisk na zakładanie bibliotek w szpitalach — zwłaszcza dziecięcych. Dorosły łatwiej znosi chorobę niż dziecko, dlatego w pierwszym rzędzie dzieciom będziemy się starali za pomocą książki łagodzić ból, poczucie samotności, gdy oderwane są od rodziców.

— Na koniec pozwolę sobie zadać pytanie bardziej osobiste. Skąd u pani tak duże zainteresowanie tym właśnie problemem?

— Uczestniczyłam kiedyś w pewnej imprezie, na której rozdawano laury poetyckie. Proszę sobie wyobrazić zaskoczenie, a nawet szok całego audytorium, gdy po ogłoszeniu wyników laureata pierwszej nagrody wwieziono na wózku inwalidzkim. Nie miał rąk, ani nóg. Tworzył wzruszające i głębokie w swej treści wiersze, ale nie mógł ich zapisać. Musiał dyktować. Jeden z tych wierszy mówił właśnie o przeżyciach, doznaniach człowieka niepełnosprawnego. Nie pamiętam już dokładnie, jak on brzmiał, ale jego sens był mniej więcej taki: naturo, ty wiedźmo, starucho, czemu dałaś mi serce, oczy, płuca i rozum, który pozwala mi myśleć, oblekając w potworne ciało.

Zrobiło to na mnie duże wrażenie i właśnie wtedy zrozumiałam, że moralnym obowiązkiem każdego zdrowego człowieka jest nieść pomoc ludziom chorym i niepełnosprawnym, gdyż tej pomocy potrzebują, a nie są przecież wcale gorsi od nas. I świadomość tego towarzyszy mi do dzisiaj. W bibliotekarstwie pracuję już siedemnaście lat, wiem, że zawód ten może dać pełną satysfakcję i zadowolenie każdemu, jeżeli tylko właściwie się go pojmie. Dla mnie dodatkową satysfakcją w tym zawodzie jest właśnie możliwość zajmowania się czytelnictwem i problemami ludzi niepełnosprawnych.

— Dziękuję za rozmowę.

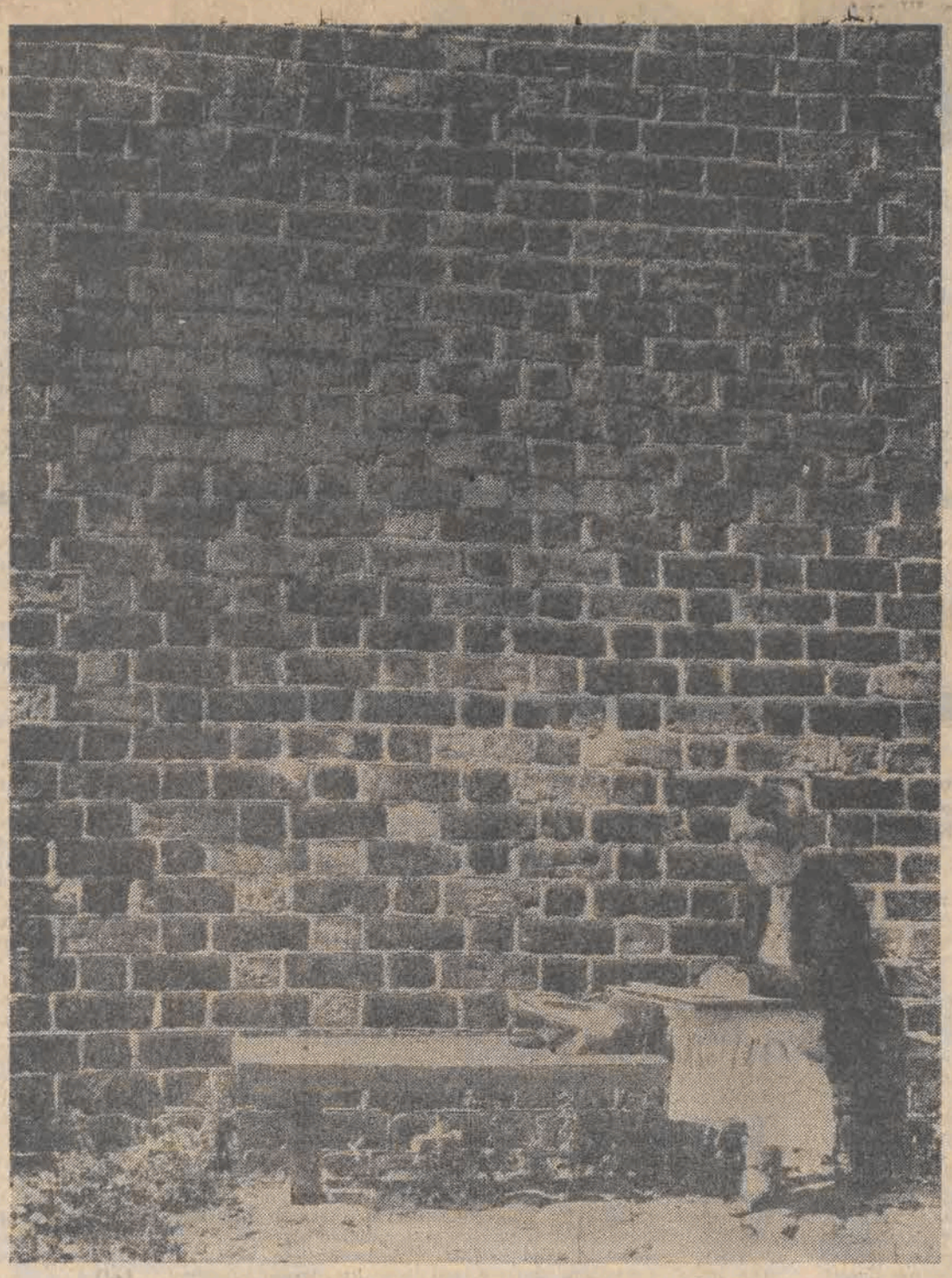

Polemiki • Listy • Opinie

WSZYSCY NIE MOGĄ SIĘ OBRAZIĆ!

Zastrzegam z góry:
— Pani Sobockiej nie znam i Jej nawet nie widziałem,
— w spotkaniach czy posiedzeniach o których pisze — nie brałem udziału,
— na napisanie tych słów nikt mnie nie „napuszczał".

Zaś Pani Sobockiej życzę dalszego bezkompromisowego i skutecznego działania. Mało tego — przyznaję, że ma Ona racje pisząc o bałaganie, nieodpowiedzialności i niebezpieczeństwie „kryzysu moralnego".

A jednak coś mnie w tym liście niepokoi: nie mogę się pozbyć wrażenia, że Pani Sobocka po kilku miesiącach działalności obraziła się. Na wszystkich. Na Zarząd Spółdzielni, na administracje osiedli, na całą Radę Nadzorczą Wszyscy zostali skarceni — i to surowo. Wszyscy wokół są do niczego, nie rozumieją, nie widzą, nie chcą. Stąd tylko krok do sugestii, że na placu boju pozostała już tylko jedna niezłomna osoba, która do problemów podchodzi pryncypialnie i wie, czego chce.

Niedawno prasa opisywała, że w Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej też się obraził organ społeczny. Jaki jest finał tej sprawy — nie wiem. Nie sądzę również, by była ona odosobniona. Lecz chyba nie tędy droga.

Za dużo u nas ostatnio „obrażania się". Jednostek, grup społecznych i zawodowych. I choć potrafię zrozumieć p. Sobocką i bliżej nieokreśloną liczbę innych osób, które „doszły do granic społecznej tolerancji".. to nie potrafię sobie wyobrazić, co by było, gdyby poobrażali się wszyscy na wszystkich!

Siedzę w sprawach budownictwa, a raczej inwestowania od 1964 roku. Byłem świadkiem niejednych nieudanych koncepcji, projektowania na półkę, wymuszania oszczędzania, z którego później wynikała szkoda. I coś mi się wydaje — a nie bronię tu przecież nikogo — że każdy ma w tym ogródku swój kamyczek. Mniejszy lub większy, ale ma! Chyba — że n i c n i e r o b i ł. Oczywiście, że i taka sytuacja nie pozbawia go prawa do krytycznego patrzenia, lecz — delikatnie mówiąc — jest znacznie wygodniejsza.

Nie bronię osoby, którą p. Sobocka wymieniła z nazwiska, choć konia z rzędem, jeślibym — będąc na takim stanowisku — dał się jeszcze kiedykolwiek namówić na wywiad. Nie wiem również, jakbym się czuł i zachował, będąc członkiem Rady, po przeczytaniu, iż jestem bezwolny i dam się wodzić za nos podpisując wszystko, co mi podsuną. Bo przecież wprawdzie anonimowo (nazwisk członków Rady czytelnicy nie znają), lecz odsądzono mnie publicznie od czci i wiary, od zdrowego rozsądku. Toż przecież każdy z członków spółdzielni może powiedzieć: „... co to za ludzie, skąd oni się wzięli?"

I dlatego, choć p. Sobocka ma w zasadzie rację — niepokoi mnie s p o s ó b przedstawienia sprawy. Zachwianie proporcji między „sprawiedliwymi", którzy są wyjątkami, a całą resztą, którą na dobrą sprawę należałoby natychmiast wymienić. Potępiono bowiem w czambuł niemal wszystkich i niemal wszystko. Czy w imię „zdrowo pojętej współpracy"? Problemów — i to nabrzmiałych — wszędzie multum. I trzeba je jakoś rozwiązywać. Bez obrazy. Wspólnie.

W. AFELT

„INSTYTUCJOM NIE ZALEŻY..."

W odpowiedzi na notatkę prasową zamieszczoną w „Odgłosach" 28.04.1984 r. pt. „Instytucjom nie zależy..." Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi uprzejmie informuje, że spisy telefonów poszczególnych województw na terenie kraju wydawane są co kilka lat, a ich nakłady są ograniczone.

W konkretnym przypadku wyjaśniamy, że spis telefonów województwa stołecznego warszawskiego wydany jest w III częściach, a mianowicie:

część I — Instytucje m. st. Warszawy na lata 1977/78
część II — Telefony mieszkaniowe m. st. Warszawy na lata 1976/78
część III — woj. stołeczne warszawskie wydanie z 1981 r.

Jak wynika z wyżej podanych danych, spisy te mają już po kilka lat, a codzienne korzystanie z nich przez klientów i wydzieranie potrzebnych stron zamiast odnotowania numeru telefonu powoduje stopniowe niszczenie.

Uprzejmie informujemy, że w maju 1984 r. nastąpiła pewna poprawa w tym zakresie, ponieważ Biuro Numerów oraz rozmównice publiczne w Łodzi otrzymały nowe wydanie spisu telefonów miasta stołecznego Warszawy — Instytucje.

Ponadto wyjaśniamy, że Biuro Numerów w Warszawie wykazuje ciągłą zajętość ze względu na silne obciążenie, gdyż abonenci z całej Polski dzwonią w celu uzyskania aktualnych informacji o abonentach warszawskich.

Z informacji uzyskanej od kierownika Biura Numerów wynika, że ciągłe braki kadrowe (w grupie informatorek) są zasadniczą przyczyną utrudnień opisanych w notatce.

Dyrektor Okręgu Poczty i Telekomunikacji
inż. K. CZARNIECKI

CO JEST OCZYWISTE, A CO NIE JEST!

REDAKCJA MARNUJE PAPIER I MIEJSCE na ograniczonych przecież szpaltach „Odgłosów" oraz daje wyraz jawnej niewiary w zdolności intelektualne Czytelników zaznaczając, że do tekstów ogłaszanych w ramach działu „Polemiki — Listy — Opinie", ma stosunek tzw. ambiwalentny (jak to ładnie brzmi!). Po co pisać (cytuję za numerem 24/84): „redakcja do publikowanych tu tekstów ma swój odrębny stosunek i nie zawsze musi się z nimi zgadzać, nawet nie wyrażając tego w odredakcyjnym komentarzu?". Toż to przecież oczywiste! Na tym przecież polegają „polemiki, listy, opinie", że jeden nie zgadza się z drugim, trzeci opisuje co go boli, a co ani ziębi, ani grzeje czwartego, piąty zaś wyraża swoje zdanie, które denerwuje siódmego, u dziewiątego wywołuje napad szału, a jedenastego podnosi na duchu, albowiem jota w jotę zgadza się z jego osobistym zdaniem.

Oczywiste jest również, że żadna redakcja nie może w pełnym swym składzie solidaryzować się z tym, co wypisuje niejaki „Jamnik" na temat psów, kowali i Kaszaka, a zwłaszcza taka redakcja jak „Odgłosy", która drukując Jerzykowską — opowiadającą się za „rasizmem" oraz Agatę — chwalącą „miłość za pieniądze" i wspomnianego już „Jamnika" — po którym trudno oczekiwać aby chwalił koty, jednocześnie oddaje miejsce „Biurowej" — rozładowującej swoje frustracje na psach, wystawach psów i właścicielach psów.

I tak właśnie jest dobrze; i tak właśnie być powinno. Chwała „Odgłosom", że udzielają swych łamów odgłosom stanowisk nawet skrajnie przeciwnych. Tylko nie piszcie, że nie popieracie: nawet gdy piszecie to jako bezpośredni wstęp do dyskusji, toczonej przez studentów: dwóch z jednej strony, występujących z „manifestem", przeciw trzem, reprezentującym „grupę literacką studentów Uniwersytetu Łódzkiego" (och, jak to ładnie brzmi — grupa, to potęga!). Bo choć o studentach, jak i o psach, różne można mieć zdanie, i o wiele rzeczy posądzać ich można — to błędem jest posądzanie ich o niemowlęcą niewinność: niby że nie wiedzą czym jest polemika, list i opinia. Oni wiedzą, i fajny ubaw mają widząc namaszczenie, z jakim traktuje się ich „manifesty" „w sprawie statyzmu" czyli „kim jesteśmy?".

„Oni" — to znaczy studenci Którzy wiedzą. I ubaw mają.

Bo nie psy. Które co prawda też wiedzą, i to więcej; i też ubaw mają najsetniejszy od czubka ogona po czubek nosa nie licząc łap czterech — ale tym się różnią, że manifestów nie piszą, „statyzmów" nie wymyślają, i ogłaszać nie muszą, kim są. Najzwyczajniej w świecie one, psy, są! I żadne ich nie gnębią wątpliwości co do tego, czy w ogóle są, a w dodatku kim one są. I to jest właśnie mocna strona psa, a słabizna studenta. Co każdy widzi.

J. STANISŁAW KNYPL

OD REDAKCJI: Przykro nam bardzo, ale reakcje naszych Czytelników dowodzą, że często materiały publikowane na kolumnie „Polemiki — Listy — Opinie" utożsamiane są ze stanowiskiem redakcji. Powtarzanie jest matką nauki. Musimy więc od czasu do czasu przypominać i prawdy oczywiste.

LIST Z PTH

Walne Zebranie Członków Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego w dniu 6 czerwca br. wyraziło uznanie dla Waszej działalności na polu popularyzacji historii, szczególnie zaś historii własnego regionu.

Członkowie naszego Towarzystwa cenią sobie wysoko możliwość popularyzowania na łamach Waszego Pisma historycznej wiedzy o regionie.

Licząc na dalsze życzliwe traktowanie tematyki historycznej w Waszym Tygodniku łączymy życzenia powodzenia w pracy i wzrost liczby czytelników.

Prezes
Oddz. Łódzkiego PTH
prof. dr hab. JÓZEF ŚMIAŁOWSKI
Sekretarz
Oddz. Łódzkiego PTH
dr HENRYK S. MICHALAK

NIE SIĘGAĆ PO CUDZE!

Gdy się powołuje coś nowego należy baczyć, czy bez wyraźnej potrzeby nie narusza się czegoś już istniejącego. Z powstania „Towarzystwa Opieki nad Zabytkami" (TOnZ-TOZ?) należałoby się cieszyć (por. „Odgłosy" nr 24/84). Cieszyć się jednak nie można, ponieważ istnieje już „Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami" (TOZ-TOnZ?). Nie ma nieporozumień, gdy się wymawia obie te nazwy w pełnym brzmieniu. Nieporozumienia powstaną dopiero, gdy w życiu codziennym zacznie się operować skrótem, identycznym dla obu Towarzystw. Sprawie na pewno na dobre nie wyjdą dowcipy, porównujące zabytki do psich bud względnie budy do zabytków. Każdy, kto zna poczucie humoru łodzian i Polaków, całej reszty może się domyślić: kupa śmiechu z zabytków, fala niechęci w odniesieniu do zwierząt, roszczących sobie prawa do zabytkowych ścian.

Dobrze życząc łódzkim zabytkom, a także psom, nie chcę mieszania jednych z drugimi. Przeto proszę założycieli najnowszego TOZ-u (TOnZ?) o nie sięganie po historyczny TOZ — a sięgnięcie po coś najnowszego, w rejestrach skrótów jeszcze nie występującego, i nie utrwalonego w świadomości społecznej w zgoła innym znaczeniu. Opieki nad zabytkami nie warto zaczynać od przywłaszczania sobie cudzej zabytkowej nazwy.

Wymyślenie nowej, a oryginalnej nazwy to fraszka w zestawieniu z trudnościami, jakie przyjdzie pokonać, jeżeli opieka nad łódzkimi zabytkami ma stać się opieką rzeczywistą a nie pozorowaną. Po co na tej wyboistej drodze brać sobie dodatkowo zwierzęta na barki? Po co rozpoczynać od zrażenia sobie opiekunów zwierząt? Po co narażać się na proces sądowy o „znak firmowy", jakim staje się również wylansowany skrót nazwy?

JAMNIK

„DNI GÓRNEJ"

Aura i tym razem spłatała figla organizatorom imprezy w ramach obchodu „Dni Górnej", w niedzielne popołudnie 10 czerwca 1984 r.

Nad Stawy Jana, pomimo siąpiącego deszczu i gromadzących się na niebie cumulusów, nie brakło sympatyków tego rodzaju imprez na wolnym powietrzu. Organizatorzy zadbali nie tylko o dobrą rozrywkę, lecz również o odpowiednie zaopatrzenie ruchomych punktów sprzedaży. Miłośnikom muzyki zaprezentowały się orkiestry z zakładów pracy na Górnej: „Polanilu", „Alby". Kapela z Chojen, aczkolwiek z zapożyczonym repertuarem, jak na debiut wypadła znakomicie wraz z solistkami Bogusią i Marleną.

Występowały również zespoły „Alien", „Gemma", „Arabeska" oraz balet i chór dziecięcy z ŁSM. Odbyły się różnego rodzaju konkursy: plastyczny, taneczny, wokalno-muzyczny, recytatorski i satyryczny. Cieszyły się one dużą popularnością wśród zgromadzonej widowni, oglądającej do końca występy, pomimo deszczu i zimna. Nagrody dla zwycięzców ufundowały poszczególne zakłady pracy z Górnej i chociaż w imprezie brali udział sami amatorzy, należy zaliczyć ją do najbardziej udanych. Występy najmłodszych uczestników imprezy przyjęte zostały z pełnym aplauzem, także samo innych zespołów amatorskich, osób indywidualnych z takich zakładów pracy jak: „Alba", „Budopol", „Polanil", „Pafino" i innych. Wszyscy zasłużyli sobie na duże brawa. Myślę, że w okresie letnim tego rodzaju imprezy winny być częściej organizowane. Nie kosztują zbyt drogo, a jaka „frajda" dla wszystkich. Być może w przyszłości przy sprzyjającej pogodzie, lepszym nastroju i proponowany przebój K. Drobika w opracowaniu muzycznym Z. Pucka, w wykonaniu solistki Aldony zostanie zaakceptowany przez publiczność w piosence o niedzieli na Stawach Jana.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

TOTOLOTEK PO RAZ WTÓRY WYJAŚNIA

W numerze 17 z dn. 28.4.84 r. redakcja „Odgłosów" podejmuje po raz drugi sprawę roszczeń Ob. Jana Wojtaszka z Sosnowca do PPTS, dotyczących losowania nagrody rzeczowej w specjalnych zakładach sylwestrowych. Obywatel J. Wojtaszek w jednej kolekturze (nr 3/364) wysłał 10 kuponów, na które zostały naklejone banderole od nr 5289795 do 5289799 oraz od nr 5289801 do nr 5289805. Wylosowana nagroda — samochód „Polonez" padła na numer banderoli 5289800. Pomimo wyjaśnienia PPTS przesłanego do redakcji i pisma WUSW w Katowicach, który przeprowadził dochodzenie w tej sprawie i n i e d o p a t r z y ł s i ę znamion przestępstwa „Odgłosy" sugerują, że „banderola nr 5289800 w jakiś cudowny, niewytłumaczalny sposób wyparowała w kolekturze, nie została naklejona na jeden z kuponów".

Stwierdzamy że banderola nr 5289800 została naklejona na kupon innego Obywatela wysyłającego kupon w tej samej kolekturze i w tym samym czasie. Niezachowanie kolejności numerów banderol na kuponach jednego grającego jest możliwe, gdy w kolekturze z jednego bloczka banderol korzysta więcej niż jeden kolektor, co już PPTS redakcji „Odgłosów" wyjaśniło. W kolekturze 3/364 jest trzech kolektorów. Redakcja „Odgłosów" stwierdza; „nie możemy się pozbyć wrażenia, że przypadek ten podważa jednak zaufanie do firmy".

Sądzimy, iż Redakcja na siłę sugeruje opinię niezgodną ze stanem faktycznym, mając na celu wprowadzenie w błąd czytelników i grających. W przypadkach dalszych wątpliwości w tej sprawie zapraszamy do PPTS przedstawiciela Redakcji dla dokładnego zapoznania się ze sprawą, a w tym z techniką zawierania zakładów i losowania nagród.

Prosimy o opublikowanie tego pisma.

mgr JERZY BORKOWSKI
Dyrektor
PP „Totalizator Sportowy"

BRONIĘ URZĘDNIKÓW

Nie konkretnie pana Iksa czy panny Ygrekowskiej, którzy być może także mnie — jednego z licznych interesantów różnorakich biur, urzędów i instytucji — załatwili źle, byli aroganccy i niekompetentni, którzy przewlekali sprawę, choć można było ją załatwić od ręki. Bronię urzędniczego „stanu".

Określani ogólnym mianem u r z ę d n i k ó w pracownicy administracji od dawna stali się przysłowiowymi „chłopcami do bicia". Wszystko chyba, co można było o nich złego powiedzieć i napisać, zostało powiedzane i napisane. Nierzadko w formie dalekiej od elegancji. Czasem wręcz obraźliwej. Urzędasy, nieroby, pierdzistołki, pasożyty, darmozjady — to tylko niektóre z epitetów, jakimi ich obdarzano. Krytykowano ich z łamów prasy, w oficjalnych wystąpieniach na zebraniach i naradach. Przypisywano współwinę we wszystkich klęskach i niepowodzeniach społecznych i jednostkowych. Wytworzono wokół nich opinię zbędnej społecznie grupy zawodowej.

Ile w tych ocenach i opiniach jest prawdy?

Najczęstszym i uogólniającym zarzutem stawianym „urzędniczemu stanowi" jest posądzenie o nadmierną liczebność, nadmierne rozbudowanie administracji, a także to, że wykonuje ona pracę nikomu niepotrzebną, społecznie zbędną. Sięga się często do porównania z okresem przedwojennym, kiedy liczba pracowników administracji państwowej i samorządowej była nieporównanie mniejsza, zaś urzędników w jednostkach gospodarczych zgoła nieliczna. Jest to niewątpliwie prawda. Ale już starożytni Rzymianie mówili, że „comparatio — non est ratio", porównanie nie jest racją, niczego nie dowodzi. Nie można porównywać rozległości sfer działania administracji przed wojną, do rozległości tych sfer obecnie. Nie istnieje po prostu wspólna płaszczyzna takiego porównania. Wąski zakres i szczupły przedmiot działania organów administracji państwowej i samorządowej w poszczególnych dziedzinach życia społecznego przed wojną, np. w przemyśle, transporcie, rolnictwie, służbie zdrowia, handlu itp., nie stwarzał potrzeby zatrudniania liczniejszej kadry w administracji państwowej. Z kolei prywatni przedsiębiorcy, przemysłowcy, kupcy itp. zatrudnienie „urzędników" ograniczali do minimum, załatwiając większość czynności tak zwanych administracyjno-biurowych, osobiście lub przy pomocy członków rodziny, posługując się telefonem, notesem i kopiowym ołówkiem.

Robiło się to bez rozdzielników, pisemnych zamówień (w kilku egzemplarzach), potwierdzenia tychże zamówień przez dostawcę, umów, protokołów rozbieżności i aneksów, faktur i list inkasowych. Po prostu inne czasy, inny styl i formy współdziałania dużych i małych firm i przedsiębiorstw.

Dokumentacja wynagrodzeń robotników była sprawą nieskomplikowaną: robotnik otrzymywał określoną stawkę na godzinę albo dniówkę, albo — przy akordzie — od sztuki. Wypłaty w mniejszych firmach dokonywał w sobotę sam „pryncypał", w większych zaś kasjer. Na wykonanie pracy nie wystawiano żadnych „zleceń roboczych", „bezetów" i tym podobnych. Nie wyliczano — w jakże skomplikowany sposób — zasiłków chorobowych, macierzyńskich, opiekuńczych, wyrównawczych i innych, jakie są jeszcze możliwe. Za nieprzepracowany dzień, po prostu nie wypłacano wynagrodzenia. Nie naliczano premii za wydajność, za jakość, za produkcję eksportową, za terminowość wykonania zadań, za aktywność zawodową i innych. Dobrym, wyróżniającym się pracownikom, szef czasami, np. z okazji świąt, wypłacał „gratyfikację" według własnego uznania. Przeważnie bezpośrednio z portfela — do ręki pracownika. Bez dokumentacji, listy płac itp.

System działalności jednostek gospodarczych obecnie jest sformalizowany i skomplikowany, wymagający tworzenia bogatej dokumentacji, angażowania w poszczególne operacje różnych pośrednich ogniw, sprawdzających prawidłowość i zgodność z przepisami tych operacji. Inna rzecz, że system kontroli nie zawsze jest skuteczny, że nieprawidłowościom nie zapobiega. Ale jest, ale funkcjonuje i dla swej „egzystencji" potrzebuje właśnie urzędników.

Jednostki gospodarcze spełniają w naszym ustroju nie tylko funkcje produkcyjne i usługowe. Pełnią one — na rzecz zatrudnionych w nich pracowników — różnorakie funkcje socjalne, kulturalne, organizacyjne. Ta działalność także przez kogoś musi być wykonywana. Dla jej realizacji także potrzebni są „urzędnicy". Warto uprzytomnić sobie, że same czynności związane z rozdzielnictwem kart zaopatrzenia, z naliczaniem rekompensat z tytułu wzrostu cen podstawowych artykułów żywnościowych, spowodowały konieczność zatrudnienia w skali kraju kilkunastu lub więcej tysięcy pracowników administracyjnych. Skomplikowany system obliczania wynagrodzeń pracowników produkcyjnych, różnorakich zasiłków z ubezpieczenia społecznego, prowadzenia dokumentacji osobowej pracowników, mnogość czynników związanych z ich angażowaniem i zwalnianiem z pracy, zbiurokratyzowany system realizacji zamówień, postępowania reklamacyjnego, sprawozdawczość i statystyka — to „z grubsza" tylko i przykładowo wymienione dziedziny, które w każdej jednostce gospodarczej m u s z ą być wykonywane i wykonywane są przez kadrę urzędniczą.

Urzędnik nie stworzył sam siebie i nie wymyślił sam dla siebie pracy, którą wykonuje. A jeśli już — to z pewnością nie ten urzędnik, przeciwko któremu kieruje się społeczne odium. Któremu ma się za złe to, że siedzi za biurkiem, że „popija" herbatę, albo — o zgrozo! — „kawkę". (Proszę zauważyć: o urzędnikach nie mówi się, po prostu tę kawę czy herbatę piją. Nie! — Oni p o p i j a j ą — bo to brzmi bardziej pejoratywnie). To, że tę swoją herbatę piją w trakcie wykonywania pracy, bo nie mają przecież przerwy na spożycie posiłku, nie jest już dostrzegane.

Przez to co napisałem wyżej nie chcę powiedzieć, że liczebność urzędników — i tych zatrudnionych w administracji państwowej i tych pracujących w jednostkach gospodarczych — nie jest zbyt duża. Starałem się jedynie wskazać przyczyny dla których jest tak duża. Nie chciałem też twierdzić, że wszyscy urzędnicy, to rzetelni, ofiarni, wysoko kwalifikowani pracownicy, pełni życzliwości dla interesantów, których obsługują. Z pewnością są wśród nich i ci aroganccy, i ci niedouczeni i nie podnoszący swoich kwalifikacji, i po prostu leniwi. Jak wszędzie. (Niestety!). Kadra urzędnicza z pewnością wymaga stałego i ciągłego doskonalenia, podnoszenia swego poziomu zawodowego, zgłębiania przepisów — tak — aby swoje u s ł u g o w e funkcje mogła pełnić jak najlepiej.

Z pewnością też istnieją możliwości zmniejszania liczebności tej kardy i niedopuszczania do jej wzrostu. Wydaje mi się wszakże, że nie poprzez mechaniczne zwolnienie z pracy iluś tam tysięcy urzędników, ale poprzez stałe upraszczanie zbiurokratyzowanych systemów działania, upraszczanie form funkcjonowania wszelkiej — państwowej i gospodarczej — administracji, eliminowanie działań i czynności zbędnych. A także przez ograniczenie ilości zarządzeń w szczególności nie publikowanych, wewnętrznych, a niekiedy sprzecznych z sobą.

Te uwagi kieruję także do urzędników. Nie tych jednak z którymi stykamy się na co dzień, ale do tych z wysokiego i bardzo wysokiego szczebla.

PIOTR SIKORSKI

ADAM OCHOCKI

Z sakwojażem przez świat

W pierwszą po wojnie i w ogóle pierwszą w życiu podróż zagraniczną udałem się w roku 1949. W owych czasach turystyka indywidualna właściwie jeszcze nie istniała, skorzystałem więc z okazji i zapisałem się na wycieczkę, urządzoną już nie pamiętam przez jaką instytucję. Celem mej dziewiczej wyprawy była Praga. Pojechali dziennikarze, lekarze, inżynierowie jacyś działacze od kultury fizycznej, słowem sam high life. Nasi sąsiedzi południowi przeżywali trudności aprowizacyjne, u nas można było wtedy coś skombinować. Toteż zabraliśmy solidne walowy, żeby broń Boże nie zaznać głodu, a przy okazji podkarmić nieco pepiczków. Norma wywozowa, o ile mnie pamięć nie myli, wynosiła dwa kilogramy mięsa i przetworów na łepek ale tak na oko mniej niż dziesięć kilo nikt z uczestników wycieczki nie wiózł.

Celnik, ledwo wszedł do naszego przedziału, wycelował palec w sfatygowany, wtulony między dwie solidne walizy, sakwojaż.

— *Czyj to bagaż?*

— Mój — przywołałem na twarz najmilszy, na jaki mogłem się zdobyć, uśmiech.

— *Co pan wiezie?*

— Kawałek szynki, baleron, kabanosy...

— *Ile tego jest?*

— Niech pan zgadnie.

— *No, dwa kilo.*

— To pan nie zgadł — powiedziałem — prosimy dalej.

Pasażerowie wybuchnęli śmiechem. Stremowany celnik zawahał się, miał jednak poczucie humoru, machnął ręką i udał się do sąsiedniego coupe.

Rozlokowano nas w hotelu niedaleko ulicy Parziskiej. Nie tracąc czasu wyruszyłem do miasta po wrażenia, obiecałem napisać kilka reportaży. Poza tym przywiozłem świeżo wydany mój album z przygodami Wicka i Wacka. Może ktoś to przetłumaczy i wyda?

Urzeczony pięknem „złotej Pragi" wędrowałem cały dzień, a gdy już zdarłem nogi na jamnika i chciałem wrócić do hotelu, zagubiłem się kompletnie w gąszczu ulic i uliczek. Podszedłem do milicjantki regulującej ruchem na skrzyżowaniu.

— Soudruszko kochana, prosim was, kde je Parziska ulica? Tam je mój hotel, a ja jewo nie mogu najti. Już pół dnia szukam i szukam...

Dziewczyna spurpurowiała, na szczęście połapała się, że nie znam języka, bo by mi się zdrowo dostało. Niewinne polskie „szukam" ma w czeskim jednoznaczne, trywialne znaczenie. odtąd, gdy jestem w Czechosłowacji, wstrzymuję się ze wszystkich sił od szukania czegokolwiek (kogokolwiek?), a w ogóle uważam, że nasze porzekadło „szukaj ą znajdziesz" należałoby zmienić w czeskich warunkach na „znajdź, a dopiero potem poszukaj sobie do woli". (...)

Po owej praskiej inauguracji nastąpiła dłuższa przerwa. Los uśmiechnął się do mnie dopiero po siedmiu latach. Poleciałem służbowo na Olimpiadę do Australii, gdzie spędziłem dwa i pół miesiąca. Wrażeniom stamtąd poświęcam sporo miejsca w poprzednich rozdziałach. Tutaj chcę wspomnieć o dwóch zabawnych, niemniej pouczających spotkaniach z rodakami nad wielką wodą.

W oddalonym od Polski o dwadzieścia kilka tysięcy kilometrów Melbourne natknąłem się na łodzianina z dziada pradziada, właściciela fabryczki wyrobów dzianych, który w bezpardonowej walce z konkurentami o byt wpadł na niezwykły pomysł. Doszedłszy do wniosku, że rodowe nazwisko Makower brzmi nie dość atrakcyjnie zmienił jego pisownię na Mc'Over i jako Szkot pięknie wymalowanym szyldem zwabiał klientów do swojego interesu. Historyjkę tę uczciłem felietonem pt. „Mr Mc'Over" w mym tomiku satyrycznym „To ci kwiatki".

Inny pobratymiec, też osiadły w Melbourne, chciał zaimponować biednemu przybyszowi z zabitej deskami Polski. Ledwo poznaliśmy się, zaproponował:

— *Zabiorę pana do siebie. Zobaczy pan w jakich tu się żyje warunkach. Może zapomni pan jak się nazywam, ale na zawsze zapamięta moje mieszkanie.*

Mister K. zbił fortunę na swej firmie konstrukcyjno-budowlanej. Przepychu, jakim się otoczył, mógł mu pozazdrościć nabab z opowieści przedwojennej Szecherezady. Nie dałem tego poznać po sobie, ale rozlokowane na całym piętrze prywatne apartamenty pana K. zrobiły na mnie wrażenie. I może darowałbym mu te jego perskie dywany we wszystkich pokojach, kryształowe kandelabry, porcelany, obrazy, srebrne zastawy i inne cudeńka, gdyby nie przechwalał się tak nachalnie z wyraźnym zamiarem poniżenia mnie. Postanowiłem go pognębić. Jakoż okazja wnet się nadarzyła.

— *Niech pan tylko popatrzy! Cztery ubikacje i trzy łazienki. W jednym mieszkaniu!*

— Po co aż tyle tego dobrego?

— *Jak to po co? Jest nas troje: ja, żona i syn. Każde ma własny bath room i WC. A ten czwarty WC to dla gości.*

Uśmiechnąłem się z wyższością.

— A gdzie małżeńskie WC? W Polsce już wiele osób zainstalowało sobie to urządzenie.

Zrobił okrągłe oczy.

— *Małżeńskie WC? Co to jest?*

— Dwa sedesy obok siebie. Gdy mąż i żona idą za własną potrzebą, siadają jedno przy drugim. To jest dopiero luksus na wzór paryski!

W Paryżu, dokąd zafundowałem sobie wycieczkę na otarcie łez, gdy nie wypaliła zamierzona eskapada do Ameryki Południowej, też miałem ciekawe spotkanie z łodzianinem. Rozegrała się tam w plenerze scenka jakby żywcem wyjęta ze skeczu.

Mój kuzyn, stale przebywający w nadsekwańskiej stolicy, zaofiarował się jako cicerone w zwiedzaniu miasta. Kiedy już zaliczyłem najciekawsze zabytki, zawiózł mnie do dzielnicy zamieszkałej przez ortodoksyjnych Żydów. Po kilku minutach otoczyła nas gromadka starszych panów, którzy przed wielu laty wyemigrowali z Polski. Nosili się górnie; stroje uświęcone wielowiekową tradycją, przepisowe chałaty do kostek lub surduty, jarmułki, twarze okolone brodami i misternymi grajcarkami pejsów. Odżyły we wspomnieniach dawne, przedwojenne Bałuty...

Moje ubranie z zielonej „adrii" produkowanej przez bielskie fabryki dla sztabu oficerskiego marszałka Tito, wzbudziło sensację. Panowie fachowo oszczypali materiał i zgodnie stwierdzili, że we Francji, a chyba i gdzie indziej też, nie robi się już tak doskonałych tkanin ze 100-procentowej wełny.

Posypały się pytania, nie dałyjem odpowiadać.

— *Czy las w Polsce pachnie jeszcze tak jak kiedyś? Czy rosną w nim grzyby? A Nalewki? Nowolipki? Panie, ja mieszkałem na Gęsiej 14, czy ta ulica jeszcze istnieje? Z Lublina jestem, szanowny panie. Nie spotkał pan Rozensztoka, on tam mieszkał razem ze mną...*

Sędziwy starzec przystanął obok i gładząc patriarchalną brodę, wyglądającą jak przedłużenie jego futrzanej czapy, uśmiechał się przymilnie. Kiedy przewaliła się nawałnica pytań, odciągnął mnie na bok.

— *Pan szanowny z miasta Łodzi? Bardzo mi przyjemnie. Urodziłem się tam, na ulicy Pańskiej 39...*

— Teraz nazywa się Żeromskiego.

— *Możliwe. Ile ja by dałem, żeby jeszcze raz przed śmiercią popatrzeć na ten dom...*

— To czemu pan nie przyjedzie w odwiedziny do swego rodzinnego miasta?

Potrząsnął głową.

— *Niestety, to niemożliwe.*

— Tylu ludzi z całego świata składa u nas wizyty.

— *Inni mogą, ja się boję.*

— Czego? Włos panu z głowy nie spadnie.

— *Pan nic nie wie. Mnie by od razu na granicy wasze UB zabrało.*

— Zbroił pan tu coś? — spojrzałem z niedowierzaniem na patriarchę.

— *Broń Boże, prowadzę swój interes i do polityki się nie wtrącam. Jak pan chce, proszę zajrzeć do mnie, sprzedam panu tanio jakiś sweterek.*

— Więc czego pan się boi?

— *Widzi pan, UB ma wszystko dokładnie zapisane, oni prosto z pociągu zaprowadziliby mnie do więzienia.*

— Za co?!

— *Bo ja uciekłem od polskiego wojska. Kilka dni przed poborem.*

— Kiedy to było?

— *W 1920 roku, jak brali na wojnę z bolszewikami.*

Po powrocie do kraju poczęły mnie nękać silne bóle głowy. Dr Laudański, ordynator oddziału laryngologicznego w szpitalu Pirogowa, postawił sprawę po męsku:

— *Perlak wydrążył kość za uchem. Konieczna trepanacja czaszki. Radzę nie zwlekać, pięć przed dwunastą...*

Miałem wtedy czterdziestkę z hakiem, w tym wieku człowiek jest przekonany o swej nieśmiertelności, więc w nastroju raczej beztroskim, jakby mnie czekało usunięcie nagniotka, udałem się do szpitala. Dni dzielące od operacji urozmaicałem sobie twórczością literacką o tematyce odpowiadającej nowemu miejscu pobytu. Już nazajutrz chorzy z naszej sali i sąsiednich śpiewali unisono:

Dzień jak co dzień,
zwykły dzień jak co dzień,
zastrzyk w dupę,
łapiduch na obchodzie...

Humor nie opuścił mnie nawet wtedy, gdy po dawce „głupiego Jasia" ległem wyprężony jak struna na stole, a kilkanaście postaci w bieli czyniło ostatnie przygotowania do zabiegu.

— Panie doktorze — zagadnąłem pochylonego nade mną dr Laudańskiego — chciałbym coś zeznać przed operacją. Czy mogę liczyć na dyskrecję państwa?

— *Nic z tego co pan tu powie nie przedostanie się na zewnątrz.*

Nabrałem powietrza w płuca i wyrecytowałem:

In nova fert animus mutatas dicere formas
corpora. Di, coeptis — nam vos mutastis et illas —
adspirate meis primaqua...

Dalszy ciąg inwokacji do „Przemian" Owidiusza w połowie zdania przerwał dożylny zastrzyk „evipanu". Po narkozie ocknąłem się na swym łóżku szpitalnym. Obmacałem bandaż na głowie i doszedłszy do wniosku, że jestem na tym świecie, bo w przeciwnym razie buzię miałbym wolną od opatrunku, szczęśliwy wróciłem do swego Owidiusza, inicjując odpowiednią intonacją „Wiek złoty":

Aurea prima sata est aetas, quae vindice nullo,
sponte sua, sine lege fidem rectumque colebat.
Poena metusque aberant, nec verba minantia fixo
aere legebantur...

Głuchy odgłos dobiegł mnie z sąsiedniego łóżka. Jakiś poczciwina bijąc się pokornie w piersi klepał słowa modlitwy. Wziął mnie za księdza. (...)

Odwiedzili mnie koledzy z „Karuzeli". Personel redakcyjny stawił się w komplecie tj. w trzyosobowym składzie: Beck, Baraniecki, Jankowski. Zatrzymali się przezornie w drzwiach, choroba wie co to za choroba ten perlak, może to to zaraźliwe, a w domu małe dzieci! Pomarańcze przekazali przez siostrzyczkę i pomachali mi od progu:

— *Cześć, stary! Przyłaź do redakcji, dosyć tego byczenia się!* — i tyle ich widziałem.

Zbożne życzenia spełniły się. Szybko stanąłem na nogi, wróciłem do pracy i... turystyki. Otwierały się szerokie możliwości. Kraje socjalistyczne podniosły szlabany na granicy. Brać i wybrać, co kto woli. Wycieczki grupowe i indywidualne, na zaproszenia. Mnie trafiła się lepsza gratka: skierowanie na 3-tygodniowe wczasy do Międzynarodowego Domu Dziennikarza w Złotych Piaskach. Ale przypadkowa, zawarta w pociągu znajomość, skróciła o połowę mój urlop w tym superluksusowym azylu dziennikarskim.

Ledwo wsiadłem do przedziału, poznałem inżyniera z Warny. Właśnie ulokował córkę w łódzkim Studium Języka Polskiego dla cudzoziemców i w szampańskim humorze wracał do swej słonecznej Bułgarii. W Kutnie mówiliśmy już sobie po imieniu, a gdy pociąg wjechał na terytorium Bułgarii, Krumcio oświadczył:

— *Ty i twoja żona będziecie moimi gośćmi. Obwiozę was po Bułgarii, poznacie kraj, ludzi...*

— A nasze skierowania do domu wczasowego?

— *Kilka dni będziecie mieli wolnych.*

I tak się stało. Nie zdążyliśmy się rozpakować, gdy Krumcio zajechał po nas swym samochodem. Prawie dwa tygodnie wędrowaliśmy po Bułgarii. (...)

Nieco więcej kąpieli słonecznych na pięknej plaży Międzynarodowego Domu Dziennikarza zażyłem po kilku latach. Wyznaczyłem tam sobie rendez-vous z Naumem Łabkowskim, radzieckim satyrykiem. Redakcja bratniego „Krokodyla" zleciła mu przetłumaczenie moich felietonów i humoresek do mającego się ukazać zbiorku mej twórczości „Triewoga w adu". Gdy inni urlopowicze leżeli plackiem na piasku, Naum i ja wiedliśmy ożywione dyskusje, zaostrzaliśmy pointy, poprawialiśmy to i owo, a w kilka miesięcy później dostałem z Moskwy sygnalny egzemplarz mojego zbiorku, wydanego w skromnym nakładzie 225 tys. egzemplarzy.

W ślad za tym przyszło zaproszenie do „Karuzeli": „*Prijeżżaj, Adam, diengi żdut tiebia*". Nie tylko honorarium czekało na mnie. Zgotowano mi serdeczne przyjęcie, a dwaj leningradzcy satyrycy, piszący wspólnie pod firmą Racer i Konstantinow, namówili mnie do zwiedzenia ich miasta, na co chętnie przystałem, jako że Moskwę przemierzyłem wzdłuż i wszerz w czasie poprzedniego tam pobytu.

Sławetny gród nad Newą znałem jedynie z lektury, głównie z humoresek Arkadiusza Awerczenki oraz powieści Egona Erwina Kischa „O carach, popach i bolszewikach". Wystarczyło to, by wprawić mych towarzyszy w niekłamany podziw.

Gdy mijaliśmy placyk z cerkwią, jeden z nich powiedział:

— *Tutaj dokonano zamachu na cara Aleksandra II...*

— Zgadza się — potwierdziłem. — W marcu 1881 roku. Kareta z carem wyleciała w powietrze od rzuconej bomby. I dla uczczenia pamięci samodzierżawcy, którego krew tu popłynęła, cerkiew tę nazwano Spas na krowi, Zbawiciel na krwi...

Wytrzeszczyli oczy.

— A po sześciu latach dokonano nieudanego zamachu na następcę Aleksandra II, Aleksandra III. W spisku uczestniczył m.in. Aleksander Uljanow, starszy brat Lenina. Powieszono go. A czy wiecie, że i nasz Piłsudski też był podejrzany o udział w tym zamachu? Zesłano go na Sybir, gdzie przebywał w latach 1888-1892...

— *Adam, otkuda...*

— Ot wierbliuda... A teraz oprowadzę was po dawnym Petersburgu. Wiecie gdzie była restauracja „Wiena"? Za obiad z pięciu dań, w tym pieczony kurczak „tabaka", płaciło się tam rubla, tak samo w „Małym Jarosławcu". A jak ktoś miał tylko 50 kopiejek, mógł się najeść i napić do syta u Fiodorowa lub u Sołowiewa!...

W drodze powrotnej do kraju zatrzymałem się jeszcze na dzień w Moskwie. Ówczesny szef „Krokodyla", Manuił Grigoriewicz Siemionow, powiedział, że Racer i Konstantinow podziękowali mu telefonicznie za tak dobrego przewodnika po Leningradzie. I spytał co mi się najbardziej podobało w tym mieście.

— Petersburg — powiedziałem, ale nikt się nie roześmiał, widocznie ktoś przede mną sprzedał im stary kawał Słonimskiego.

Honorarium za wydaną przez Bibliotekę „Krokodyla" książeczkę wyniosło około tysiąca rubli. Suma nie do wydania w ciągu kilku godzin. Kupiłem jakieś drobiazgi, resztę, plus to co zainkasowałem za wydrukowane w różnych czasopismach humoreski, zaniosłem do naszej ambasady prosząc o przekazanie całej sumy do Polski w bonach dolarowych. Szkoda, że dzisiaj nie praktykuje się tego zwyczaju, to była dla autorów i aktorów korzystna relacja — trzy ruble = jeden dolar. (...)

Potem z pociągu, samolotu, autokaru i prywatnego samochodu przesiadłem się — na statek. Pierwszą podróż morską naszym frachtowcem odbyłem niejako w celu zawodowym. Zamarzył mi się nowy serial mego „Zaczarowanego ołówka". Akcja wszystkich 13 odcinków miała się rozgrywać głównie na morzu. A ja w tych sprawach byłem ciemny jak tabaka w rogu. Trzeba było wczuć się w atmosferę życia marynarzy, poznać ich zwyczaje, budowę statku i jego urządzenia.

Pierwszym moim portem docelowym był Manchester, „angielska Łódź". Deszczowa pogoda powaliła mnie na łoże boleści. Dyskopatia dała o sobie znać. Skręciło mnie jak grajcarek. Leżałem martwym bykiem, deszcz lał, woda w górze, woda na dole, a w środku sportowiec mimo woli, czyli ja, Ochocki — dysko b ó l. Zaniepokojony kapitan sprowadził angielskiego lekarza (musiałem bulić w twardych). Konsyliarz zjawił się ze swym pomocnikiem. Kazał mi dźwignąć się z koi.

— *Niech pan stanie prosto* — skomenderował — *żeby mój asystent zobaczył jaki pan jest krzywy!*

I zapisał mi jakieś lekarstwo. Zażyłem pigułkę, drugą, trzecią. Bóle ustąpiły. Nie mogłem wyjść z podziwu: co za cudowne leki mają na Zachodzie! Dopiero po powrocie do Łodzi żona przyznała się, że dawała mi do łykania jakieś nasze krajowe prochy, a te angielskie — jak mnie wtajemniczyła znajoma pani magister farmacji — były zwykłą aspiryną...

Gnało mnie coraz dalej. Zapuściłem się statkiem aż do wybrzeży Afryki. W Safi, porcie, którym ongiś władała Francja, przeżyłem pyszną przygodę. Dużo pracuje tam Polaków, a każdy Polak to dla Arabów — Stasiu, jak każdy Arab dla naszych — Mahmud. Arabowie przysłuchując się rozmowom przybyszy znad Wisły przyswoili sobie coś niecoś z ich bogatego słownictwa, jak się o tym n a u s z n i e mogłem przekonać.

Na zwiedzanie egzotycznego portu wyszliśmy większą grupką. Była z nami żona kapitana naszego masowca. Marynarzy powitali tubylcy gromkimi „*Jak się masz, Stasiu?*", a panią kapitanową któryś klepnął w łopatkę i zawołał: „*Jak się masz, stara kurwa?*". Kapitanowa zbladła, dopiero jeden z naszych wyjaśnił, że Arab powiedział to w najlepszej wierze, myśląc, że tak należy witać panie z Polski. Zresztą tubylcy nie zwracali na nią uwagi, zajęły ich ważniejsze sprawy.

— *Stasiu, szacher-macher! Czińcz, czińcz!* — wołali jeden przez drugiego, zachwalając najrozmaitszą tandetę, owoce granatu, orzeszki ziemne, a wszystko to chcieli wymienić na najlepszą walutę — na mydło.

Podróże statkiem zasmakowały mi, co roku wypuszczałem się na coraz to nowe trasy. Ale nie myślcie, że ze mnie takie snobiszcze, co to „cudze chwalicie, swego nie znacie". Zimowe urlopy zawsze spędzałem i spędzam w kraju, ściślej — w Zakopanem, dokładnie — w zaiksowskim pensjonacie „Halama". Tutaj zawarłem mnóstwo ciekawych znajomości, tutaj beztrosko mijał mi czas. Dzień, jak dzień — spacery, kawiarnia, wylegiwanie się na tarasie, za to wieczorem...

Zaraz po kolacji obrusy wędrowały na parapety okienne, zasiadało się do kart. Przy jednym stoliku brydż, przy drugim kierki tradycyjne, przy trzecim „rozbójnik", przy czwartym, piątym — remik. Zawiązywały się stałe komplety, kiedy zaś brakowało partnera, werbowano kogo się dało. Ofiarą takiej łapanki padł Janusz Minkiewicz, znany z tego, że żżymał się na sam widok kart. Przy sąsiednim stoliku w grze uczestniczył drugi Janusz — Osęka.

Po kwadransie flegmatyczny „Minio" zwrócił się doń:

— *W co grasz, Janusz?*

— *W brydża.*

Na co „Minio" umęczonym głosem:

— *A ja?*

Na życzenie pań zasiadłem z nimi do „idioten brydża", czyli remika. Jednym z partnerów był uroczy gawędziarz, Feingold, artysta plastyk, wyczarowujący ze srebra prześliczne cacka. Przy każdym wyłożeniu kart popisywał się francuszczyzną: „*Avec plaisir*". Nie wytrzymałem i po kolejnej takiej odzywce palnąłem w języku jidysz:

— Wuys? (Co?)

W tymże momencie ubył nam przy stoliku jeden partner: Bogusław Brzeziński, trzymając się za brzuch, wylądował na podłodze.

O Feingoldzie krążyło mnóstwo anegdot. Przedstawiono mu żonę Józka Prutkowskiego, noszącego wówczas jeszcze rodowe nazwisko Nacht.

— *Edyta Nacht* — wyciągnęła rękę do Feingolda.

— *A gite nacht, a gite nacht!* — pożyczył jej dobrej nocy przygłuchy nieco artysta.

Kuchnia w „Halamie" była znakomita, desery — niebo w gębie. Niektórzy goście zostawiali sobie kremy, torty czy ciastka „na potem", gdy wrócą z przechadzki. Przeważnie czekały na nich puste talerzyki: rozmaici „wyjadacze" urządzali polowania na przysmaki. Ktoś z tak niecnie obiadanych postanowił ukarać żarłoków. Ułożył na talerzu pięć babek kremowych (skąd zdobył te trzy nadprogramowe nie wiem) i z piekielnym chichotem wtajemniczył kilka zaufanych osób, że nadział babki jakimś środkiem przeczyszczającym. Maryla Brzezińska cstrzegła moją żonę, ale ta myśląc, że Maryla robi jej kawał, spałaszowała cztery babki, zostawiając dla przyzwoitości ostatnią, piątą, na talerzyku.

Jakoś po kilku minutach do „Halamy" przyszedł pożegnać się z Jackiem Wołowskim mieszkający w innym pensjonacie Bogumił Kobiela. Wybierał się pociągiem do Łodzi, gdzie czekały go zdjęcia do filmu. Pan Jacek poczęstował go tą piątą babką, Kobiela pojechał na dworzec. Nazajutrz rozdygotany zadzwonił do „Halamy":

— *Truciciele! Całą noc przesiedziałem w klozecie, sam nie wiem jak dojechałem do Łodzi. Co chwila trzeba było przerywać zdjęcia, ledwo trzymam się na nogach!*

Oddawano się i innym rozrywkom. Kilku kpiarzy postanowiło zrobić balona ze znanego satyryka. Umówiono się, że gdy dołączy on do towarzystwa, każdy po kolei opowie bzdurną historyjkę bez sensu, na co wszyscy wybuchną śmiechem, a gdy satyryk popisze się jakimś dowcipem, należy okazać mu kamienne oblicza.

No i rozpoczęła się zabawa. Zainicjował ją chyba Jerzy Bossak.

— *Słuchajcie. Idzie ulicą jakiś facet i kłania się komuś. Tamten zdejmuje kapelusz, pochyla głowę i idzie dalej! Ha, ha, ha!*

— *Świetne! Ha, ha, ha!* — wtóruje zgodny chór, po czym ktoś opowiada inną bzdurę. Znowu huragan śmiechu. Satyryk z początku nie reagował, minę miał raczej zdziwioną, widząc jednak, że wszyscy pokładają się ze śmiechu, w obawie, iż pomyślą o nim, że pozbawiony jest poczucia humoru — włączył się do ogólnej wesołości. A gdy chcąc się zrewanżować opowiedział nawet całkiem niezły dowcip — zgodnie z umową zapanowała kompletna cisza. Mało — uczestnicy spisku skrzywili się z dezaprobatą. Satyryk usiłował wzmocnić pointę, powtórzył dowcip, potem popisał się innym, aż wreszcie zmył się jak niepyszny.

„Halama" czeka na swego kronikarza. Ileż to ciekawych rzeczy tu się działo! Mogłyby o nich bez końca opowiadać dwie najstarsze pokojówki — Lusia i Rózia. Chociaż, bo ja wiem czy byłyby to najlepsze źródła informacji? Bo obie, tak jak Westalki świętego ognia, tak one, wierne kapłanki pensjonatu, pilnie strzegą jego tajemnic...

Fragment wspomnień z przygotowywanego do druku drugiego tomu książki „Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się po wojnie robiło gazetę".

Jak walczyć z pasożytnictwem

W „ROBOTNICZESKO DEŁO" centralnym organie KC BPK ukazał się w maju 1984 r. cykl artykułów na temat pasożytnictwa. Publikujemy najistotniejsze fragmenty tej nader ciekawej i ze swadą napisanej serii artykułów.

„Dość długo szukałem pojęcia dla określenia i zjawiska i jego nosicieli — pisze autor w artykule wprowadzającym pt. „Konieczny wstęp". A zjawisko to jest nam bardzo dobrze znane, każdy ma o nim wyobrażenia, ma swój stosunek do jego nosicieli. Oprócz, być może, samych „bohaterów", którzy w żadnym wypadku nie uważają się za przedstawicieli tej kategorii i zapewne udawać będą, że nie mają nic wspólnego z tym co zostało napisane. I jakże inaczej — kto się np. przyzna, że jest złodziejem, oszustem, szantażystą, wyzyskiwaczem itp".

„Są to pasożyty"... — zaznacza autor, przeprowadzając następnie analogię między pasożytami w przyrodzie i w życiu społecznym i kontynuuje: „W społeczeństwie klasowym są całe klasy, które gromadzą bogactwa wyzyskują ludzi pracy. Ale czy nie ma też wśród nas, pracowników rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, indywiduów które „uwiły sobie ciepłe gniazdko", okopały się w wygodnym, dochodowym miejscu i wysysają żywotne soki z socjalizmu? Wysysają ze wspólnej kieszeni nas wszystkich — bez wstydu i sumienia. Ani upomnienie, ani krytyka nie są w stanie skierować ich na właściwą drogę".

„Nie należy oczywiście przeceniać tych zjawisk ani dramatyzować sytuacji. Zbędne jest jednak podkreślenie, że rzecz dominującą, główną w naszym życiu, w dzisiejszych dniach są ogromne osiągnięcia ilustrujące żywotną siłę generalnej kwietniowej linii partii, dowodzące zarówno przyjaciołom jak i wrogom do czego jest zdolny wolny naród, do czego jest zdolna marksistowsko-leninowska partia komunistyczna. Osiągnięcia, które widzimy i odczuwamy każdego dnia, wszędzie, o których także teraz w czterdziestą rocznicę triumfu naszej rewolucji, mówimy i będziemy mówić pełnym, radosnym głosem.

I właśnie dlatego, że tak wymowne są nasze zwycięstwa nie możemy i nie powinniśmy pomijać tego co rzuca pewien cień co zwalnia nasz marsz naprzód i w górę. Właśnie dlatego, że swoją pracą i swoją wolą stworzyliśmy cud naszej socjalistycznej ojczyzny, jesteśmy zobowiązani wystąpić jeszcze silniej i nieprzejednanie przeciwko wszystkiemu, co plami socjalizm, co ograbia socjalizm, co obraża socjalizm. Albo ściślej — wypowiedzmy jeszcze bezwzględniejszą wojnę tym zjawiskom, które można najogólniej nazwać pasożytnictwem tych ludzi, którzy wykorzystując niektóre nasze niedociągnięcia zabiegają wyłącznie o swoje własne interesy. I obłudnie otwarcie lub skrycie dają wyraz swemu zadowoleniu i cynicznie kpią: „Jednak ten socjalizm jest czymś dobrym..." Nie, dla takich jednostek nie powinno być miejsca, nie powinny one mieć spokoju — wymagają tego żywotne interesy socjalistycznej Bułgarii, każdego obywatela, każdej rodziny.

Czy mamy im pozwalać by nadal oszukiwały państwo i naród, by otrzymywały kilkakrotnie więcej niż dają społeczeństwu? Czy powinniśmy nadal tolerować tych niebezpiecznych pasożytów na organizmie socjalistycznego społeczeństwa? Co je tworzy, co stymuluje ich istnienie? Poszukujemy odpowiedzi na te pytania — to właśnie jest głównym zadaniem cyklu „Pasożyty", który zaczynamy publikować w naszej gazecie.

O PRZYWŁASZCZENIU MIENIA SPÓŁDZIELCZEGO

Pierwsze trzy odcinki cyklu dotyczą różnego rodzaju nadużyć w spółdzielniach produkcyjnych. Autor omawia ten problem na przykładach z rolno-przemysłowego kompleksu w gminie Ruen okręgu bułgarskiego. Okolice te słyną z produkcji jabłek. Stara się znaleźć odpowiedź na pytania postawione przewodniczącemu tego kompleksu: „Czy dobrze jest strzeżone mienie spółdzielcze, czy zdarzają się wypadki zagarnięcia go i bezprawnego bogacenia się?" Odpowiedzi były twierdzące poparte konkretnymi przykładami drobnych kradzieży i nadużyć większego kalibru.

Przywozimy autobusem kobiety do zrywania jabłek, a następnie je odwozimy — powiedział przewodniczący kompleksu D. Stojanow. — Tylko w wyniku jednej kontroli około 50 kobiet podczas powrotu z pracy zabraliśmy im ponad 200 kg jabłek. Każda z nich po prostu włożyła sobie do koszyka lub torby 4,5 kg owoców. Ale to nie jest najważniejsze — pisze autor. — Wiele spośród tych kobiet dziwiło się, dlaczego je kontrolowano i mówiło — „przecież wszystko jest wspólne".

„Zatrzymujecie nas i poddajecie kontroli, ponieważ wzięłyśmy po kilka kilogramów owoców. Ci zaś z jeepami napełniają bagażniki bezpośrednio z magazynu i nic nie płacą — tych bronicie. Gdzie jest sprawiedliwość, dlaczego jednym wolno, a innym nie?".

Okazało się, że wymienione wyżej fakty są prawdziwe. Otóż przewodniczący jednego z gospodarstw kompleksu N. Dimitrow (autor pisze w nim jako o byłym przewodniczącym) wydawał znajomym wprost z magazynu duże ilości wyborowych owoców. Nadwyżki te wygospodarowano przez fałszowanie liczby i wagi przyjmowanych skrzynek z jabłkami. Wystarczyła karteczka z podpisem przewodniczącego, by napełnić bagażnik owocami. Autor zwraca uwagę na wyjątkowo demoralizujący wpływ takiego postępowania na otoczenie, na stosunek ludzi do własności społecznej.

Innym problemem o szerszym zasięgu, jak pisze autor, jest wykorzystywanie spółdzielczej paszy do chowu prywatnych zwierząt. Przewodniczący kompleksu „uskarżał się, że coraz trudniej daje sobie radę z zuchwałością tych gospodarzy, którzy zgodnie z uchwałą Rady Ministrów chowają zwierzęta domowe i następnie sprzedają je państwu". Zajmują się tym nie tylko zwykli spółdzielcy, ale niektórzy członkowie kierownictwa gospodarstw. Ujawniane wypadki przywłaszczenia sobie tą drogą mienia spółdzielczego są często inspirowane z pobłażliwością. W jednej ze wsi kompleksu przywłaszczono na spółdzielczych polach 80 sztuk świń należących do jednego ze spółdzielców. Postanowiono ukarać go grzywną po 20 lewów od sztuki, ale właściciel targował się i oświadczył, że gotów jest zapłacić po 10 lewów i to natychmiast. Wyrażono zgodę. Zapłacił 800 lewów „tak jak gdyby nic się nie stało" — zaznacza autor i zapytuje: „Jakie myśli zrodzi ten fakt u spółdzielców, jaki to będzie przykład dla innych?"

Wspomniany już były przewodniczący jednego z gospodarstw, N. Dimitrow „działał w tej dziedzinie — jak pisze autor — z dużym rozmachem". W ciągu trzech lat odstawił 32 tuczniki ale, by nie zwrócić na siebie szczególnej uwagi, część tuczników na nazwisko brata i swej babki. W ciągu tych trzech lat otrzymał 4 tony paszy. Każdy ze sprzedanych tuczników ważył 160—170 kg (tuczniki innych ważyły średnio po 120 kg). Nawet z pobieżnych obliczeń wynika, że taką ilością paszy nie można było utuczyć do tej wagi 32 sztuk świń — zaznacza autor. O nadużyciach w tej dziedzinie mówiono autorowi nie tylko w okręgu bułgarskim, ale także sliweńskim, jambolskim i warneńskim.

Po przytoczeniu kilku innych przykładów przywłaszczania sobie mienia spółdzielczego i szeregu innych nadużyć oraz podkreśleniu, że w okręgu bułgarskim „prowadzona jest konsekwentna walka przeciw tym negatywnym zjawiskom" autor podaje liczby ilustrujące szkody ponoszone przez rolnictwo tego okręgu wskutek nadużyć. Według danych Okręgowej Dyrekcji Kontroli Państwowej i Finansowej w 1981 r. wyniosły one około 1,8 mln lewów, w 1982 r. 2 mln, a w 1983 r. osiągnęły ponad 5 mln lewów.

„Surowe fakty wskazują gdzie najwięcej występowało zjawisko pasożytnictwa — czytamy dalej. — Oto główne kierunki: wypłacanie wyższych wynagrodzeń aniżeli przewidują przepisy, ewidencjonowanie niewykonanej pracy i sporządzanie dokumentów o fałszowanej treści i kradzież środków pieniężnych..." Twierdzenia te są poparte konkretnymi przykładami. Oto jeden z nich.

„Szczególnie duże machinacje popełnia się przy ewidencjonowaniu młodych zwierząt: cóż w tym trudnego zapisać zamiast 94 jagniąt np. 68 i zanotować ich wagę 8—12 kg, podczas gdy każda z nich waży już 18—20 kg? Kiedy brak ścisłej, wszystkowidzącej kontroli można sporządzać dokumenty o fałszywej treści, jak to czyniła była kasjerka gospodarstwa we wsi Dyskotna, C. Petrowa, przywłaszczając sobie 16.000 lewów lub grupa S. Angełowej ze wsi Trojanowo (wraz z czterema osobami odpowiedzialnymi materialnie) ukradła 14.000 lewów..."

„Przytoczone przykłady to tylko te, które ujawniono, komentowano i ukarano. — Ale ile wypadków nadużyć obecnie się odkrywa? Ile w ogóle nie ujrzy światła dziennego?

O DROBNYCH PASOŻYTACH

Kolejny odcinek cyklu zatytułowany „Czy drobne ryby są rzeczywiście drobne", poświęcony jest m.in. nadużyciom popełnianym przez kucharzy w stołówkach i restauracjach przez barmanów i innych pracowników zakładów zbiorowego żywienia. Na konkretnych przykładach pokazany jest mechanizm działania na szkodę tych zakładów i konsumentów.

Co się tyczy barmanów, na których temat — jak zaznacza autor — „wypisano już tyle atramentu, ukazało się tyle karykatur", to „jest powszechna tajemnica, że te stanowiska skrycie się sprzedaje za tysiące lewów. I wciąż nie brak chętnych do tej pracy — wyobraźcie sobie, ile przy dobrej „osobistej organizacji" można „zarobić" skoro się daje tak duże łapówki? Inna sprawa, że rzadko się to wykrywa, albowiem jedna jak i druga strona są zainteresowane, by transakcja nie wyszła na jaw".

Po przytoczeniu kilku innych przykładów z dziedziny gastronomii autor kontynuuje: „Obrzydło nam od dawna, zmęczyliśmy się już oburzaniem na bezczelność niektórych naszych współobywateli, którzy bez skrupułów i bezwstydnie domagają się dodatkowego wynagrodzenia za usługę, która jest albo bezpłatna, albo ma ściśle ustaloną cenę. Tak postępuje sporo kierowców taksówek, malarzy, parkieciarzy, ci, którzy kleją tapety, hydraulicy, fryzjerzy, tak postępuje się w niektórych serwisach... A przecież ludzie ci otrzymują wynagrodzenie właśnie po to, by nas obsłużyć szybko, punktualnie i bezpłatnie".

Z dalszej lektury odcinka dowiadujemy się o „usterkach w oddawanych do użytku spółdzielczych mieszkaniach. Rzemieślnicy domagają się od lokatorów dodatkowych opłat za usunięcie tych usterek. Autor nazywa takie praktyki „grabieżą" „podłym pasożytnictwem". „Z przeprowadzonych kontroli wynika, że w 1983 r. w szeregu okręgów przekazano 50 proc. mieszkań w stanie nie wykończonym".

CZARNY HANDEL

W odcinku pod powyższym tytułem autor pisze o takich zjawiskach pasożytnictwa, jak handel obcą walutą, w tym sfałszowanymi banknotami, wyłudzanie od naiwnych ludzi dużych sum pieniędzy za obietnicę wyremontowania mieszkania, zorganizowanie balu maturalnych itp. Przytoczone są konkretne przykłady, jakie ujawniono w Sofii. Autor zalicza też do tej kategorii pasożytnictwa prostytucję, pisząc:

„A teraz kilka słów o innym czarnym handlu. Zdaję sobie sprawę z tego, że dotyczy to jednostek, że zazwyczaj przemilcza się to zjawisko, ale od tego nie przestaje ono istnieć. Chodzi o handel ludzkim ciałem. Tak nie przeraźmy się — istnieją młodzi obywatele, którzy handlują tym co najświętsze — swym kobiecym honorem, swą godnością. Handlują za ten ów banknot zagraniczny, za parę pończoch lub sztukę bielizny, za jakąś bluzkę czy coś podobnego. Starałem się więc wejść w rolę rodziców tych 20—25—30-letnich dziewcząt i młodych kobiet, nie mogłem. Jest to straszne, okropne. Czytam i dowiaduję się, że pewna Janka i pewien Wasil wzięli cywilny ślub. Żyją razem, przyjmują często zagranicznych gości. I co? Okazuje się, że mąż przyprowadza tych gości, by sprzedawać im swoją żonę, ona zaś ze swej strony całkiem świadomie zgadza się na to. Czy jest to rodzina? Nie, w tym wypadku nie ma to nic wspólnego z tym świętym słowem, mamy tu do czynienia z ohydną kombinacją zdobywania obcej waluty za sprzedawanie honoru, za naigrawanie się z czystości i piękna młodości.

Jest to absolutnie obce, absolutnie nie do przyjęcia dla ducha narodu bułgarskiego. I właśnie z tego powodu, chociaż wypadki takie można policzyć na palcach, takie pasożyty powinny być ścigane z możliwie jak największą surowością. Należy wobec nich stosować trwałe środki wychowawcze, by po odpowiednim wszechstronnym leczeniu powróciły do swoich rówieśników. Jeśli nie jest oczywiście, o wiele za późno dla wychowania na nowo i powrotu do normalnego życia..."

PRZYCZYNY PASOŻYTNICTWA

Po omówieniu kilku innych wypadków nadużyć i podkreśleniu szczególnej szkodliwości tolerancyjnego stosunku do osób popełniających je, zwłaszcza ze strony ludzi zajmujących odpowiedzialne stanowiska, autor pisze o przyczynach występowania zjawiska pasożytnictwa.

Zapoznałem się z dziesiątkami konkretnych przypadków i ani w jednym z nich przyczyną kradzieży, bezprawnego przywłaszczenia, ograbienia społeczeństwa, nie jest bieda, nie jest to podyktowane niemożliwością przeżycia. Nie, nie ma takiej społecznej bazy podobnych zjawisk. Być może nie osiągnęliśmy jeszcze upragnionego poziomu dobrobytu, ale po prostu nie ma już wypadków, w których człowiek nie mógłby w uczciwy sposób wyżywić się, utrzymać swą rodzinę. A więc pasożytnictwo nie jest wynikiem niedostatku, rozpaczliwej niemożliwości powiązania końca z końcem.

Grabi się, rujnuje społeczne (i dość często — osobiste) mienia z chciwości. Z powodu jakiegoś nieubłaganego dążenia, by żyć dziesięciokrotnie, dwustukrotnie szerzej, aniżeli pozwalają otrzymywane normalną drogą środki. Z lenistwa — czyż nie jest to łatwiej zamiast codziennie pracować, kilkoma „skokami" urządzić się na dłuższy okres? Z zazdrości — jak ładnie urządzili się sąsiedzi, a ja... Z naśladowania złego, nie ukaranego przypadku. Z pragnienia „silnych wrażeń". Możemy mówić o złym wychowaniu które dają rodzice, czy przyjaciele tych lub innych, możemy się powołać na konsumpcyjny stosunek, na żądzę posiadania rzeczy, która niepowstrzymanie władczo, popycha na dół zarażonego nią i jakby nieustannie dręczy go — „jeszcze, jeszcze". Możemy wyliczyć też wiele innych przyczyn istnienia pasożytnictwa. Sądzę, że przyczyny tego rodzaju zjawisk trzeba szukać w braku świętego poczucia odpowiedzialności za własność socjalistyczną".

Autor porusza na marginesie m.in. problem krytyki prasowej i wskazuje na dość częstą jej nieskuteczność, omawia rolę prasy i w ogóle środków masowego przekazu w walce z pasożytnictwem i innymi objawami zła.

W ocenie prokuratora

Bułgaria znajduje się obecnie wśród tych państw, które mają najniższy wskaźnik przestępczości — stwierdził generalny prokurator LRB, Kostadin Lutow w sprawozdaniu z działalności prokuratury, złożonym na 13 sesji parlamentu.

K. Lutow podał do wiadomości, że w porównaniu z 1956 r. popełniono w Bułgarii w 1983 r. o ponad 40 proc. mniej przestępstw. W Bułgarii nie ma terroryzmu i zabójstw na tle politycznym. Analiza przestępczości w kraju wykazuje zdecydowaną przewagę przestępstw o niewielkiej szkodliwości społecznej, np. w 1983 r. 60,1 proc. wymierzonych przez sądy kar nie zawierało ograniczenia wolności, 16 procent ograniczyło ją do 6 miesięcy, a 30 procent od 6 miesięcy do 1 roku. Średni wymiar kary pozbawienia wolności nie przekroczył 1,6 roku.

W połowie ubiegłego roku wprowadzono do kodeksu karnego nowy paragraf, na podstawie którego obywatel po zakończeniu przeciwko niemu dochodzenia może być zwolniony przez prokuratora od odpowiedzialności i otrzymać jedynie karę administracyjną w wysokości od 100 do 1000 lewów. Kary nakłada wtedy nie sąd, a władza administracyjna i przestępstwo ulega dekryminalizacji. Taka możliwość istnieje w przypadkach obywateli, którzy nie byli dotychczas karani. Można stosować ten paragraf, jeśli za dane przestępstwo dokonane umyślnie kodeks przewiduje karę do 1 roku pozbawienia wolności, a do 2 lat w przypadku nieumyślnego popełnienia przestępstwa. Do końca 1983 r. prokuratorzy skorzystali z tej możliwości w 1536 przypadkach.

Prokurator K. Lutow zwrócił też uwagę na fakt wyraźnego zmniejszenia się w Bułgarii przestępczości w ruchu drogowym, mimo że przez ostatnie 10—15 lat stopień motoryzacji wzrósł kilkakrotnie. W stosunku do 1971 r. w ubiegłym roku tego typu przestępstwa zmniejszyły się o 9 proc., w porównaniu z 1982 r. o 8,7 proc. zmalała liczba zabitych w wypadkach drogowych, a o 12,5 proc. liczba rannych.

Jednocześnie K. Lutow stwierdził, że głównymi przeszkodami w dalszym ograniczeniu przestępczości jest konsumpcyjny stosunek do życia niektórych obywateli, usiłujących uzyskać dochody nie będące w proporcji do jakości i ilości ich pracy. Czynnikami sprzyjającymi przestępczość są też konflikty między ludźmi wynikające z niewłaściwego rodzinnego i szkolnego wychowania, alkoholizm oraz uchylanie się od pracy.

Mówiąc o przestępczości gospodarczej K. Lutow przyznał, że mimo poważnych sukcesów prokuratura nie zdołała niestety rozwiązać wielu problemów. Nadal nieuczciwi pracownicy mają wiele możliwości obchodzenia przepisów, co pozwala im uzyskiwać niezasłużone dochody.

Drobne ogłoszenia

Prasa bułgarska nie prowadzi właściwie rubryk poświęconych drobnym ogłoszeniom. Z gazet centralnych jedynie sofijska popołudniówka „Weczerni Nowini" zamieszcza raz w tygodniu 3—4 szpalty tego typu ogłoszeń. Trochę też ukazuje się w prasie terenowej, ale bardzo mało. Te, które są, dzielą się na trzy działy: „sprzedam", „kupię" oraz „różne".

W rubryce „sprzedam" zdecydowanie dominują samochody. Bułgarzy sprzedają przeważnie używane pojazdy takich marek jak: Trabant, Wartburg, Skoda, Łada, Moskwicz, Zaporożec Ziguli; Polski Fiat 125 i 126 oraz Dacia. Jest to zrozumiałe, bowiem w Bułgarii najwięcej jeździ samochodów produkcji państw RWPG.

Z innych propozycji sprzedaży można znaleźć następujące oferty: „sprzedam akordeon", „sprzedam rój pszczół", „sprzedam osła 8-letniego". Proponuje się też „2 krowy z cielęciem", 30 owiec, cztery świnie po 60—70 kg, pole winogron i sad, konie z bryczką lub bez, kolorowe telewizory, zagraniczny wózek spacerowy dziecięcy, lodówki, maszyny do prania, maszyny do szycia, meble, farby do wełny i wideokasety, piece naftowe oraz rozmaite części samochodowe.

W rubryce „kupię" powtarzają się w zasadzie te same artykuły z tym, że chętnych do nabycia jest zdecydowanie mniej niż tych, którzy chcą je sprzedać. Ci, którzy chcą kupić samochód, często zaznaczają, że najchętniej kupią pojazd po wypadku. To zamiłowanie do rozbitych samochodów wynika oczywiście z ograniczonych możliwości finansowych nabywców. Efektem takiego motoryzowania się są ogłoszenia poszukujące rozmaitych części samochodowych, bowiem pod tym względem miejscowe stacje obsługi, podobnie jak u nas, nie rozpieszczają swoich klientów.

W ogłoszeniach zakwalifikowanych jako różne dominują natomiast oferty mieszkaniowe proponujące zmianę lokalu na większy lub dwóch małych na jeden duży. Nikt nie proponuje sprzedaży mieszkań, natomiast sporo osób oferuje wynajęcie pokoju, przeważnie samotnym lub studentom. Dużo jest też ofert zamiany mieszkania na prowincji na mieszkanie w Sofii lub zamiany samochodu na mieszkanie.

Bardzo mało jest ogłoszeń dotyczących usług. Te nieliczne dotyczą przeważnie cyklinowania i lakierowania parkietów. Trafiają się też propozycje zatrudnienia pomocy domowej, natomiast nikt nie poszukuje pracy.

WŁODZIMIERZ ZRÓBIK

W kręgu fantastyki

ANDRZEJ DRZEWIŃSKI

Punkt osobliwy

Podła droga, pełna dziur i kolein, wiła się zboczem wzgórz, przelatywała nad górskimi potokami, aby po chwili wpaść w gęsty cień lasu. W zagłębieniach połyskiwała woda, granatowa od nadchodzącego zmierzchu. To od niej i od lasu pochodził specyficzny zapach, pełen ukrytej zgnilizny i starości. Ostatni drogowskaz, jaki widział, mówił o dziesięciu kilometrach, ale z każdą minutą coraz bardziej powątpiewał w jego wiarygodność. Purpurowa łuna, jedyna pozostałość słońca jeszcze bardziej psuła humor.

— Przyjedź... coś co się zainteresuje... będę czekać.

Zdziwił się, kiedy dostał ten list. Przez pierwsze chwile szukał w pamięci imienia, którym podpisano kartkę i dopiero adres otworzył furtkę pamięci.

Znali się długo, studia, miłość do dziewczyny, która w końcu wybrała innego. Potem życie toczyło ich różnymi drogami. Stefan, o ile Tomasz pamiętał, zdawał ponownie na studia, tym razem medyczne. Jeszcze raz czy dwa spotkali się przypadkiem u wspólnych znajomych, lecz wkrótce i tych zabrakło. Dziesięć lat, a teraz list. Dziwny, tak bezpośredni jak gdyby pożegnali się ledwie tydzień temu.

— Psiakrew — zaklął i gwałtownie ruszył kierownicą.

Idący środkiem drogi chłop z krową na postronku nawet się nie ruszył, osłaniając tylko oczy od świateł.

Zmarszczył brwi i przez chwilę uważniej patrzył na drogę. Drzewa, jak dekoracja obłąkanego scenografa pozwalały się lizać światłu, chowając między konarami czerń głębi lasu. Momentami snop jasności ożywiał drobne punkciki owadów wirujące przez chwilę i nurkujące nieodwracalnie w ciemność. Z palcem na przycisku przypomniał sobie, że radio ma popsute od przeszło tygodnia. Skrzywił się, Beata pewnie teraz siedzi i próbuje czytać Dostojewskiego. O ile ją zna, po jakiś dwudziestu minutach z niewyraźną miną odłoży go na półkę i weźmie się za kryminał. No, może tak źle nie będzie, w końcu lekkie powieści też mają w bibliotece. Jak to ona ostatnio powiedziała? „Raskolnikow miał typowy konflikt Schopenhauerowskiego nadczłowieka". Boże! Dlaczego zawsze i wszędzie cytuje innych. Nigdy nie może użyć własnych słów. Zawsze stara się go naśladować, nawet w gestach. To pocieranie nosa w chwili zastanowienia też od niego przejęła. Chociaż... Miał okazję przyglądać się jej, gdy o tym nie wiedziała i przyznawał, że odbierał ją znacznie pewniejszą siebie.

Nareszcie koniec lasu. Po lewej stronie miga plama chałupy. Przez szum silnika przebija jazgot kundla. Wioska jest pusta, mimo dość wczesnej pory. Tylko za oknami jarzą się żarówki. Uśmiechnął się pod nosem, pewien, że wszyscy oglądają telewizję. Kultura masowa. Dużo chleba, mało pracy i telewizor: synonimy szczęścia w kieszonkowym wydaniu. Niektórym to nie wystarcza, ale w końcu, ilu ich jest? Życie i ludzie, jakby się nie nazywali, wszędzie i zawsze postępują tak samo. Nieważne w jakim mówią języku, na czyje nazwiska się powołują, a na czyje plują. Reguły są te same, zawsze. Jeśli cokolwiek można poznać i zrozumieć, to tylko fakt, że nie da się wyrwać z ich kręgu. Przez ciernie do gwiazd! Cha...! Chyba tylko po to, aby się upewnić, że między gwiazdami możemy znaleźć to samo co tutaj.

Zahamował, widząc czerwoną latarnię zawieszoną na wolno jadącym wozie. Chłop drzemie, ale tylko dzięki temu Tomasz dostrzega niewielką planszę ze strzałką. To tutaj! Skręcił posłusznie. Nieduża aleja, zza gałęzi drzew przeświituje światło dominującej nad parkiem bryły domu. Przed wojną był to dworek.

Szerokim łukiem ominął leżącą naprzeciwko wejścia małą sadzawkę i zatrzymał się przed drzwiami. Trudno uwierzyć, lecz w człowieku, który wyszedł mu na spotkanie od razu rozpoznał Stefana. Klepią się po plecach, chyba bardziej z przekory, niż odruchu. Dopiero, kiedy Tomasz powiedział, że z rana musi wracać, twarz Stefana pokryła się smutkiem. Pokiwał głową i zaprosił do domu.

W środku było cicho. Miękki chodnik tłumił kroki. Wąski, jak studnia korytarz był wypełniony dusznym, nieruchomym powietrzem. Stefan coś bąknął o trudnościach z założeniem klimatyzacji. Po drodze spotkali dwie kobiety. Obydwie ubrane w wykrochmalone białe fartuchy i jednakowe kostiumy pod spodem; pielęgniarki. Odpowiedzieli im ukłonem i weszli do jadalni.

— Oni już jedli — stwierdził Stefan, widząc, jak Tomasz wodzi wzrokiem po sali mogącej pomieścić ze trzydzieści osób.

Usiedli przy stole niby takim samym jak inne, ale jednak czymś się wyróżniającym. Może usytuowaniem, a może tym bukietem kwiatów stojących w wazonie. Jedząc kolację rozmawiali, a właściwie przypominali sobie dawnych znajomych, zatarte czasem miejsca i zdarzenia. Jedynie Tomasz był zażenowany tym, że niektóre rzeczy umknęły mu z pamięci, a mimo to z kamienną twarzą potakiwał i uśmiechał się porozumiewawczo. Chyba tylko Barbarę pamietali obydwaj, każde zdarzenie nawet najdrobniejsze. Lecz nie mogli sobie przypomnieć jej twarzy, jej wyglądu. Dziwili się, jak można pamiętać kilka słów, jakie powiedziała któremuś z nich dziesięć lat temu i nie potrafić złożyć w myślach jej oczu z jej włosami, ustami, tak, aby w końcu mogli dojrzeć ją całą. Szczękając sztućcami kończyli jeść w milczeniu.

Pielęgniarka, tym razem już bez fartucha, zebrała naczynia. Tomasz skorzystał z okazji, zapalił papierosa i leniwie obserwował jak dziewczyna coś szepce Stefanowi do ucha. Widać nie było niczego rewelacyjnego, gdyż po chwili zostawiła ich samych. Stefan poczekał, aż zamknie się drzwi i wyjął z kieszeni plastykową fiolkę. Wprawnym ruchem strzepnął na dłoń jedną pastylkę, zerkając w górę tak jakby chciał przeprosić Tomasza.

— Pewnie chcesz wiedzieć, co się kryje pod ogólnikami, jakimi raczyłem cię w liście? — stwierdził, łykając na sucho tabletkę.

Tomasz potaknął i odchylił się do tyłu, odsuwając kotarę pobliskiego okna. Za przejrzystą firanką widać było masyw lasu rozświetlony u góry latarnią niewidocznego stąd księżyca.

— Ładnie, prawda?

Mimowolnie potaknął.

— Chyba dlatego ten pensjonat nigdy nie narzeka na brak chętnych. Ale... — Stefan zachichotał. — Kolejek też nigdy nie mamy.

Przerwał, aby odchrząknąć.

— Człowiek, o którym chcę ci opowiedzieć został do nas przywieziony dwa lata temu. Młoda para, z którą przyjechał nie była dla niego, jak sądzę, nawet rodziną. On sam nigdy nie chciał na ten temat mówić. Faktem jest, że opłacili za jego pięcioletni pobyt z góry i odjechali, nie zostawiając adresu, gdzie przesyła się informacje. Staruszek wyglądał na zadowolonego z zaistniałej sytuacji. Dopiero później zrozumiałem, że było mu to po prostu obojętne. Wyglądał o wiele starzej niż był w rzeczywistości. Pokryty woskowatą skórą pełną zmarszczek i plam, z pająkowatymi kośćmi rąk i osadzoną na chudej szyi dużą głową, był najgorzej wyglądającym pacjentem w naszym pensjonacie. Wstyd się przyznać, lecz w dniu odwiedzin zawsze nakłanialiśmy go, aby pozostawał w pokoju. Baliśmy się, że jego wygląd może nasuwać komuś paskudne myśli.

Przerwał, aby wykonać parę w zasadzie zbędnych gestów. Świszcząc nabrał powietrza.

— Chyba po trzech miesiącach zacząłem z nim rozmawiać inaczej niż z innymi. Ku memu osłupieniu posiadał wiedzę bez porównania większą od mojej i był urodzonym erudytą. Lecz musisz wiedzieć, że tylko niektóre sprawy go interesowały. Do codziennych, tych ludzkich większych i mniejszych problemów odnosił się może nie tyle z pobłażaniem, co z brakiem zainteresowania. Za to zadziwiał mnie w chwilach, gdy poruszaliśmy kwestie egzystencji ludzkiej, człowieczeństwa, bytu. Potrafiliśmy mówić aż do samego rana.

Westchnął ciężko.

— Ale wyobraź sobie, iż mimo że spotykaliśmy się ponad rok, nigdy, ale to nigdy nie zdradził mi swojego największego sekretu. Naturalnie teraz, gdy przypominam sobie słowa i gesty widzę to jedno wspólne źródło, z którego wypływały jego myśli. Niestety, nigdy nie będę mógł z nim o tym pomówić.

Uśmiechnął się, jakby przepraszająco.

— Zmarł dwa miesiące temu. Miał lekką śmierć, odszedł we śnie. Mnie zaś zostawił list i swój sekret — zawahał się przez moment — Chodź. Najlepiej będzie jak ci to pokażę. Jest to coś niesamowitego, nie do uwierzenia — dodał, już trochę nieobecnym głosem i podszedł do drzwi.

Tomasz wydął wargi w grymasie dezaprobaty i grając dla niewidzialnego widza zrobił minę na pół lekceważącą, a na pół pobłażliwą i podejrzanie sprężystym krokiem wyszedł na korytarz.

Podążał metr za Stefanem, zza drzwi, które mijali dobiegł cichy chichot. Zwolnił, starał się umiejscowić i rozpoznać źródło dźwięku, ale śmiech umilkł, za szybko, jak na przypadek. Ktoś głośno oddychał, potem zamilkł i rozległ się cichy tupot. Był już teraz pewien, że ślina temu kretynowi za drzwiami musi skapywać z wpół otwartych ust wprost na podłogę. Uśmiechnął się z politowaniem i szybkim krokiem podążył za skręcającym na schody.

Na półpiętrze Stefan otworzył okratowane drzwi z napisem „wejście dla personelu". Przepuścił Tomasza i starannie zamknął za nim kratę. Tu powietrze było jeszcze bardziej gęste i lepkimi haustami wpadało do płuc. Minęli zakręt korytarza. Nie wiedząc dlaczego, Tomasz już z daleka rozpoznał drzwi, do których zdążali, mimo że niczym nie wyróżniały się z całego szeregu identycznych, ciągnących się ku następnemu załomowi korytarza.

Rażące światło umieszczonych pod sufitem rtęciówek oślepiło go zaraz po wejściu.

— Aj... — jęknął przepraszająco Stefan i ruszył przełącznikiem. — Miał tu być kiedyś gabinet zabiegowy.

W pokoju zapadł półmrok roztańczony mnóstwem plamek wirujących Tomaszowi przed oczyma. Przecierając powieki zauważył, jak Stefan wyjmuje coś z szafki i kładzie na stole.

— Masz przed sobą szklaną kulę wytopioną z mieszaniny o dokładnie wymierzonych proporcjach, posiadającą pewną konkretną wielkość. Zaznaczam to, gdyż jej wymiary mają pierwszorzędne znaczenie. To właśnie ona, sposób jej wytworzenia były sekretem tego człowieka.

Ręka Stefana spoczywała na idealnej kulistej bryle szkła, wielkości ludzkiej głowy. Nie wiadomo kiedy zapalona lampka pod oknem dawała światło, które rozszczepiało się we wnętrzu kuli tworząc wokół obrysu migoczącą sferę, podobną do aureoli. Z tyłu, za drzwiami ktoś cicho stąpał korytarzem. Gdy mijał pokój, usłyszeli szklane brzęczenie, tak charakterystyczne dla niesionych na tacy lekarstw.

— Powiem ci to co było w liście do mnie, gdyż sam nie wiem niczego więcej. Podobno sposób wykonania tej kuli znany był już w starożytnej Grecji, później dowiedzieli się o niej Galileusz, Kant, Newton i iani wielcy swoich epok. Nie mam pojęcia skąd ten człowiek dowiedział się o niej. Nawet nie będę wysuwał przypuszczeń.

Nagle roześmiał się tak niespodziewanie, że Tomasz począł tęsknić do jaskrawego światła.

— Wybacz, ale dopiero w tej chwili skojarzyłem sobie, że jeszcze ani słowem nie wspomniałem ci o samym działaniu. Otóż kula ma tę własność, że jeżeli w jej otoczeniu będzie człowiek, który skoncentruje myśli na uczuciu nadziei, to uniesie się ona w górę na kilkadziesiąt centymetrów.

— Jakiej nadziei? — Tomasz był pewien, że się przesłyszał.

— Jakby ci to powiedzieć? — Stefan pstryknął palcami. — Musisz czuć, że wierzysz w spełnienie czegoś, jakiejś rzeczy konkretnej albo nawet niesprecyzowanej, byłebyś odczuwał nadzieję i wiarę w spełnienie, chociażby sensu twego życia. Niestety, mówię strasznie nieprecyzyjnie, ale chcę oddać ci istotę sprawy.

— Jak mam rozumieć, że ona się unosi?

Stefan uśmiechnął się. Jak na sygnał, leżąca dotąd w bezruchu kula uniosła się nad stołem.

— To ty?

— Nie, to ona sama. Ja tylko pomyślałem.

— Żartujesz?!

Kula, jakby spłoszona wymianą zdań, opadła na stół.

— Widzisz — wskazał Stefan palcem. — Zapomniałem o niej.

Tomasz żachnął się.

— Chyba nie powiesz...

— Moment — Stefan powstrzymał go gestem ręki. — To jeszcze nie wszystko. Tę właściwość posiada tylko i wyłącznie kula o takich parametrach. Gdybyś choć trochę je zmienił, nic by się nie działo. A tak, masz coś, co zaprzecza prawom fizyki. W świetle dzisiejszej nauki jest niewytłumaczalne. Zapewniam cię, że ponad miesiąc badałem całe zjawisko, wertując mnóstwo publikacji z fizyki, psychologii, neurologii, parapsychologii i czort jeszcze wie czego.

Nic. Rozumiesz? Nic mi to nie dało. Żadne magnesy, pola biologiczne czy inne cuda. To im się nie poddaje. Jest po prostu punktem osobliwym naszego wszechświata. Zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju.

Umilkł, chyba przejęty tym co mówił. Tomasz uniósł głowę opartą dotąd o zaciśnięte pięści.

— Załóżmy, że ci uwierzę, ale o ile rozumiem, ja też powinienem potrafić unieść kulę.

— Co to znaczy mieć nadzieję? — pomyślał. — Życie jest takie, jakie jest. Niczego rewelacyjnego, burzącego mój światopogląd nie oczekuję i na co tu ja mogę mieć nadzieję. Że dostanę przeniesienie?... niby mam na to nadzieję.

Kula leżała obojętnie, aż do momentu, kiedy zrobiło mu się całkiem nieswojo.

— Prawie, że mnie nabrałeś — zaśmiał się, nie wiedząc, czy ma się obrazić, czy też uciec w żart.

Stefan pokręcił przecząco głową.

— To nie jest głupi kawał. Ty jeszcze nie rozumiesz, co to znaczy mieć nadzieję. Boję się, że pojmujesz to zbyt uproszczenie. Sądzę, że powinniśmy tak zrobić, ja teraz wyjdę i zostawię cię samego. Będę siedział w pokoju obok, drugie drzwi na prawo. Jak będziesz chciał, to tam mnie znajdziesz. Nie rezygnuj tak łatwo.

Nie wiadomo dlaczego zrobiło mu się gorąco. Może dlatego, a może z całkiem innego powodu siedział nieruchomo na krześle pozwalając, aby tamten zostawił go samego. Cisza.

Za kotarą, na okuciach okiennych tańczył blask księżyca. Materiał był zakurzony i opierając się o parapet omal nie kichnął. Przystawiając czoło do szyby nie udało mu się dojrzeć niczego nadzwyczajnego. Popielate niebo przeglądało się w sadzawce z utopionym kręgiem księżyca.

— A jeśli on mówi to poważnie... — wykrzywił wargi. — Bardziej wygląda to na oryginalny sposób terapii. Ale załóżmy...

— W co ja mam wierzyć? Że coś się zmieni? Co?! Życie jest takie, jakie jest. W zasadzie można się spodziewać niczego nadzwyczajnego. Wszystko biegnie według ustalonych schematów i jedyną trudnością jest ich mnogość. Naturalnie spotyka się rzeczy nieznane, które człowieka zaskakują, lecz jest to tylko jeden ze schematów tego cholernego, biegnącego zawsze tymi samymi drogami świata. Spodziewając się rzeczy nieznanych, przestają być one dla mnie niespodziewanymi. Więc u diabła, w co ja mam wierzyć?

Wrócił na środek pokoju i z lekkim drżeniem ujął w ręce kulę. Spocone dłonie groziły stłuczeniem, lecz przyjemność trzymania chłodnego szkła wynagradzała ryzyko.

— Stefan nie jest głupi. Jeśli badał to cudo, to z pewnością nie przeoczył jakiegoś prostego i naturalnego wytłumaczenia. Chociaż tak właściwie, wystarcza sam fakt, że zrobienie kuli różniącej się nawet minimalnie parametrami powoduje zniknięcie efektu. Mamy więc do czynienia rzekłbym z wymiarami doskonałymi, nieomal absolutnymi. Właśnie, absolut!

Delikatnie pomasował koniuszkami palców szkło, chcąc jakby podkreślić jego realność zamkniętą w krzywiźnie kształtu.

— Byłoby to jedyne odstępstwo od determinizmu naszego wszechświata, jak to nazwał Stefan, byłby to punkt osobliwy naszej materialnej rzeczywistości, nie podlegający jej prawom, wymykający się wszelkim próbom opisu. Wierzący widzieliby w tym ślad Stwórcy, swoisty podpis Boga przypominający ludziom o ich miejscu. Dla materialistów byłby to pretekst do wytoczenia mnóstwa teorii i hipotez, równie słusznych jak i bezsensownych, zważywszy absolutną odrębność badanego obiektu od tego na czym do tej pory budowali swój aparat pojęciowy. Cha... to myślenie o nadziei, chyba by ich najbardziej drażniło. Ale i tak uznano by zapewne, że to zjawisko jest niewytłumaczalne w dzisiejszym modelu pojmowania świata, ale za jakiś czas, gdy powstanie model ogólniejszy, zawierający jako część składową nasze dzisiejsze pojęcia, to z pewnością znajdzie ono swoje klarowne i naturalne wytłumaczenie.

Usiadł na krześle, tyłem do drzwi.

— Lecz jeśli uznamy to za obiektywnie istniejący punkt osobliwy naszego wszechświata, przyjdzie stwierdzić, że świat przestaje być splotem wydarzeń, gdzie w zasadzie wszystko jest wiadome i spodziewane. Świat staje się znów potencjalnie tajemniczy, intrygujący i co by nie mówić wart oczekiwania i życia w nim.

— Przymknął oczy nie zauważając, że szepcze sam do siebie.

— Mgła się rozwiewa i wokół drogi, którą dążyłem dostrzegłem najróżniejsze możliwości, może nawet dostrzegane przedtem, ale uznane za bezbarwne i skazane na pustość spełnienia. A wystarczy tylko znaleźć punkt wyjścia. Kto wie, może każdy potrafi znaleźć swój punkt osobliwy.

Roześmiał się na głos, trochę rozbawiony, a trochę zadowolony z finiszu biegu swych myśli.

— To dobrze wpływa na samopoczucie — dodał w duchu, kładąc kulę na stół.

— Ciekawe, czy Stefan doszedł do podobnych wniosków?

Dopiero będąc przy samych drzwiach zrozumiał czego mu brakowało. Kula położona przez roztargnienie prawie przy krawędzi musiałaby nieuchronnie spaść na podłogę. Szarpnął głowę, nie dowierzając sobie, nie wierząc w to co ujrzy. Kula wisiała nad podłogą i lekko drżała w rytm jego oddechu. Idąc tyłem otworzył drzwi i nie spuszczając kuli z oczu zawołał w głąb korytarza.

— Stefan! — cichy głos zamarł po paru krokach.

Zawahał się przez moment, lecz już po chwili powtórzył okrzyk.

— Stefan!

1 Spojrzenie znad szachownicy

Odkręcanie śruby

1.

Została zluzowana, czy raczej odkręcona o parę obrotów gwintu śruba podatku wyrównawczego, no i bardzo dobrze, znów chodzimy nogami po ziemi, zamiast roić sobie, że rozkosznie fruwamy w powietrzu, gdy w istocie czołgaliśmy się do tyłu.

Oczywiście Skarb Państwa — i to państwa w tak wysokim stopniu opiekuńczego jak nasze, wydatkującego olbrzymie sumy na różnorodne świadczenia socjalne — gwałtownie potrzebuje pieniędzy i musi w różnorodny sposób powiększać swoje dochody. Oczywistym jest jednak również, że jeszcze drastyczniej odczuwalny jest brak równowagi, brak towarowego pokrycia na owe miliony i miliardy złotówek pętających się po rynku.

Nawet taki ekonomiczny baran jak ja rozumie, że aby owe pieniądze związać i równowagę odzyskać, trzeba wydatnie zwiększać produkcję i to przede wszystkim w grupie towarów rynkowych. A tu tymczasem cholerne krasnoludki pochowały się pod grzybkami i ani rusz nie chcą się brać do roboty, wielu znakomitych fachowców odeszło na nieszczęsne przedwczesne emerytury, które odbijają się nam i będą jeszcze odbijać długoletnią czkawką, słowem całą pracę musi wykonać część populacji znajdująca się aktualnie w wieku produkcyjnym. W nadgodzinach, przy zwiększonej wydajności, zawsze jednak za dodatkowe pieniądze, jeśli ktoś wraca bowiem do domu wieczorem zmordowany jak bury osioł, chciałby ze sobą przynieść tych parę złotych.

Zrozumiałe więc, że podatek wyrównawczy — obejmujący coraz większą ilość wysoko kwalifikowanych i bardzo wysoko wydajnych robotników, ludzi bezpośrednio związanych z produkcją — zaczął działać jako antybodziec, hamująco po prostu. Rada Ministrów przeanalizowała napływające sygnały — w tym i prasowe, jak sądzę — uznała ich zasadność i zrewidowała swoje wcześniejsze stanowisko; ciekawe teraz czy podobną odwagę wykaże również autor „Ociosywania mgły" i ociosa cokolwiek głoszone z naiwnością dużego dziecka poglądy w tej materii. Co innego bowiem napływające przez ZAiKS tantiemy za dawno napisane utwory — jest to bowiem coś w rodzaju odcinania kuponów od akcji — a co innego praca, którą trzeba wciąż i wciąż wykonywać od nowa.

2.

Być może jednak rozmawiamy jak ślepi o kolorach, komunikaty PAP dość mętnie informowały bowiem o dokonanych zmianach, za Dziennikiem Ustaw PRL nr 28 z dnia 28 maja br., pozwolę sobie przeto podać parę szczegółów.

Przede wszystkim podwyższa się kwotę dochodu nie podlegającego opodatkowaniu do kwoty stanowiącej dwukrotność przeciętnej płacy w gospodarce uspołecznionej za rok ubiegły, a więc do 340 tysięcy zł w skali rocznej. Przypomnę, że taki był duch ustawy sejmowej. Rada Ministrów uznała więc realia.

Została poważnie złagodzona skala progresji, zwłaszcza w górnej połowie tabeli. Przy pierwszych 24 tysiącach przekroczenia płacimy zaledwie 5% podatku, a więc głupich 1200 zł. Przy następnych 24 tysiącach podatek wynosi 8%, potem 11% Dalsze „obroty gwintu" są jakby wolniejsze, przedziały obejmują 36 tys. zł, 48 tys zł, no i tak dalej.

Przypuśćmy, że ktoś zarobił aż 540 tysięcy — płaci 27.840 złotych podatku wyrównawczego. No a milion? Równego miliona tabela nie uwzględnia, musiałbym dokonywać obliczeń, a matematyka nie jest moją specjalnością. Mamy jednak sumę zbliżoną: milion dwadzieścia tysięcy (1.020.000 — ładnie to wygląda). Wówczas podatek jest już wcale sympatyczny, 216.720 złotych. Pokaźna kwota, no ale dochód też jest pokaźny.

Wreszcie ostatnia pozycja w tabeli, jakiś pracowity geniusz zarobił równe półtora miliona. Wówczas takiemu będzie łyso — podatek wyniesie 516.720 złotych i 75% od kwoty ponad półtora miliona. Brzmi to groźnie, osobiście nie znam jednak człowieka, który w gospodarce uspołecznionej zarabiałby takie pieniądze.

Jest i jeszcze jedna bardzo istotna zmiana. Otóż z sum do opodatkowania wyłącza się — cytuję dosłownie — „... **wynagrodzenia za pracę w godzinach nadliczbowych oraz dodatki funkcyjne w przypadkach, gdy pracownikom pobierającym dodatek funkcyjny nie przysługuje wynagrodzenie za pracę w godzinach nadliczbowych.**"

I znów bardzo słusznie, przy uprzednio obowiązujących przepisach podatek wyrównawczy mógł bowiem w znacznym stopniu pożreć jedno i drugie. Godziny nadliczbowe — a często bywają one smutną koniecznością — przestawały się niejako opłacać, podobnie zresztą jak spełnianie odpowiedzialnych, a przez to i bardzo czasochłonnych funkcji.

3.

Morał wywiódłbym taki. Za czasów Edwarda Gierka wszystkie posunięcia szeroko rozumianej władzy były, przynajmniej publicznie, pochwalane i oklaskiwane. Za czasów bytej „Solidarności" wręcz odwrotnie — oprotestowywane. Dzisiaj, choć nie zawsze dość wartko, toczy się dialog; władza wsłuchuje się w głos opinii publicznej, wysuwa własne argumenty wyciąga wnioski, a gdy trzeba potrafi też przyznać się do popełnionych błędów.

Korekta przepisów o podatku wyrównawczym jest tego dowodem, choć nie wiem, dlaczego cała sprawa aż tak bardzo interesowała korespondentów prasy zagranicznej, że do znudzenia indagowali na ten temat ministra Jerzego Urbana (patrz stenogramy w „Rzeczypospolitej"). W końcu oni też płacą podobne podatki, tyle że u siebie w domu.

JERZY P.

2 Nagle zastępstwo

Czy trzeba nam świętych?

Generalnie o zdrowie Polaków dbają panowie: minister Szelachowski ze swoją ekipą, Nardelli i Fellmann. Okazyjnie jeszcze, z doskoku, pan Harris. Widać jednak zbiorowe wysiłki wyżej wymienionych nie wystarczają, bowiem w sukurs idą im sami święci. Gdzieś w Oławie Matka Boska zaangażowała do tej sprawy jakiegoś posiadacza ogródka działkowego. Facet leczy hurtowo (czyli mniej więcej tak jak Harris czy Fellmann) tyle że pod osobistym nadzorem świętej, z którą odbywa często narady. Tak przynajmniej oświadczyła reporterowi małżonka cudotwórcy: „Rozmawia z Matką Boską jak ja teraz z panem".

Efektem tych uzdrowicielskich praktyk jest podobno — oprócz całej masy podskakujących z radości ozdrowieńców — dewastacja okolicznych ogródków działkowych, co zasmuca zarówno milicję, jak i związki zawodowe, sprawujące nad tymi działkami pieczę. Na hasłowe już dziś pytanie: — „Czy możemy wyżywić się sami?" działkowicze z Oławy odpowiadają przecząco, w czym są podobni do sekretarza KC, towarzysza Michałka,

W drugim natomiast końcu ojczyzny, która jest jak zdrowie, w Puławach, powstała kolejna agenda niebiańskiej służby zdrowia. Ulokowana jest poręcznie, w ogrodzie miejskiego szpitala. Tam także występuje Matka Boska, tyle że nie sama, a na czele całego zespołu opieki zdrowotnej, składającej się z grupy świętych różnych specjalności. W pobliżu pawilonu chirurgii twardej, gdzie lekarze mozolnie składają do kupy ofiary automobilowo-alkoholowych fantazji rodaków umieszczony jest wśród gałęzi i listowia święty Krzysztof. Nie opodal, gdzie oddział chirurgii miękkiej, a w nim liczni poparzeńcy, wspomaga oficjalną medycynę święty Florian itd. itp.

W pogodne popołudnie rozmyślałem sobie, że moja Łódź — jak zwykle — daleka jest od krajowej czołówki. Jakby to było miło, gdyby np. w parku Poniatowskiego, nie opodal Polikliniki WAM można było zasięgnąć bezpłatnej porady lekarskiej u świętego dowolnego obrządku. Albo np. w ogródkach działkowych naprzeciw Pogotowia Ratunkowego prosperowałaby poradnia seksualno-małżeńska prowadzona — dajmy na to — przez Marię Magdalenę.

Rozmyślania przerwał mi chudy, łysawy jegomość w wyświechtanym surducie. Wszedł do mego pokoju nie wiadomo skąd i jak, siedział teraz na wprost mnie. Nic nie mówił, uśmiechał się tylko krzywo, ironicznie...

Wreszcie przemówił:

— Czy pan nie słyszał, monsieur Charles, takiej maksymy: „Jeśli Bóg nie istnieje, należy go stworzyć"?

— Oczywiście słyszałem, być może brzmiała ona nieco inaczej, chyba „Jeśliby Bóg nie istniał, należałoby go stworzyć", ale sens jest ten sam...

— Być może, wymyśliłem ją przeszło dwieście lat temu i dokładnie nie pamiętam.

Wtedy zrozumiałem skąd znam zgarbionego chudeusza!

— Toż to Voltaire, sam Voltaire! — wykrzyknąłem.

— Owszem, to ja — odpowiedział gość i kontynuował: — jeśli można wymyślić Boga, to tym bardziej można wymyślić świętych. Wymyśla się ich w miarę potrzeb. Jeśli zatem w pańskim pięknym kraju mnożą się święci wyręczający medyków, to oznacza to zapewne, iż medycy owi nie troszczą się należycie o zdrowie obywateli lub żądają zbyt wygórowanych honorariów, bądź też jest ich po prostu za mało? Czyżby Polacy, których pamiętam jako ludzi krzepkich i wesołych, tak bardzo się zmienili? A może pańską ojczyznę dotknęła jakaś epidemia?

— Nie, skądże — odparłem — od wielkich epidemii uwolniliśmy się już dawno, lekarzy mamy więcej niż kiedykolwiek, a honoraria medyków należą do przeszłości. Każdy obywatel mego kraju — no, prawie każdy — może się leczyć za darmo, na koszt państwa!

— Na koszt państwa? Zdumiewające... Domyślam się, że do takiego bogactwa mógł doprowadzić kraj tylko monarcha absolutny, a przy tym oświecony i wspaniałomyślny. Gratuluję!

— Dziękuję, ale akurat nie mamy u nas monarchii, wprost przeciwnie, republikę. Co do bogactwa zaś, to owszem, rozbudowaliśmy przemysł, tylko ostatnio jakby, no, przejściowo oczywiście, ale... krótko mówiąc, mamy długi...

— Ach tak? Długi rządzących, czy to monarchów, czy wodzów republik, spłacają zawsze poddani. Podatki rosną?

— Tak, właśnie wprowadzono nowe, ale to nas nie bardzo ratuje, bo długi walutowe...

— Polacy zawsze byli oryginalni. Jeśli mówi pan prawdę, to powinniście mieć zapotrzebowanie nie na świętych, leczących chore ciała, ale na świętych, leczących chore kiesy Taki na przykład Antoni Padewski, specjalista od zgub, powinien mieć w waszym kraju liczne świątynie i kaplice! Na mnie już czas. Umówiłem się na partyjkę taroka z Tomaszem z Akwinu i Fryderykiem Engelsem. Dobrze się składa, porozmawiam z nimi o tym, czego się od pana dowiedziałem. Może oni coś z tego rozumieją? Żegnam.

— Bon soir monsieur Voltaire — wybąkałem, bo chciałem być elegancki jak de Gaulle i powiedzieć coś w języku mojego gościa — Bon soir!

Ocknąłem się po dłuższej chwili dopiero. Przedtem jeszcze śnił mi się gmach Komisji Planowania URM przy placu Trzech Krzyży, nad którym widać było ogromną postać świętego Antoniego z wielkim workiem dolarów. Mały człowieczek, klęczący u stóp świętego był uderzająco podobny do ministra Nieckarza.

ANDRZEJ KAROL

3 Lewym okiem

Perma — nentne rewizje

Głosy rewizjonistów zachodnioniemieckich, dotyczące naszych ziem zachodnich, nigdy nie umilkły całkowicie, a ostatnio znów przybierają na sile. Znów czytamy o gromkich przemówieniach coraz to wyższych dostojników bońskich i słyszymy o listach, nadsyłanych naszym rodakom mieszkającym na Opolszczyźnie, w Szczecińskiem i na Mazurach. Niemieccy szowiniści raz na zawsze uznali ziemie Słowian za łup, który wcześniej czy później musi im przypaść w udziale. Dziś mówią oni o terytorium w granicach z 1937 roku. Przez całe międzywojenne dwudziestolecie granice te nie były jednak uznawane przez nich, przeciwnie — dyplomacja i propaganda niemiecka nie ustawały w głoszeniu „wersalskiej krzywdy", która oderwała od pnia germańskiego część Śląska, Pomorze i sławetny „korytarz". To był jeden z najbardziej zapalnych punktów europejskiego pokoju i — jak wiemy — tu właśnie iskra została rzucona na beczkę z prochem. Właśnie z powodu „granic z 1937 roku".

W roku 1931 ukazała się w Warszawie świetna książka Stanisława Dangla — „Na drogach do odwetu". Mam ją w ręku i zdumiewa mnie to, jak znakomicie zorientowany był autor w prasie i politycznej literaturze niemieckiej, jak wyraźne były ostrzeżenia kierowane do czynników rządzących w kraju i w ogóle do opinii publicznej, jak dokładnie przewidywał rozwój wypadków, który — jak nam się wówczas wydawało — zaskoczył Polskę we wrześniu 1939 roku. Czytam to wszystko i dochodzę do pesymistycznego wniosku, że nic nie pomogą głosy rozsądku ani argumenty fachowców, ani nauki dawane przez historię; zawsze będzie jakieś „zaskoczenie", a cała mądrość przed i po szkodzie obrośnie tylko nową warstwą kurzu na bibliotecznych półkach.

Tak więc Stanisław Dangel dowodził, że w latach 1919—1931 (później tym bardziej) Niemcy domagali się granic sprzed pierwszej wojny światowej. Czy jednak tamte granice stanowiły z kolei naprawdę maksymalne aspiracje terytorialne Niemców?

W roku 1911, a więc przed pierwszą wojną światową, w sytuacji trójzaborów, gdy granice Niemiec sięgały do Wisły, niejaki Otton Richard Tannenberg ogłosił dzieło „Gross Deutschland", w którym domagał się... rewizji tamtych granic, oczywiście na korzyść Niemiec! Jak widzimy — rewizjonizm niemiecki ma długą historię i należałoby go raczej nazwać aneksjonizmem. Książkę Tannenberga przetłumaczyli w 1916 roku Francuzi („La plus Grande Allemagne — l'oeuvre du XX-iem siecle") nazywając ją „najzupełniej idiotyczną", ale przecież nie tak nazywali ją czytelnicy niemieccy. Tannenberg domagał się na zachodzie aneksji Holandii, Belgii, Luksemburga i Szwajcarii. Francja powinna by według niego odstąpić ponad 17 tys. km kw.:

„Okręg ten jest obecnie słabo zaludniony, liczy 69 mieszkańców na jeden km kw." Jest to zaledwie połowa gęstości zaludnienia w Niemczech. Francja da schronienie ludności tego terytorium i osiedli ją gdzie indziej. Ewakuacja winna odbyć się w przeciągu jednego roku od dnia podpisania traktatu pokojowego..."

Na wschodzie niemieckimi powinny się stać: Litwa i Białoruś do Dniepru i Prypeci, Czechy, Śląsk, Austria, Tyrol, Istria oraz część Chorwacji i Dalmacji. Dawną Kongresówkę powinna objąć nowa monarchia Habsburgów, spadkobierczyni Austro-Węgier, obejmująca poza częścią Polski Rumunię, Węgry, pozostałą część Jugosławii, Bułgarię, Albanię i Grecję. Państwo niemieckie sięgnęłoby rozmiarów 1.150 tysięcy km kw., niezależnie od kolonii, którymi powinny stać się: większa część Ameryki Południowej, cała Afryka środkowa, Maroko, Madagaskar, Azja Mniejsza, część Arabii, Chiny, Syjam i wielka część Polinezji. W 1950 roku w samej Europie Wielkie Niemcy liczyłyby już 120 milionów obywateli czystej krwi niemieckiej — Rosja podda się wówczas bez oporu ich wpływom i stanie się terenem niemieckiej ekspansji...

Ekspansji! Czyli dalszych „rewizji" granic. Program doprawdy nie z tej ziemi. Ale przecież został sformułowany. Na kilka lat przed Sarajewem, po którym nastąpił Wersal, a trochę później — Poczdam. Co jeden etap w historii więcej — to ciaśniejsze — z konieczności — granice stają się przedmiotem niemieckich kampanii rewizjonistycznych. Czy to o czymś nie świadczy?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Na luzie?

Nie tygodnie, ale dni pozostały do wyjazdu naszych milusińskich na kolonie, obozy. Co troskliwsze mamusie biegają po sklepach w poszukiwaniu adidasów, tenisówek. W innych domach z utęsknieniem oczekuje się, kiedy wreszcie ten uprzykrzony smarkacz zniknie chociaż na jakiś czas, a z nim kłopoty, gotowanie obiadów, przepierki itp. Placówki opiekuńczo-wychowawcze w przedurlopowej gorączce czynią ostatnie przygotowania, aby zdążyć rozesłać na okres wakacji swoich podopiecznych w Polskę. Za parę chwil wszystkie te dzieci z najrozmaitszych środowisk znajdą się w kolonijnych grupach — razem spędzą prawie miesiąc.

Mój przyjaciel, który przez wiele lat z rzędu prowadził placówki wypoczynkowe dla dzieci i młodzieży podzielił się kilkoma niewesołymi uwagami. Sądzę, że przydadzą się rodzicom, organizatorom, a także kolonijnym opiekunom, którzy zajmując się dwudziestką wisusów żądnych wrażeń, na okrągło, przez całą dobę nierzadko mają twardy orzech do zgryzienia.

Podwaliny najistotniejszych przeszkód w harmonijnym radosnym życiu pod jednym dachem stwarzają sami rodzice. Letnie zgrupowanie dzieci nie może być w żadnym wypadku rewią mody. A czegóż to nie przywożą z sobą młodzi „wczasowicze" oprócz peweksowskich ciuchów, importowanych majteczek z kwiatami, motylkami? Są turystyczne telewizory, radia, własny sprzęt sportowy i sążniste kieszonkowe sięgające często kilku tysięcy. Obok nich w tej samej sali wypoczywać będzie chłopak z przeciętnego domu, skromnie ubrany, dzieciak z marginesu społecznego z jedną parą butów, bez pidżamy i zmiany bielizny osobistej, także wychowankowie domów dziecka, czasami wręcz żenująco wyposażeni. Można zrozumieć, kiedy to syn czy córka z domów alkoholików przyjeżdżają w jednych spodniach, ale żeby placówka państwowa wysyłała malucha bez ręcznika, szczotki do zębów, w jednych majtkach — to trudno pojąć, a zdarza się, wcale nierzadko.

Antagonizmy wśród dzieci, zazdrość od pierwszych dni, nawet już w czasie podróży uniemożliwiają porozumienie, zdrowy, przyjemny wypoczynek. Wychowawca zabierze pieniądze, żeby nie poginęły i zamieni się w kasjera podczas wycieczek. Kierownik zarekwiruje telewizor, radio, magnetofon, aby na czas przerwy nocnej wypoczynek był rzetelny. Osobisty sprzęt sportowy, tak samo jak skórzane spodnie czy balowa sukienka staną się przedmiotem pożądania, zazdrości reszty dzieciaków. Zdarzyć się może, iż w momencie nieuwagi zostaną pocięte czy zwyczajnie zginą.

Nie przyczyniajmy dodatkowych kłopotów ani dzieciom, ani opiekunom. Ubierajmy młodzież praktycznie, aby czuła się na luzie. Potrzebny jest dres, ciepły sweter, nieprzemakalna kurtka, kalosze, letnie ubranie, zmiany bielizny itp. — wszystko to, co i dorosłym. Sukienka na wieczorek taneczny, elegancka koszula też się przyda, ale bez przesady. Dajmy im naprawdę wypocząć, nie uczmy pychy, nie stwarzajmy niepotrzebnych barier, przyjdzie na nie czas w dorosłym życiu...

Dużo kłopotów — narzekał mój przyjaciel — stwarza również sama kadra. Najgorsze co mogło mnie spotkać, była to przemożna chęć aktywnego, nocnego wypoczynku. Dobrze, gdy kolonie czy obozy mieściły się w „dziurze zabitej deskami", gorzej jeśli w atrakcyjnej miejscowości wypoczynkowej. Współpraca, z której korzystały dzieci — wspólne zabawy, imprezy sportowe odbywały się w dzień. Wychowawcy współpracować chcieli wieczorem, przy butelce, kartach, na dancingu w pobliskim lokalu. Ile to było pretensji i żalów — nie pozwalał. Jego kadra nie mogła wypić nawet butelki piwa, psioczył, wypominali:

— Nawet smarkaci harcerze, nie mówiąc już o instruktorach z sąsiedniego obozu, piją piwo publicznie w kiosku. Nas się traktuje niepoważnie! Nawet spać musimy chodzić z kurami! Obóz karny, czy co?

Buntowali się nauczyciele, studenci, jednakowo gnało ich na tańce, do kielicha. Przyjechali tu przecież nie tylko do pracy, ale także wypocząć. Jakże mogłem pozwolić na nocne życie — tłumaczył mi przyjaciel. Wracaliby dopiero rano. Później wyprowadzali dzieci w las albo nad wodę, sami zaś na kocu przesypialiby dzień snem sprawiedliwym. Kto pracowałby z dzieciakami? Gdzie organizacja zabaw, zapewnienie bezpieczeństwa? Grupa to nie sterta papierów, która czas niedyspozycji może przeczekać na biurku.

Faktycznie pijaństwo kadry na koloniach jest nie mniejsze niż wczasowiczów. A poczucie odpowiedzialności za powierzone dzieci? Miejmy nadzieję że nowa ustawa antyalkoholowa zrobi swoje. Jednak w tym wypadku najważniejszy jest właściwy dobór kadry kierowniczej, z prawdziwego zdarzenia. Warto na to zwrócić uwagę!

Błędem jest również propagowane twierdzenie, iż każdy nauczyciel może być wychowawcą kolonijnym. Zdarza się, że tutaj nie sprawdza się nawet najlepszy. Praca na kolonii mało ma wspólnego z nauką szkolną. Chłopak przy stole, w łóżku, w wodzie, hasający po polu, lesie — to nie uczeń w ławce. Opieka musi być staranna, wszechstronna, a nade wszystko wyostrzone poczucie odpowiedzialności za zdrowie za życie dziecka! Właśnie z tym jest najwięcej kłopotów. I tego trzeba wymagać konsekwentnie, na każdym kroku od sezonowych opiekunów naszych pociech.

MŚCIWÓJ ZASADNY

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 24

Honor mężczyzny

— Z pana Porwasza także człowiek honorowy.

— Nie tak honorowy, jak leśniczy Turlej — odrzekł cieśla Sewruk. — Pan Turlej strzelał z dołu, a tamten z balkonu.

Zachichotał Szczepan Żaryn:

— A jakże mógł zejść na dół, skoro był w kalesonach? Może właśnie na pani Halince sobie leżał, kiedy się Turlej pojawił.

— Tak, ojciec, pan Porwasz był w kalesonach — przyświadczyli synowie Sewruka.

Pomyślał dłuższą chwilę cieśla Sewruk, a potem rzekł:

— Obydwaj byli honorowi. Bardzo honorowi.

I jeszcze tego samego dnia w całej wiosce wiedziano, że pani Halinka odeszła od leśniczego Turleja i przeprowadziła się do domu malarza Porwasza. Ani Turlej jednak, ani Porwasz nie odnieśli w tej sprawie żadnego szwanku na honorze, jako że wszystko między sobą załatwili po męsku, odgłos strzałów słyszano nawet w najdalszej zagrodzie.

Nazajutrz wieść o wydarzeniu w Skiroławkach zaniosła proboszczowi Mizererze pewna bogobojna niewiasta. A że było to w porze obiadu, Mizerera posadził ową niewiastę przy swoim stole, aby widziała, że proboszcz w Trumiejkach jada tłusto i godnie.

— Powiadacie, dobra kobieto, że pani Halinka odeszła od leśniczego Turleja — rozważał proboszcz podnosząc do ust łyżkę z rosołem. — No cóż, nie mieli ze sobą ślubu kościelnego, czyli pozostawali w grzesznym związku. Opuściła więc pani Halinka jeden grzeszny związek i weszła w drugi grzeszny związek, co się wykłada, moja kobieto, że nic się właściwie nie zmieniło. Jedno mnie tylko niepokoi: czy po męsku załatwili między sobą tę sprawę?

— Oj, po męsku, bardzo po męsku — powiedziała bogobojna niewiasta. — Trzy razy wystrzelił leśniczy Turlej i trzy razy wystrzelił malarz Porwasz.

Uśmiechnął się wyrozumiale proboszcz Mizerera:

— Założę się, że Turlej strzelał kulami, a Porwasz, ten skąpiec i dusigrosz, użył śrutu, zamiast palnąć z breneki. Bo trzeba wam wiedzieć, zacna kobieto, że breneka jest droższa od naboju śrutowego i trudniej ją nabyć w sklepie łowieckim. Tak, tak, jestem pewien, że Turlej strzelał kulami, a Porwasz śrutem, gdyż Turlej jest człowiekiem szczodrym, w przeciwieństwie do malarza Porwasza...

W tym samym czasie sierżant sztabowy Korejwo znalazł na swym biurku notatkę sporządzoną przez plutonowego Traszkę, który dopiero co ukończył podoficerską szkołę milicyjną i rozpoczął pracę na posterunku w Trumiejkach. Z notatki owej wynikało, że w dniu wczorajszym w godzinach popołudniowych, z powodu kobiety, leśniczy Turlej i malarz Porwasz strzelali do siebie z broni myśliwskiej. Tedy Korejwo wezwał przed swe oblicze plutonowego i tak do niego przemówił:

— Czy wam, plutonowy Traszka, wydaje się, że trafiliście do pracy na Dzikim Zachodzie, czy też do gminy Trumiejki, która jest znana z ładu i porządku publicznego? Mamy u nas koło myśliwskie, które pod rządami łowczego, proboszcza Mizerery, osiągnęło wiele sukcesów: wzrosło pogłowie zwierzyny płowej oraz kuropatw i bażantów. Nasi myśliwi toczą walkę ze szkodnikami i niekiedy zdarza im się oddawać w tym celu po kilka strzałów. Być może, gdy ci dwaj myśliwi strzelali w górę, tam w górze latał myszołów?

— Myszołowy są pod ochroną — stwierdził plutonowy Traszka.

— Słusznie, plutonowy Traszka. Myszołowów nie wolno zabijać, natomiast można strzelać w ich kierunku w celu odstraszenia. Tak też pewnie uczynili panowie Turlej i Porwasz. A teraz pozwalam się wam odmeldować i nakazuję zapiąć guzik u lewej dolnej kieszeni waszego munduru. Na koniec zaś powiem wam, plutonowy, że był w naszej gminie osobnik, który, gdy uciekła mu żona, pobiegł za nią z siekierą i rozłupał głowę jej kochankowi. Za zabójstwo trafił do więzienia, co świadczyło, że nie był to człowiek honoru, ale zwyczajny głupiec. Od każdego może uciec żona, ale trzeba wiedzieć, że człowiek honorowy nawet i taką sprawę potrafi załatwić w sposób godny.

Od owego dnia pani Halinka spokojnie mieszkała u malarza Porwasza, a Turlej pędził samotny żywot w leśniczówce Blesy. Nikogo to ani nie gorszyło, ani nie śmieszyło, a wkrótce o całej sprawie zapomniano. Spotkawszy na drodze albo na poczcie leśniczego Turleja, malarz Porwasz kłaniał mu się uprzejmie, jak również uprzejmie kłaniał się Porwaszowi leśniczy Turlej. Albowiem, jak słusznie powiedział sierżant sztabowy Korejwo, nawet najdrażliwsze sprawy ludzie honorowi załatwiają między sobą w sposób godny.

— Dużo zła na świecie, Gertrudo — rzekł potem doktor Niegłowicz, spożywając zupę grzybową — dzieje się z powodu zbytniego unowocześniania armatur łazienkowych...

— Dziwną moc i jakiś swoisty czar mają nasze łabędzie, droga Basieńko — powiedział pisarz Lubiński do swej żony. — Łabędzie odlatują ku morzu, a kobieta przenosi się do mieszkania innego mężczyzny...

O tym, kiedy świadków jest za mało, a kiedy za dużo

Dowiedział się leśniczy Turlej, że od kilku dni za stodołą Pasemków wysiaduje na ławeczce ich syn, Antek. Leniuchuje, gdy inni kopią ziemiopłody i rolę przygotowują do snu zimowego. Tedy wysłał stażystę leśnego, pana Andrzeja, z propozycją, aby Antek czyścił młodnik wokół polanki, gdzie rósł dąb, którego nie było. Ta robota jakby stworzona została dla Antka, człowieka, który wyszedł z aresztu podejrzany o podwójne morderstwo, mógł ją bowiem wykonywać samotnie, z daleka od innych ludzi, nie narażony na ich zaczepki i uwagi, a także nie budząc w nikim strachu.

Przystał na tę propozycję Antek Pasemko, ponieważ już nudziło mu się na ławeczce za stodołą, zarobić także pragnął na piwo albo na wino, matka bowiem pieniędzy mu nie dawała ani nie obiecywała, że będzie mu dawać. Zgłosił się więc w leśniczówce Blesy, pobrał ostry tasak, siekierkę, dwa piliniki — i zaczął czyścić młodnik, to znaczy wycinać w nim drzewka słabsze lub za gęsto rosnące. Po pracy powrócił do domu nie polami lub koło jeziora, ale prosto przez wieś, zaciekawiony, czy taki sam strach u ludzi wciąż jeszcze wzbudza, jaki zauważył zaraz po swym przyjeździe z aresztu.

W istocie — strach ciągle był wielki. Gdy mijał szkołę, gdzie w szkolnym ogródku pani Luiza, nauczycielka przed emeryturą, rwała jesienne astry, na widok Antka z tasakiem i siekierą po prostu omdlała, i jak martwa padła między rabaty z kwiatami. Odniosła bowiem pani Luiza wrażenie, że Antek głowę jej tasakiem utnie, a siekierą ciało porąbie, co zaś uczyni później, tego już sobie wyobrazić nie potrafiła i dlatego omdlała. Umykały przed Antkiem małe dzieci, przede wszystkim dziewczynki i kryły się za płotami podwórek. Przed sklepem nikt nie odpowiedział na jego mrukliwe powitania. Najstarszej córce Żaryna, tej z największym przodem, który ostatnio mocno obnażony nosiła — bardzo już chciała wyjść za mąż i w ten sposób zachęcała do czynu najstarszego syna cieśli Sewruka — wypadł z rąk dzbanek gliniany z barszczem i potłukł się na kawałki. Wiedziała najstarsza Żarynówna, że nic godnego uwagi oprócz swego przodu nie posiada, tak więc najpewniej owym tasakiem ów przód mógł Antek zaatakować, obciąć lewą lub prawą półkulę, gdyż bez znęcania się nad dziewczyną, jak to wiedziano powszechnie, pożądania nie potrafił zaspokoić. Wieczorem żadna dziewczyna z domu rodzinnego wyjść choćby za potrzebą nie chciała, na próżno dorosłe i dorastające chłopaki włóczyły się między opłotkami.

I stała się sprawa zadziwiająca. Dopóki Antek przebywał w areszcie śledczym, nikt nie chciał przed kapitanem Śledzikiem zeznań składać, kainowego piętna na Antku nie dostrzegano, a tylko jego przyjemną powierzchowność, grzeczność i uprzejmość. Wraz z aresztowaniem Pasemki świat zdawał się ludziom przewracać do góry nogami, że nie wiedzieć, co złem należy nazywać, a co dobrem. Ale z czasem świat znowu stanął twardo, nogami do dołu — i natychmiast rzuciło się ludziom w oczy, że Antek inaczej na kobiety i dziewczyny spogląda niż inni mężczyźni, ma krzywy uśmieszek i ślina mu się w kącikach ust gromadzi. Kainowe piętno już na nim widziano.

Szczepan Żaryn ruszył w drogę i rozmyślając o rozbitym dzbanku z barszczem — przed biurkiem kapitana Śledzika usiadł.

— Do protokołu chciałbym zeznać, że w tę noc, gdy zabito małą Haneczkę, widziałem Antka Pasemkę w naszej wiosce. Przejeżdżał wolno ciężarówką. Była to godzina dwudziesta pierwsza, a może kilka minut po dwudziestej pierwszej.

— Jakże to tak? — zdumiał się kapitan Śledzik. — Chyba z dziesięć razy, ba, ze dwadzieścia razy pytałem was wszystkich i każdego z osobna, czy ktokolwiek w tę noc widział Antka w wiosce, ale każdy twierdził, że nie widział. Jakże to więc: widzieliście, Żaryn, czy nie widzieliście?

— Widzieć, to widziałem — powiedział Żaryn. — Ale mówić mi było o tym nijako. Myślałem: „po co mówić, skoro milicja i tak swoje wie". Udowodnią mu winę i go powieszą, po co ja mam taką sprawę brać na swoje sumienie. Zamknęli go, myślałem, nie bez przyczyny. I z tej przyczyny go powieszą. Co mi tam mieszać się do cudzych spraw. A wy go wypuściliście, co jest rzeczą złą, bo teraz znowu będzie zabijać, a ja mam trzy córki.

— Dowodów winy zabrakło, panie Żaryn — wyjaśnił uprzejmie kapitan Śledzik. — Waszych zeznań zabrakło, świadków nie mieliśmy. Nie było o co całej sprawy zaczepić, a on się wszystkiego wyparł.

— Teraz już świadka macie — oświadczył Żaryn. — Tedy go znowu aresztujcie i niech spokój będzie w wiosce.

— Teraz? — roześmiał się złośliwie kapitan Śledzik. — A cóż to za świadek, który raz pytany wszystkiemu zaprzecza, a drugim razem wszystko potwierdza? Jaki sąd da wam teraz wiarę? Powiedzcie mi zresztą szczegółowo, jakim to samochodem jechał Antek Pasemko i skąd wiecie, że to on właśnie jechał, a nie kto inny.

— Samochód był duży i czarny. Antka zaś znam od małego.

— O dwudziestej pierwszej mroczno już jest. Jakże mogliście Antka rozpoznać w szoferce?

— Bardzo wolno jechał. Wyglądało, jakby chciał się zatrzymać przed sklepem i piwa napić. Sklep jednak był zamknięty, więc pojechał dalej. Przed sklepem pali się lampa.

— A Haneczkę też widzieliście?

— Widziałem. Trochę wcześniej szła drogą do domu, musiał ją mijać i zabrać ze sobą w las.

— Pięknie to się wam składa, panie Żaryn — kiwał smutnie głową kapitan Śledzik. — Takiego zeznania nam brakowało, gdy siedział u nas w areszcie Antek Pasemko. Zetknęlibyśmy was oko w oko. On powiedziałby: nie jechałem tego wieczoru przez wioskę, a pan by mu rzekł: jechałeś, zwolniłeś pod sklepem, widziałem cię w szoferce.

— Tak bym powiedział — przyświadczył Szczepan Żaryn.

— Ale pan tego nie zrobił — bezradnie rozłożył ręce Śledzik. — I teraz niech pan sam, panie Żaryn, swoich córeczek pilnuje, żeby się której krzywda nie stała. Zeznanie pana pozostanie u nas, ale czy się kiedykolwiek okaże potrzebne, o tym trudno mi teraz powiedzieć. Prokurator nie da nowego nakazu aresztowania tylko dlatego, że pan, w strachu o swoje córki, nagle pamięć odzyskał. A to panu jeszcze powiem, że jeśli jakiejś dziewczynie znowu stanie się coś złego, pana to, a nie moje obciąży sumienie...

W dwa dni później przed Śledzikiem zasiadła brzuchata Jaroszowa.

— Widziała pani Antka Pasemkę, jak wolno jechał przez wioskę w noc, gdy zabito małą Haneczkę — powiedział za nią kapitan.

Zdumiała się Jaroszowa.

— Nic takiego nie powiem. Ale w tę noc, co ją zabito, koło dwudziestej pierwszej szłam obok domu Pasemków. Na chwilę drzwi się u nich otworzyły i zobaczyłam w oświetlonych drzwiach, jak Antek podaje matce kłąb brudnej bielizny. Ona zaś bieliznę od niego przyjęła, drzwi się zamknęły. Antek przepadł w ciemnościach. Zawsze co jakiś czas matce brudną bieliznę do prania przywoził. Samochodu jego jednak nie widziałam, choć musiał być gdzieś w pobliżu.

— Pytałem panią nie raz i nie dwa, czy pani go w tę noc widziała. I zawsze słyszałem to samo: w domu siedziałam, skąd mogłam go widzieć. Teraz zaś pani przejrzała na oczy, pani Jaroszowa?

— Nie chciałam być za świadka — wyjaśniła, dłonie swoje na wypukłym brzuchu usadawiając wygodniej. — Ładny i grzeczny z niego był chłopak. Krzywdy mu zrobić nie chciałam.

— A teraz, pani Jaroszowa? Jak jest teraz?

— Obecnie to z niego zbój prawdziwy. Chodzi po wsi z tasakiem i siekierą, młodnik w lesie czyści. A jak spojrzy na człowieka, to strach przenika aż do kości.

— I to chcecie powiedzieć sądowi, pani Jaroszowa? Że kłamać potrafi w zależności od tego, czy ktoś wam się ładnym i miłym wydaje, czy na zbója wygląda?

Westchnęła ciężko Lucyna Jarosz:

— Nie jestem może kobieta ładna — rzekła, wsadzając sobie palec w usta i sprawdzając, ile jej jeszcze zębów z przodu pozostało. — Ale za ponętną uchodzę i mam u mężczyzn wzięcie. Antek Pasemko spotkał mnie wczoraj na drodze i tak jakoś na mój brzuch spojrzał, na moje nogi, na całą osobę, i taki mu się jakiś w oczach ognik zaświecił, że czułam: kolnie mnie tasakiem. Dawno żadnej dziewczyny nie zabił, tęskno mu pewno do tego.

— W dzień tego nie zrobi ani na oczach ludzkich — uspokajająco zapewnił ją Śledzik.

— To prawda — zgodziła się z nim Jaroszowa. — Ale ponętna kobieta musi czasem po ciemku pójść tu i ówdzie, choćby do młodnika w lesie. A jeśli on w takim młodniku się zaczai?

— Nie chodźcie nocą do młodnika.

— Jednemu można odmówić, panie kapitanie. Ale co zrobić, jak wielu o to prosi? Mężczyźni, panie kapitanie, też mają swoją dumę. Raz można odmówić, ale drugi raz to się obrazi i więcej nie poprosi. Ale czy to ja jedna z wioski czasem w młodnik pójdę albo za stodołę wyskoczę? Strach spadł na wszystkie. Ubogie jest życie kobiety na wsi, a teraz stało się jeszcze uboższe.

Bezradnie rozłożył ręce kapitan Śledzik, gdyż nie widział sposobu, aby życie kobiet wiejskich wzbogacić, tyle tylko, że słowa Jaroszowej zapisał i podpis pod zeznaniem od niej otrzymał. Potem Śledzik dostał list od kulawej Maryny:

„Donoszę panu kapitanowi, że dwóch mnie pokryło, ale żaden z nich nie był Antkiem Pasemko, tak, że nie wiem z kim mam dziecko. Pieniędzy od Zofii Pasemko nie zgadzam się już brać, gdyż nie chcę, aby ludzie mówili, że ta mała dziecina jest od zbója i od małego ma zbójecki wygląd, co usłyszałam w sklepie od sklepowej Smugoniowej. To dziecko jest od młodego Galemtki albo od Franka Szulca, który w świat wyjechał. Smugoniowej niech milicja zakaże źle mówić o moim dziecku, które jest małe i bronić się nie potrafi. Doktor wykrył prawdę, ale ja myślałam, że Antka powieszą, więc pieniądze do końca życia będę od Pasemkowej brała. Ale Antek wyszedł z więzienia i teraz jest zbójem na wolności i dlatego moje dziecko zbójeckim dzieckiem nazywają".

Załączył Śledzik list kulawej Maryny do akt śledztwa przeciw Antkowi Pasemce i taką propozycję złożył majorowi Kunie:

— Zakładam się z panem, majorze, że Antek Pasemko zjawi się u nas za dwa miesiące i przyzna do wszystkich zbrodni. Butelkę koniaku stawiam.

— A ja dwie butelki stawiam, że nie zjawi się u nas, bo zbyt hardy to człowiek. Ale to my za pół roku po niego znowu pojedziemy. Do tego czasu jeszcze jedną teczkę trzeba będzie założyć na rozmaite donosy, doniesienia i zeznania.

Omylili się jednak obydwaj. Nikt więcej nie przyjechał, aby złożyć zeznania. Nie wpłynął żaden donos ani doniesienie. Wieś znowu zamilkła i skamieniała w trwodze. Tylko doktor Niegłowicz zadzwonił któregoś dnia do kapitana Śledzika i zapytał go, czy po tych informacjach, które dał mu Żaryn, Jaroszowa i kulawa Maryna, są już podstawy, aby znowu aresztować Antka. „Prokurator jeszcze nie widzi do tego wystarczających podstaw" — powiedział mu Śledzik. Wydało mu się, że doktor nie od razu odłożył słuchawkę, ale trwał z nią długo przy uchu, jak gdyby głęboko całą sprawą zatroskany.

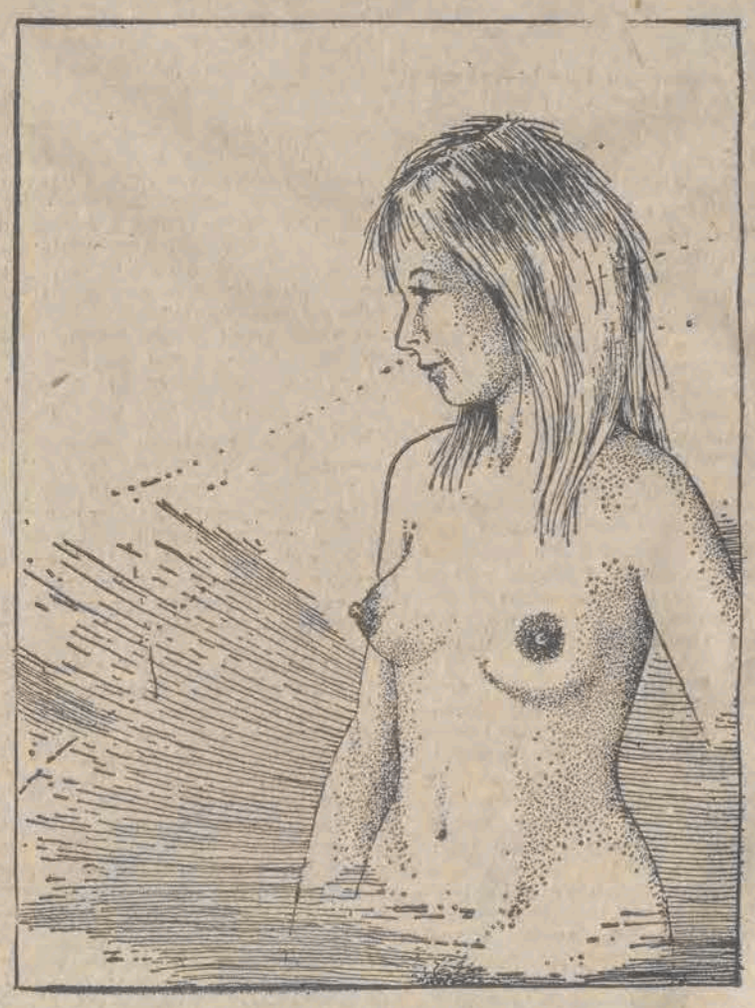

Rys. Janusz Szymański-Glanc

O tym, że istnieje nie tylko prawo, ale i sprawiedliwość

Po trzech dniach pracy w młodniku zgłosił się Antek Pasemko do leśniczego Turleja i, jak to było w zwyczaju robotników leśnych, poprosił o niewielką zaliczkę. Chciał mieć pieniądze, aby po pracy pójść do sklepu, kupić kilka butelek piwa, na ławeczce przed sklepem usiąść i na dawnych przyjaciół popatrzeć. Ciekawiło go, czy przyjmą od niego poczęstunek, czy też przejęci lękiem odejdą. Wolał zresztą, żeby odeszli, gdyż odkąd powrócił do wioski, odkrył, że przeżycie własnego i cudzego strachu jest mu potrzebne jak jedzenie a nawet więcej, albowiem brzuch można wypełnić i głód nasycić, a owego głodu ludzkiego strachu wciąż był niesyty. Bał się mocnego bicia i bolały go plecy od uderzeń matczynego bata, ale i to stwierdził, że z tego strachu i bólu rozkoszy doznaje. Również kiedy dojrzał strach w oczach dziewczyny albo kobiety, gdy dzbanek z rąk dziewczęcych wypadał albo któraś mdlała na jego widok, jak na ten przykład stara nauczycielka, słodki ruch w spodniach odczuwał. Pracując w młodniku niekiedy wyobrażał sobie, że znowu zadusił jakąś dziewczynę, choćby najstarszą Żarynównę z dużym przodem. Ludzie gonią go po lesie jak Leona Kruczka, on ucieka pełen przerażenia, że go jąder pozbawią. I wówczas także członek mu nabrzmiewał i rozpiąwszy rozporek przyglądał mu się ze zdumieniem i zachwytem. Niestety, na drodze do pracy lub z roboty coraz rzadziej kogokolwiek spotykał i rzadko kiedy trafiało mu się przeżyć zadowolenie.

c.d.n.